

W co się **bawić?**

PRZE KROJ

32/33 / 3033/34 • 10 sierpnia 2003 • cena 4,20 zł

/w tym 7% VAT/

turbogolf,
streetracing,
kitesurfing i inne
10 nowych
nieznanych
zabaw



**HYMN
BIEDY**

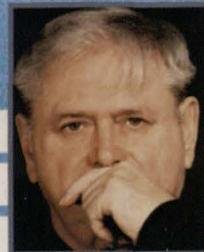
**I WKURWIENIA
wykrzykuje**

PEJA

**nowa nadzieja
polskiego rapu**



**BOGACZ
BOGACZOWI
BOGACZEM**



**- tłumaczy się
ALEKSANDER
GUDZOWATY
właściciel
trzech miliardów
złotych**



Indeks 371424

Łączy nas tylko 1 grosz!



Omnix

**NOKIA
7650**
z aparatem
cyfrowym
za jedyne
249 zł

303,78 zł z VAT

W taryfach Medium i TAKAjakTY M



Możesz więcej

Teraz możesz rozmawiać z wybraną osobą bez końca. Minuta połączenia z dowolnym numerem w promocji „Numer promocyjny” w sieci Era kosztuje nawet 1 grosz*. I to przez 12 miesięcy! Możesz też mieć telefon Nokia 7650 z wbudowanym aparatem cyfrowym i dużym, kolorowym wyświetlaczem. Zaskakujące, prawda?

www.era.pl
informacja handlowa: 0 801 202 602

Oplata zgodna z cennikiem operatora sieci, z której wykonywane jest połączenie. Szczegóły oferty w cenniku i regulaminie promocji, dostępnych w punktach sprzedaży sieci Era.

*W taryfach TAKAjakTY minuta połączenia w godzinach nocnych z wybranym numerem w sieci Era. Cena za minutę połączenia jest ceną zaokrągloną do pełnego grosza. Podatek VAT w wysokości 22% jest naliczany od sumy wartości netto połączeń.

RACZKOWSKI na Czwartek

PRZE
KROJ



W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o nowej radzie nadzorczej TVP, która nowy rozdział życia telewizji publicznej rozpoczęła od tego, że wdrożyła stary styl działania i nawet nie zająknęła się w sprawie prezesa Kwiatkowskiego. Bo temu ostatniemu, jak wiadomo, życzymy jak najlepiej – przecież z jego zdolnościami dyplomatycznymi już mógłby być ambasadorem.

...o byłej partii Lecha Wałęsy – Chrześcijańskiej Demokracji III RP, której działacze złożyli wniosek o ponowną rejestrację, aby umożliwić wykreślenie z rejestru jesienią 2002 roku partii start w przyszłorocznych wyborach do Parlamentu Europejskiego. Bo chcemy

zachować dla siebie, co myślimy o przekonaniu wiceszefa partii Piotra Dwornickiego, że ugrupowanie „może skupić wartościowych i nieskompromitowanych” polityków z prawej strony polskiej sceny politycznej.

...o paru panach z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, którzy stracili pracę, kiedy wreszcie dostrzeżono (albo nie dało się już ukryć), że łamią ustawę antykorupcyjną. Bo nie wiedzieć czemu, główny pan z tego ministerstwa pracuje tam dalej, jak gdyby nigdy nic.

...o poglądach prymasa Polski kardynała Józefa Glempa, który odnosząc się

do projektu zalegalizowania związków homoseksualnych, powiedział, że „kraje, które zalegalizowały związki homoseksualne, przeżywają zmierzch cywilizacji”, zapomniawszy chyba na chwilę, iż to te same kraje, które ufundowano na chrześcijańskich wartościach. Bo to, niestety, jedna z wielu przenikliwych myśli kardynała, których nie warto nagłaśniać dla jego własnego dobra.

...o przyjemnościach pobytu na urlopie. Bo to nieładnie drażnić tych, którzy muszą pracować, albo tych, którzy pojęcia urlopu w ogóle nie rozumieją (ale tych, którzy są na urlopie, redakcja serdecznie pozdrawia!).

MYŚL TYGODNIA

Wracam, bo jestem znudzony życiem.

Andrzej Gołota wyjaśniający, dlaczego po trzech latach zgodził się wrócić na ring



Fot. MACIEJ ZIENIEWICZ/AGENCIA GAZETA



Fot. RAPAL STRZECZOWSKI/FREE

80

Temat specjalny!
W co się bawić?
Ozrywka dla ludzi
i desperatów

- 6 POWIĘKSZENIE
Nas nie ma!
- 12 POWIĘKSZENIE
Ze strachu mur
- 18 PRZEKRÓJ TYGODNIA
– wiadomości krajowe i zagraniczne
- 24 PYTAMY
Antoni Macierewicza o wyniki śledztwa w sprawie nielegalnego handlu bronią w Polsce
- 25 PRZEKRÓJ TYGODNIA – ludzie
- 26 KOMENTARZ
- 27 RAPORT MNIEJSZOŚCI
Egito Gonçalves „Gdzie zapisuje się madrygał”

NAJSZTUB PYTA

- 28 BOGACZ BOGACZOWI BOGACZEM
– Bogactwo ma także zalety. To jest tezauryzacja, to jest sprawa unikalnych technologii zaspokajających luksusowe potrzeby, na przykład te wielkie, wspaniałe jachty... – odpowiada miliarder Aleksander Gudzwat

GORĄCY DOKUMENT

- 34 IRAK – Ćwiczenia z normalności
- 38 KSIĄŻKOKRAD
Tajemnica klasztoru w Alzacji została wyjaśniona
- 42 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

PSYCHOLOGIA

- 44 Nauka pozwoli grzeszyć do woli

MEDYCyna

- 48 Cena nasienia

UWAGA!

Podwójny
numer.

NASTĘPNY „PRZEKRÓJ”

za Dwa TYGODNIE,

21
sierpnia

TECHNOLOGIA

- 51 WRAŻLIWE ROBOTY
- 52 INSPEKTOR GADŻET

LUDZIE!!!

- 54 GUTEK O DWÓCH OBLICZACH
Tylko dzięki Romanowi Gutkowi Polacy mieli i mają dostęp do ambitniejszych i świetnych, choć mniej kasowych filmów
- 58 KOBIETA MNIE BIJE
Blond piękność Kristanna Loken grozi Arnoldowi Schwarzeneggerowi
- 60 HYMNY BIEDY I WKURWIENIA
Rozmowa z Peją, najważniejszym polskim raperem

- 66 SZALONY ARAB NA WOJNIE Z IRAKIEM
Nowy dowódca amerykańskiej armii na Bliskim Wschodzie jest inteligentny, wykształcony, a w dodatku odważny

- 70 ŚWIECĄ LUB SPADAJĄ

PATRZĄC I CZYTAJĄC

- 72 PANNA MYSZOWATA
Olga Boznańska, choć sama była wielką artystką, całe życie przyciągała do siebie tylko nieudaczników

W CO SIĘ BAWIĆ?

- 80 GOLF DLA NIESNOBÓW
Kij w garść, przyłożenie, zamach... i nie ma kolejnej szyby w oknie. Tak mniej więcej wygląda partia turbogolfa
- 86 SZYBCY, ALE GRZECZNI
– Dresiarzy albo innych buraków nie zabieramy – lojalnie ostrzega



72

Olga Boznańska
– wielka dama
polskiego
malarstwa

Artur, organizator nocnych
wyścigów samochodowych

- 90 I JESZCZE... hopka, pływanie z latawcem, hokej pod wodą, polo na słoniu, w pogoni za serem, a więcej za dwa tygodnie

- 94 LISTY

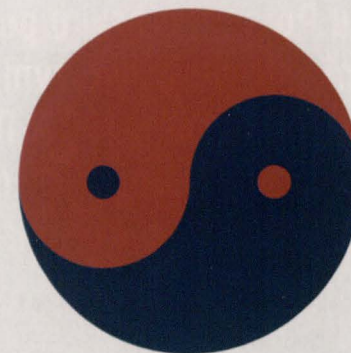
95 TYDZIEŃ – KULTURALNIE POLECAMY

- 96 WYDARZENIA
– elitarny „A4”
- 98 FILM – „Terminator”
- 102 MUZYKA – Kraftwerk
- 104 KSIĄŻKI – Białoszewski forever
- 106 KOMIKS – „Falangi czarnego porządku”
- 108 TELEWIZJA – najlepsze programy

ROZMAITOŚCI

- 110 DIENNIKI OSOBISTE
MASŁOWSKA i MENTZEL;
BRALCZYK; jolka
- 112 WINNY BIEŃCZYK
i KULINARNE PIÓRO
POLSKI; krzyżówka
- 114 RACZEJ RACZKOWSKI

i konto założy i ubezpieczy i przelew zrobi
i ubezpieczy i kredytu udzieli i ubezpieczy
i lokatę doradzi i ubezpieczy
i jak to się nazywa?



bancassurance

Konkurs na nazwę!

Chcieliśmy zaoferować coś zupełnie niespotykanego w Polsce. I udało się! Wzięliśmy nasze produkty ubezpieczeniowe i bankowe i zrobiliśmy tak, że dostępne są w jednym miejscu. I teraz w Kredyt Banku można się także ubezpieczyć, a od agenta Warty uzyskać wszelkie informacje i profesjonalne rady dotyczące założenia konta, otrzymania kredytu lub pożyczki. Ubezpieczenia są bliższe i tańsze, a produkty finansowe bezpieczniejsze. Jesteśmy bardzo zadowoleni z tej nowej oferty, ale jej nazwa brzmi dość obco – Bancassurance. Za pomoc w jej zmianie damy bardzo wiele!

Damy 5 najnowocześniejszych aparatów cyfrowych firmy Canon autorom najlepszych nazw. Wszystkich, którzy mają pomysł zapraszamy do konkursu na polską nazwę Bancassurance. Nazwy prosimy wysyłać SMS-em pod numer: 7283. Czekamy z niecierpliwością od 14 lipca do 31 sierpnia. Po dodatkowe informacje zapraszamy do placówek i na strony internetowe Kredyt Banku i Warty oraz do kontaktu z infolinią.

www.kredytbank.pl; infolinia: 0 801 360 360

www.warta.pl; infolinia: 0 801 308 308

Opłata za SMS: 2 zł + VAT (dotyczy wszystkich operatorów sieci komórkowych). Koszt połączenia z infolinią jak za połączenia lokalne.

TOWARZYSTWO UBEZPIECZEŃ I REASEKURACJI S.A.

WARTA
ROK ZAŁOŻENIA 1920

TOWARZYSTWO UBEZPIECZEŃ NA ŻYCIE S.A.
WARTA VITA

KREDYT BANK



NAS NIE MA!

Przez dwa dni ze sceny wraz z heavymetalową muzyką grzmiły słowa o rozczarowaniu Polską, o braku perspektyw, o bezsilności i nieprzystosowaniu. Na największym w Europie festiwalu rockowym Przystanek Woodstock w Żarach Jurek Owsiak zgromadził od 300 do 400 tysięcy młodych ludzi, głównie nastolatków z małych miejscowości. Przeczytajcie teksty „ich” piosenek



KONIEC ŚWIATA „GODZINY ZŁA”

*Sprzedali miasta, sprzedali kraj
Tam defilada majowa
Do orła się dorwały polityczne sępy
Wbiły w niego zęby rozerwały go na strzępy
Tu jest niepewnie zatruty jest czas
Beznadziejne prawa rzucają nam w twarz
Wszystkie obietnice okazały się kwaśne
Wokół tyle światła lecz nie robi się jaśniej*

BAKSHISH „KAŻDY CZAS”

*Ten czas jak sito przesiewa nas.
Nie prześpisz chwili, nie przeskoczysz dnia.
Z niczym odchodzą ci, których był ten świat.
Ich mądrość, siła, mądrość, siła jak pył na wiatr, pył na wiatr*

MALEO REGGAE ROCKERS „DOLINA ŁEZ”

*Idąc przez dolinę łez
W źródło życia zmieniam ją.
Rośnie w drodze jego siła wciąż,
Aż osiągnie Syjon.
Jeden dzień w przedsionkach Twych
Więcej wart niż tysiące innych.
Wolę stać w progu Twym,
Niż mieszkać w pałacach ich.*

*Wielbię Cię.
Dusza moja pragnie wielbić Cię
Wielbię Cię.
Królu Chwały, pragnę wielbić Cię*

TRAWNIK „SZTAJERSKA”

*Sztajerska jest nasza muzyka
Z serca się wymyka
Spod butów wyciska
Sztajerska
Sztajerska nie lubi polityki
A gietdy wyniki w nosie ma*

CAŁA GÓRA BARWNIKÓW „IDIOCI”

*Ty wiesz ty może lepiej zrób to
Idź w ślad za stadem
Naczelna zasada – za dużo nie gadać
Nie myśleć!
Przede wszystkim nie myśleć!
Tak to już zbudowano, mówiąc ściślej*

Nie cień chłodzi człowieka

Świetnie zbalansowany smak schłodzonego Lecha
orzeźwia lepiej. Nawet w pełnym słońcu.





powiększenie

GDY ROK TEMU RUSZYŁA BUDOWA MURU, W IZRAELU RAZ PO RAZ WYBUŁY BOMBY. DZIŚ MIMO ZAWIESZENIA BRONI I NADZIEI NA POKÓJ PRACE NIE BĘDĄ PRZERWANE

ze strachu

MUR

CHRIS MCGREAL

Mur koło miasta Kalkilija
na Zachodnim Brzegu.
Po drugiej stronie biegnie
autostrada transizraelska
– potencjalny cel terrorystów

Izrael odgradza się od Palestyńczyków.
Szczelna zaporą wzdłuż granicy
Zachodniego Brzegu jest już w połowie
gotowa. Ma zatrzymać terrorystów.
I przesunąć granicę na korzyść Izraela

MURY

Mur chiński jest długi na sześć tysięcy kilometrów. Budowę rozpoczęto w VII wieku przed naszą erą, by uchronić cesarstwo przed najazdem dzikich plemion z północnej Azji

Mur Hadriana w południowej Anglii wyznaczał jedynie północną granicę Cesarstwa Rzymskiego. Zbudowany w roku 122 z polecenia cesarza miał pięć metrów wysokości i 117 kilometrów długości

Mur berliński powstał w roku 1961 wokół Berlina Zachodniego. Zanim zbudowano mur, z DDR uciekło na Zachód 2,5 miliona Niemców. Mur berliński miał 155 kilometrów długości, 302 strażnice i średnio 3,5 metra wysokości. Przy próbach przejścia przez niego zginęły 192 osoby



Pojedyncze odcinki muru stały także na obrzeżach Jerozolimy. Prowizoryczne betonowe ściany zasłaniają palestyńskie dzielnice Abu-Dis, Ras Al-Amud i Azzarija



GDY BUDOWA ZOSTANIE UKOŃCZONA, PALESTYŃCZYCY STRACĄ 12 PROCENT SWOJEGO TERYTORIUM IZRAEL, BLOKUJĄC PRZEJŚCIA, BĘDZIE MÓGŁ ZAMYKAĆ ICH NA ZACHODNIM BRZEGU

Stojąc na swoim podwórku, Chadidza Bdarat może pokazać palcem dach szkoły, do której chodzą jej dzieci. Budynek stoi kilkaset metrów dalej, we wsi Ras. Jeszcze wiosną tego roku dzieci biegały do niej przez pola. Ale teraz jest już inaczej. Między domem Chadidzy a wsią wyrósł pas zasieków o szerokości 40 metrów. Izraelczycy nazywają go eufemistycznie „plotem bezpieczeństwa”. Dom państwa Bdaratów znalazł się po jego izraelskiej stronie.

Już niedługo wojsko włączy zamontowane na ogrodzeniu czujniki ruchu, a dom Chadidzy znajdzie się w zamkniętej strefie wojskowej. Od tego momentu dorosłe dzieci Bdaratów, by odwiedzić rodziców, będą musiały okazać przepustkę, nocą zaś wkoło obowiązywać ma godzina policyjna. Mieszkańcom nie będzie wolno korzystać z jedynej drogi, która prowadzi do ich drzwi. – Będzie nam ciężko – mówi Chadidza. – Odizolowani, zdani na siebie. Widzimy innych ludzi, są ni- by blisko, a jednak daleko.

SZARON BUDUJE DALEJ

Przed ubiegłotygodniową wizytą Ariela Szarona w Białym Domu prezydent Bush oświadczył, że płot bezpieczeństwa to „problem”, który wydłuża drogę ku pokojowi. Szaron nie bardzo się tym przejął. Po spotkaniu w Waszyngtonie wiadomo już, że nie zaprzestanie rozpoczętej w maju ubiegłego roku budowy i zamierza całkowicie oddzielić Izrael od Zachodniego Brzegu. To właśnie wtedy w ciągu

trwającej dwa lata intifady przeniknęło do Izraela najwięcej zamachowców. Niebawem wojsko odda do użytku pierwszy, 130-kilometrowy odcinek.

Płot ma mieć docelowo 300 kilometrów długości. W najniebezpieczniejszych miejscach, czyli koło palestyńskich miast, metalowe ogrodzenie przemienia się w ośmiometrowy betonowy mur z pancernymi strażnikami. Po obu stronach są zasieki, a od strony Izraela płotu strzegą dodatkowo kamery. Budowa pochłonie równowartość 1,2 miliarda złotych. Zdaniem Szarona to jedyny sposób, by zabezpieczyć kraj przed terrorystami. Mur uniemożliwia nielegalne przekraczanie granicy, zasłania palestyńskim snajperom widok na izraelskie osiedla i sięga na tyle głęboko pod ziemię, że nie sposób przekopać pod nim tunel. Według sondażu budowę popiera 80 procent Izraelczyków.

Według Palestyńczyków Szaronowi nie chodzi jednak wcale o bezpieczeństwo. Już teraz w kilku miejscach pas zasieków schodzi z tak zwanej zielonej linii wyznaczonej po zawieszeniu broni w 1967 roku i wgryza się głęboko w terytoria palestyńskie. Dowodzący budową izraelscy wojskowi nie ukrywają, że chcą w ten sposób włączyć do Izraela szereg nielegalnych osiedli na Zachodnim Brzegu. Według szacunków Banku Światowego po ukończeniu budowy Palestyńczycy stracą 12 procent swojego terytorium.

Już na pierwszym odcinku przesunięcie granicy spowodowało wywłaszczenie kilku tysięcy palestyńskich rolników. Podczas gdy gospodarstwa pozostały na Zachodnim Brzegu, pola, gaje oliwne i szklarnie znalazły się



Na sąsiedniej stronie: Izraelski płot zajmuje pas o szerokości 40 metrów. Rok temu stały tu domy, były gaje oliwne i pola uprawne

Po prawej: Jusuf Bdarat pokazuje płot na tyłach swojego domu. W oddali widać wieś, gdzie jego dzieci chodziły do szkoły

Po lewej: Wieże strażnicze stoją co 300 metrów. Żołnierze mają prawo strzelać do każdego

Po prawej: W Tulcarem mur ma zasłonić snajperom widok na izraelskie osiedla



po izraelskiej stronie płotu. Według zapewnienia rządu Izraela pas spowoduje „minimalne trudnienia” w życiu codziennym mieszkańców po obu stronach. Tymczasem już teraz w niektórych miejscach na skutek budowy całe palestyńskie wsie utraciły dostęp do wody. Płot zmieni życie 210 tysięcy Palestyńczyków żyjących pod „zieloną linią”. Gdy budowa zostanie ukończona, Izrael zyska potężny środek perswazji: blokując przejścia, będzie mógł czasowo zamykać Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu.

PO DWÓRKO W STREFIE ŚMIERCI

Państwo Jusuf i Chadidza Bdaratowie najbardziej jednak martwią się tym, którąś zaprowadzić do szkoły czwórkę najmłodszych dzieci w wieku od 7 do 12 lat. – Nim postawili mur, dzieciaki mogły iść tam na piechotę. Wystarczyło wejść na wzgórze – mówi Chadidza. – Teraz dwa kilometry stąd jest furka w ogrodzeniu, ale skąd mamy wiedzieć, czy Izraelczycy będą ją codziennie otwierać dla dzieci? W sumie wychodzi jakies pięć kilometrów drogi. A jeśli zamkną, trzeba będzie iść aż do punktu kontrolnego.

Droga z domu do szkoły przez punkt kontrolny wydłuży się małym Bdaratom do ponad 10 kilometrów. Dotąd zajmowała im ledwie 10 minut. – Może powinienem wynająć w Ras mały domek blisko szkoły, żeby dzieci w tygodniu mieszkaly tam z matką? – zastanawia się Jusuf Bdarat.

Rodzina składa się jeszcze z trzech zamężnych córek i dwóch dorosłych synów. Niedługo bez przepustki nie będą mogli zobaczyć się

z rodzicami. – Wojsko nie wyda przepustki bezterminowej – mówi pani Bdarat. – W sprawie każdego odwiedzin córek muszę występować o zezwolenie na konkretny dzień. W tym celu muszę pójść aż do bazy w Tulcarem. A tam wszystko zależy od ich widzimisię.

Koło pięciotysięcznego Ras metalowe ogrodzenie ma dwa i pół metra wysokości. Zasieki z drutu kolczastego połączone są z czujnikami. Od strony wioski biegnie drugie pasmo zasieków, niewielki rów i otwarta przestrzeń, na którą Palestyńczycy mówią „strefa śmierci” – wojsko ma prawo utworzyć ogień do każdego, kto się w niej pojawi.

Na razie Bdaratom wolno jeździć wojskową szosą patrolową wzdłuż zabezpieczeń, ale wraz z włączeniem czujników ta droga zostanie zamknięta, a każdy Palestyńczyk, który się na niej znajdzie, zostanie uznany za terrorystę. Dla Jusufa Bdarata nie ma żadnej innej drogi. Wojsko zaproponowało, że może wykarczować trakt przez gaj oliwny Bdaratów, ale na razie skończyło się na słowach. Jusuf odmawia przeprowadzki.

Bdarat pracował w zakładzie oczyszczania miasta w Tulcarem. Pięć lat temu przeszedł na emeryturę, kupił działkę w Ras, wybudował dom, posadził winorośle i warzywa.

ZBURZYĆ CI DOM?

Całe pokolenia Palestyńczyków do dziś nie mogą zapomnieć gorzkiego doświadczenia z 1948 roku, kiedy ludzie musieli opuścić swoje ziemie w złudnej nadziei, że wrócą, gdy syjonistyczne państwo upadnie. – Nigdy nie sprzedam ziemi, nigdy nie odejdę stąd z własnej

woli. Jak chcą się mnie pozbyć, będą musieli skonfiskować mi grunty i zburzyć dom – mówi pan Bdarat. – Kiedyś przyjechał tu jeden oficer izraelski z Tulcarem. Zapowiedział, że jak tylko coś się stanie przy zabezpieczeniach, jak tylko nastąpi jakiś atak czy coś podobnego, to mnie stąd wyrzucą i zrównają mój dom z ziemią. Chyba na tym im właśnie zależy.

Jedynymi sąsiadami Bdaratów jest rodzina Hindawich, której dom znalazł się w „strefie śmierci”. Azmi Hindawi nie widzi powodów do optymizmu: – Nie liczę na to, że uda nam się tu zostać. Powiedzą, że jesteśmy za blisko. Mam już jedną sprawę w sądzie, bo zaskarżyli mnie, że ten dom stoi tu nielegalnie.

Kiedy buldożery przyjechały równać grunt pod zabezpieczenia, ani rodzina Bdaratów, ani Hindawich zbytnio się nie kłopotala – wojsko zaczęło od wytyczenia drogi omijającej ich domy i całą wieś z tej samej strony. Raptem jednak maszyny przerzucono w inne miejsce, skutkiem czego 800 hektarów ziemi należącej do mieszkańców Ras znalazło się po drugiej stronie płotu, za to w zasięgu żydowskich osadników. Fakt ten tylko utwierdził Palestyńczyków w przekonaniu, że mury mniej mają wspólnego z bezpieczeństwem, a więcej z pospolitą wywłaszczeniem.

– Kilka dni temu jeden żołnierz powiedział, że mieszkam na izraelskiej ziemi – mówi żona Azmiego Amal Hindawi. – Nie będę już mogła sprowadzić tu z Tulcarem swojej mamy, bo teraz mieszkam w Izraelu.

CHRIS MCGREAL
© THE GUARDIAN, LONDYN 2003

Fot. CHRIS MCGREAL/GUARDIAN

Fot. GETTY/EAST NEWS



Prezydent z żołnierzami 10. Brygady Kawalerii Pancernej przed ich odlotem do Iraku

RZECZNIK JAK KRÓL

POLSKA ZAMIERZA W SWOJEJ STREFIE W IRAKU STWORZYĆ INSTYTUCJĘ RZECZNIKA PRAW OBYWATELSKICH

Opomyśle powołania rzecznika praw obywatelskich w Iraku mówił prezydent Aleksander Kwaśniewski, gdy żegnał odlatujących nad Zatokę polskich żołnierzy. – Gdyby taka osoba o dużym autorytecie mogła się tam pojawić i rozwiązywać wiele problemów, mogłoby to mieć istotne znaczenie dla budowania

podmiotowości Irakijczyków – mówił prezydent.

– Naszym zadaniem jest doprowadzenie do zapanowania w Iraku demokracji. Instytucja rzecznika będzie pierwszym krokiem w tym kierunku – powiedział „Przekroju” minister Tadeusz Iwiński z kancelarii premiera. Odpowiada w niej między innymi

za sprawy zagraniczne. – Wyobrażam sobie, że będzie to Polak, który zna język arabski i irackie zwyczaje – stwierdzi Iwiński i dodaje, że rzecznikiem może być też cieszący się społecznym zaufaniem Irakijczyk.

– Jestem pewien, że rzecznik Polak niedługo by tam pożył. Straciłby życie przy pierwszej próbie rozsądzania sporów międzyplemiennych – uważa profesor Janusz Danecki, arabista. Wyjaśnia też, że w tradycji arabskiej istnieje już zwyczaj składania zarządzeń. – Kiedyś władca jeden dzień w tygodniu przeznaczał na wysłuchiwanie skarg swoich poddanych. Od razu podejmował decyzję, od ręki rozstrzygał spory – mówi arabista. Zdaniem profesora rzecznik to jednak dobry pomysł. – Rzecznikiem może być tylko Irakijczyk. Ja nie podjąłbym się teraz takiej funkcji, bo przez kilka lat musiałbym studiować zwyczaje Iraku i przede wszystkim tam mieszkać – mówi profesor Danecki. Jego zdaniem Polacy mogliby pracować w biurze rzecznika jako doradcy.

Bez względu na narodowość rzecznik powinien zacząć urzędowanie już 3 września, gdy nasze wojsko oficjalnie przejmie władzę w strefie. Zdaniem ministra Iwińskiego osoba powołana na to stanowisko powinna między innymi rozstrzygać sporne kwestie między Irakijczykami a Polakami zarządzającymi strefą. – Chelibyśmy też w ten sposób pokazać, że w Iraku nie jesteśmy okupantami – podkreśla Iwiński. (SA)

DEBEL WYŻSZEJ RANGI

PIĘKWSZY RAZ W HISTORII POLSKIEGO TENISA NASZ DEBEL WYGRAŁ W IMPREZIE Z CYKLU ATP TOUR



Mariusz Fyrstenberg (po lewej) i Marcin Matkowski podczas finału debła w Sopocie

Polacy Mariusz Fyrstenberg i Marcin Matkowski wygrali finał debła turnieju Idea Prom Open w Sopocie. Wcześniej w imprezach ATP Tour wygrywał Wojciech Fibak, który jednak zawsze grał w parze z tenisistami z innych krajów. Fyrstenberg i Matkowski pokonali w Sopocie najwyższą rozstawioną parę turnieju – Antiską Cermak i Leosa Friedla. Czesi są obecnie 11. deblami na świecie. – Teraz wiemy,

że stać nas na grę z lepszymi deblami – mówił Matkowski po meczu. Polacy za zwycięstwo otrzymali do podziału czek na 23 750 euro. Od prezydenta Sopotu dostali 20 tysięcy złotych – dla najlepszych Polaków turnieju. – Będziemy się zgłaszać do turniejów ATP i próbować swoich sił w imprezach wyższej rangi – zapowiada Fyrstenberg.

W finale singla wygrali Guillermo Coria z Argentyny i Anna Pistolesi z Izraela. (P)

STRZELANIE W FUZJĘ

W WALCE KREMLA Z OLIGARCHAMI PROKURATURA WIEŁA POD LUPE ROMANA ABRAMOWICZA, O NIEDAWNA WŁAŚCICIELA KLUBU CHELSEA



Dwaj najbogatsi Rosjanie: Roman Abramowicz (z lewej) i Michail Chodorkowski

Ozebraniu przez prokuraturę materiałów dotyczących Romana Abramowicza, którego majątek ocenia się na 5,7 miliarda dolarów, poinformowała agencja Interfax. Materiały te mają być wystarczające do wszczęcia śledztwa przeciwko oligarsze, który stał się znany w świecie po niedawnym zakupie brytyjskiego klubu piłkarskiego Chelsea.

Wcześniej uwaga prokuratorów skupiała się na dochodzeniu przeciwko koncernowi naftowemu Jukos. Aresztowano Platona Lebiewa

uważanego za prawą rękę szefa koncernu, Michaila Chodorkowskiego, najbogatszego człowieka w Rosji. Wielu analityków uważa, że w ten sposób Kreml mści się na Chodorkowskim za to, że ten sponsorował przeciwników Putina w grudniowych wyborach parlamentarnych.

Michail Chodorkowski i Roman Abramowicz planują połączenie swoich firm, tworząc w ten sposób czwarty na świecie koncern naftowy. Postępowania prokuratorskie mogą utrudnić fuzję. (NAT)

Paliwo najwyższej próby

Jako pierwsi powierzyliśmy niezależnym ekspertom badania naszych paliw



EDYCJA VI • 2003
MEDAL EUROPEJSKI

Masz to jak w baku: na każdej stacji Statoil możesz liczyć na niezmienną, gwarantowaną jakość paliw. Ich jakość kontroluje niezależny ekspert, szwajcarska firma SGS, światowy lider w dziedzinie kontroli i certyfikacji. Kontrole są niezapowiedziane, a paliwo pobierane jest bezpośrednio z pistoletów przy dystrybutorach – dokładnie takie jak to, które trafia do baku Twojego samochodu. A wszystko po to, by dać Ci absolutną pewność, że jeździsz na paliwie najwyższej próby.

STATOIL

AFERA Z SAMOBÓJCZĄ ŚMIERCIĄ EKSPERTA OD BRONI BIOLOGICZNEJ POCIĄGNĘŁA ZA SOBĄ DYMISJĘ SZEFA BRYTYJSKIEGO WYWIADU

58-letni sir Richard Dearlove miał być szefem wywiadu (MI6) jeszcze przez blisko dwa lata. Ale w Wielkiej Brytanii coraz mniej ludzi ufa wywiadowi, który na polecenie rządu tworzył przesadzone raporty o broni masowego rażenia w Iraku. To, że dane były przesadzone, potwierdzał pracujący dla ministerstwa obrony doktor David Kelly, specjalista od bro-

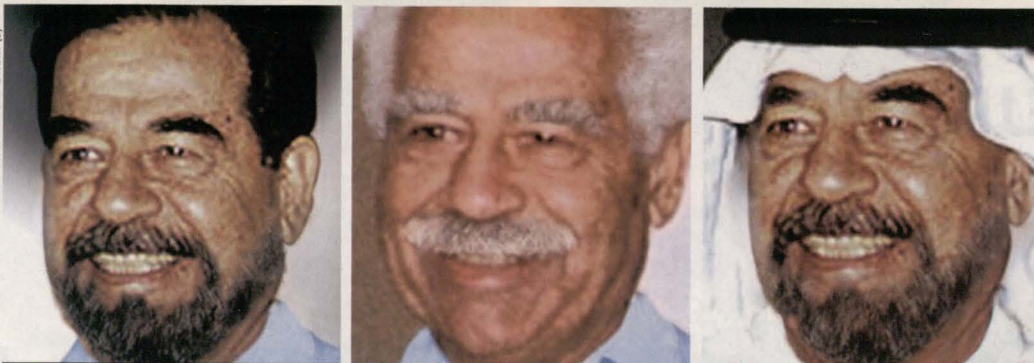
ni biologicznej. Po ujawnieniu tych rewelacji Kelly kilka tygodni temu popełnił samobójstwo.

Nie jest jasne, jaka była rola Dearlove'a w przedstawieniu opinii publicznej zafałszowanych danych wywiadu. Ale pewne jest, że Dearlove mógł się czuć niepotrzebny, bo coraz większe znaczenie w otoczeniu premiera zdobywa John Scarlett, szef Wspólnego

Komitetu Wywiadowczego. Scarlett zaś, w odróżnieniu od Dearlove'a, zrobił wszystko, żeby przypodobać się politycznym pryncypałom.

Jak na ironię to właśnie Scarlett ma największe szanse na zdobycie fotela szefa MI6. Co prawda Dearlove wskazał swojego następcę, ale decyzję podejmuje sam Tony Blair, którego Scarlett jest pupilkim. (MATY)

© Harpers Magazine – Tribune Media Services International 2003



Komputerowe symulacje zmienionego wyglądu Saddama Husajna. Takie zdjęcia rozdano żołnierzom USA w Iraku

PREZENT DLA SZABROWNIKA

SADDAM
HUSAJN
PODAROWAŁ
IRAKIJCYKOM
ZRABOWANE
PRZEZ NICH
MIENIE

Komunikat dla wspaniałego ludu irackiego (...). Wielu ludzi, wykorzystując anarchię, przejęło – nie z chciwości – dobytek kraju i partii (...). [Inni] zarówno na rozkaz, jak i z osobistej inicjatywy [zabrali to mienie], aby je chronić (...). Zdecydowaliśmy, że darujemy cały dobytek partii i rządu jako prezent dla każdego, kto wszedł w jego posiadanie. Niech używa go wedle woli, zatrzyma sobie lub sprzeda (...). W każdym przypadku całkowicie zabraniamy oddawania tego mienia występniemu zaborcy (...). W efekcie dotkliwych uderzeń mudżahedinów i oporu naszego ludu wobec okupantów zwycięstwo możliwe jest w każdej chwili (...). Proszę o respektowanie prawa międzynarodowego i nauce religii w postępowaniu z poddającymi się

wam żołnierzami okupacyjnej armii – mówił Saddam Husajn.

Dostarczona anonimowo do katarskiej telewizji Al-Dżazira i wyemitowana 1 sierpnia taśma magnetofonowa była czwartym wystąpieniem Saddama Husajna w ciągu zaledwie dwóch tygodni. We wcześniejszej, nadanej 29 lipca, był dyktator odnosił się do zabicia przez Amerykanów swoich dwóch synów Udaia i Kusaja oraz wnuka Mustafy. „[Teraz] cała młodzież naszego kraju, każdy młody Irakijczyk jest Udaiem, Kusajem lub Mustafą walczącym na polach dżihadu w bohaterskiej walce z wrogiem” – mówił Husajn.

Amerykanie zdradzili, że znaleźli przy ciele Udaia jego aktówkę, a w niej tabletki przeciwbólowe oraz viagrę, butelki z wodą kolońską, nieużywaną bieliznę, bluzy od dresu, jedwabny krawat i jedną prezerwatywę. Bracia mieli też ze sobą dwie damskie torebki i 400 milionów dolarów w gotówce.

Ciała synów i wnuka Saddama zostały wydane irackiemu Czerwonemu Półksiężycowi i pochowane w rodzinnym mieście Husajna – Tikricie. (P)

krótko

MAFIA KUPUJE MECZE

Sześciu piłkarzy drużyny Lukullus-Swit z Nowego Dworu Mazowieckiego PZPN zdyskwalifikował dożywotnio za sprzedaż barażowego dwumeczu ze Szczakowianką z Jaworzna. W efekcie Szczakowianka pozostała w pierwszej lidze, a Swit spadł do drugiej. – Piłkarze nie zostali wykluczeni z PZPN. Mają zakaz gry w rozgrywkach firmowych przez PZPN. Nie mają jednak zakazu pracowania na przykład jako trenerzy – wyjaśnia „Przekroju” Michał Kocięba, rzecznik prasowy PZPN. Tymczasem Boris Pesković, były bramkarz Świt (niezdyskwalifikowany), powiedział „Przeglądowi Sportowemu”, że to mafia, nie Szczakowianka, kupiła mecz, żeby zarobić na zakładach bukmacherskich. Przestępcy mieli mu oferować 15 tysięcy złotych.



Boris Pesković

LĄDOWANIE NA MYŚLIWCU

Pod płytą berlińskiego lotniska Schönefeld ukryto i zalano betonem bomby oraz zatankowane i uzbrojone myśliwce. Z akt byłego wschodnioniemieckiego przedsiębiorstwa lotniczego Interflug wynika, że w 1988 roku pod pasem startowym lotniska Schönefeld, osiemdziesiąt metrów pod ziemią, odkryto bunkry. Były w nich (i nadal są) niewybuchy i samoloty myśliwskie – wszystko z czasów II wojny światowej. Tym samym potwierdziły się podobne informacje znalezione wcześniej w aktach Stasi.

Według historyków broń zakopano w roku 1945. Po wkroczeniu do miasta Armia Czerwona nakazała władzom lokalnym pozbyć się wszystkich materiałów wybuchowych.

– Podziemne labirynty, nad którymi stoi dzisiejsze lotnisko, okazały się dobrym miejscem na składowanie niewybuchów – mówi Karl Heinz Eckhardt, berliński historyk. Burkhard Kieker, rzecznik lotniska Schönefeld, uspokaja i twierdzi, że pasażerowie są całkowicie bezpieczni. – W 1993 roku przeprowadziliśmy kontrolę bunkrów, z której wynikało, że niewybuchy nie stanowią zagrożenia – opowiada. Przyznaje jednak, że sam jest zaskoczony najnowszymi informacjami o uzbrojonych bombowcach, i zapowiada nowe badania. Przez Schönefeld przewija się rocznie około dwóch milionów pasażerów. Lokalni politycy będą dążyć do zamknięcia lotniska.

OTWARCIE W NOWYM JORKU MIEJSKIEJ SZKOŁY DLA GEJÓW I LESBIJEK WYWOŁAŁO SPRZECIWIY KONSERWATYSTÓW I... HOMOSEKSUALISTÓW

Wszyscy czują, że ta szkoła to dobry pomysł. Młodzi geje i lesbijki w innych szkołach stale są nękani i bici – mówił

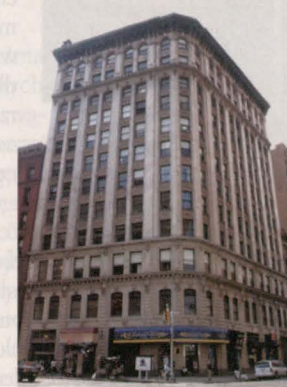
podczas otwarcia szkoły Michael Bloomberg, burmistrz Nowego Jorku. Nowa placówka o statusie szkoły wyższej położona jest na Manhattanie. Od września będzie do niej uczęszczać stu uczniów. Szkoła zarządza broniący praw mniejszości seksualnych Hetrick Martin Institute, który pokryje większość kosztów, choć pensję nauczycielom wypłaca miasto.

Szkoła specjalizuje się w nauczaniu informatyki, sztuki pięknych i sztuki gotowania. – Czy homoseksualistów uczy się jakoś inaczej? Czy istnieje matematyka ge-

jów? – pyta Mike Long, stanowy przewodniczący partii konserwatywnej.

Pomysł dzielenia uczniów na homo- i heteroseksualistów nie znalazł zrozumienia także w Europie. – Nie mamy oddzielnych klas dla czarnych. Dlaczego mamy więc mieć takie dla gejów? – zastanawia się Enrico Oliari, szef włoskiej organizacji GayLib. Podobne komentarze środowisk homoseksualnych można usłyszeć w innych krajach Europy. Zaś w USA porównuje się szkołę do XX-wiecznych muryńskich gett. Władze miasta zmieniają więc powoli zdanie i nieoficjalnie zapowiadają, że do szkoły będą przyjmowani też uczniowie heteroseksualni. (A, P)

HOMOGETTO?



Budynek szkoły na Manhattanie



Skazane na więzienie dominikanki przed budynkiem sądu w Denver

BOJOWNICZKI W HABITACH

TRZY
AMERYKAŃSKIE
ZAKONNICE
USZKODZIŁY
WYRZUTNIE
RAKIEŃ
Z GŁOWICAMI
ATOMOWYMI.
TERAZ PÓJĄ
DO WIĘZIENIA

Jackie Hudson, Carol Gilbert i Ardeth Platte sforsowały płot otaczający wojskowe instalacje w Weld County w stanie Kolorado, dobiegły do wyrzutni rakiet Minute Man III mogących przenosić broń jądrową, uderzały w nią młotkiem, po czym własną krwią namalowały na wyrzutni krzyż.

Rząd wycenił szkody na tysiąc dolarów, a sprawą zajął się sąd federalny – chodziło wszak o uszkodzenie mienia rządowego. Właśnie zapadł wyrok. „Niebezpieczne i nieodpowiedzialne” – jak określił je sędzia – siostry spędzą w więzieniu ponad dwa lata. Z wy-

rokiem nie zgadza się arcybiskup Denver Charles Chaput. – Czyn siostr był symboliczny i nie wyrządził większych szkód – przekonuje. Teraz przyjaciele skazanych zbierają się w miejscach rozmieszczenia wyrzutni rakietowych, modlą się, śpiewają i wygłaszają pokojowe przysięgi. Wynajęty samolot krąży nad okolicą z transparentem: „Znaleźliśmy broń masowej zagłady tu, w Kolorado”. To aluzja do kłeski amerykańskich poszukiwań w Iraku. Same siostry będą mogły wyjść na wolność za dobre sprawowanie dopiero po odbyciu połowy kary. (A)

Po prostu
ściągaj

Wystarczy
połączyć się z
WAP.ERAOMNIX.PL,
by ściągnąć na swój
telefon ulubione
dodatki prosto
z menu!



Bogaty wybór dzwonków
monofonicznych i polifonicznych,
logosów, kartek MMS i SMS,
wygaszaczy i obrazków czeka!



OmniX
Możesz więcej

WEZYR
Holiday Service

1490 zł
3* HB - 1 tydzień
Alanya Hotel Bilkay

1990 zł
4* ALL - 1 tydzień
Alanya Hotel Klas

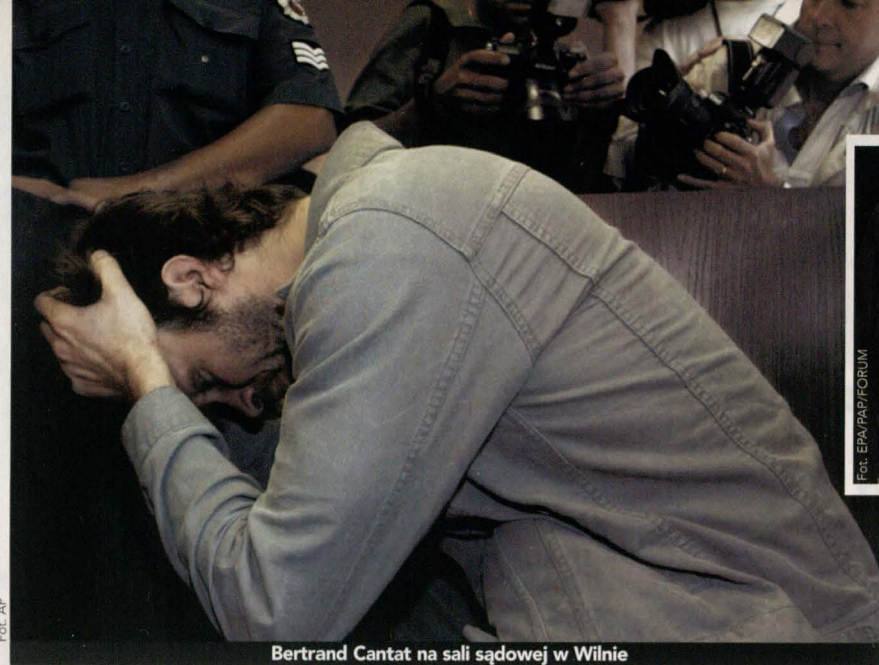
Najlepszy czas na Turcję!

O naszą ofertę pytaj w najbliższym biurze podróży



ODEON
TOURS

WEZYR Holiday Service
tel. 022 8281826
00-355 Warszawa, ul. Tamka 38
www.wezvrholidays.pl



Bertrand Cantat na sali sądowej w Wilnie

ODWIEDZINY ŚMIERCI

AKTORKA
MARIE TRINTIGNANT
NIE ŻYJE.
ZMARŁA
PO TYGODNIOWEJ
ŚPIĄCZCE
PRAWDOPODOBNI
POBITA PRZEZ
PRZYJACIELA

Przyczyną śmierci Marie Trintignant były urazy głowy spowodowane silnymi uderzeniami – stwierdzili francuscy patolodzy po sekcji ciała aktorki. Ich zdaniem kobieta otrzymała wiele ciosów w twarz. 41-letnia Trintignant zmarła w piątek 1 sierpnia, dzień po przewiezieniu jej samolotem z Wilna do Paryża. Marie, córka aktora Jean-Louisa Trintignanta, zagrała w ponad 30 filmach. Na Litwie brała udział w zdjęciach do reżyserowanego przez jej matkę filmu o życiu francuskiej pisarki Colette. W śpiączkę zapadła po kłótni ze swoim partnerem: 39-letni Bertrand Cantat



Marie Trintignant

przyleciał do Marie w odwiedziny. W wileńskim hotelu Domina Plaza w niedzielę 27 lipca od rana słyszał było odgłosy przewracanych mebli i tłuczonych szkła. Potem w pokoju Marie i Bertranda zapadła cisza. Gdy wkroczyli tam lekarze, aktorka od dwóch godzin była połączona w śpiączce. Cantat był też prawie nieprzytomny – próbował popełnić samobójstwo, biorąc leki i popijając je alkoholem. Trafił na odrucenie do szpitala, potem do aresztu. – Zeznał, że kłócili się i że popchnął panią Trintignant – relacjonowała litewska policja. Bertrand Cantat to wokalista francuskiej grupy rockowej Noir Desir. Jest popularny w swoim kraju: szeregi w wypowiedziach, walczący z rasizmem i globalizmem. Przed sądem, który decydował o aresztowaniu wokalisty, Cantat przeproszał rodzinę aktorki. – Nienawidzę to nie jest dobre uczucie, ale świetnie opisuje to, co teraz czuję – komentowała przeprosiny matka Marie, Nadine. Rodzina Trintignant doprowadziła do wszczęcia w Paryżu śledztwa przeciw Cantatowi o „umyślne pobicie z nieumyślnym doprowadzeniem do śmierci”. Śledczy pojadą na Litwę, a ministerstwo sprawiedliwości zapowiada ekstradycję Cantata do Francji.

Po śmierci aktorki Cantat załamał się. Przeniesiono go z aresztu do szpitala więziennego i, aby zapobiec samobójstwu, przywiązano pasami do łóżka. (P)

WŁADZA NA DWÓCH KÓŁKACH



Posterunkowy Chaintua Alozie patroluje na segwayu Rockefeller Plaza w Nowym Jorku

NOWOJORSKA
POLICJA DOSTAŁA
DO TESTOWANIA
10 ELEKTRYCZNYCH
HULAJNÓG SEGWAY

Na „samobalansującym środku transportu” – jak nazywa się oficjalnie ta hulajnoga – policjanci pojeżdżą przez 60 dni. – Będziemy używać ich ostrożnie i inteligentnie – zapewnia Ray Kelly, komisarz nowojorskiej policji. Na segwayu policjanci będą patrolować większe rejon, na przykład Central Park. Pojazd kosztuje około pięciu tysięcy dolarów

za sztukę. Można nim ścigać przestępcę z szybkością ponad 27 kilometrów na godzinę. Baterie wystarczą na trzygodzinny pościg.

Segway (nazywany wcześniej Gingerem) trafił do sprzedaży w 2002 roku. Od hulajnogi różni się napędem i ułożeniem kół: nie są ustawione jedno za drugim, lecz połączone osią.

krótko NAZWY NIE ODDADZĄ

Mieszkańcy wsi Kamień pod Radomem nie dadzą budulca na obelisk upamiętniający biskupa Jana Chrapkę, bo musieliby zmienić nazwę miejscowości. Obelisk z kamienia, który leży we wsi, miał stanąć przy nowej obwodnicy wokół Białobrzegów. Nie stanął, bo władze powiatu chciały wykopać głaz, nie licząc się z opinią mieszkańców wioski. Ta wzięła swą nazwę właśnie od 10-metrowego kamienia. – Musielibyśmy zmieniać nazwę wsi – powiedział „Przekroju” Sławomir Chochlewicz, sołtys Kamienia. Głaz jest w dodatku pomnikiem przyrody, bo przywodził do wsi z lodowcem miliony lat temu. Komitet budowy obelisku ku czci biskupa Jana Chrapki (który zginął w wypadku samochodowym w październiku 2001 roku) szuka teraz nowego kamienia.



Kamień ze wsi Kamień

POCZYTAJ MI, MA... DONNO

KSIĄŻKA MEGAGWIAZDY
MUZYKI POP POKONUJE
W PRZEDBIEGACH
„HARRY'EGO POTTERA”

Madonna wyda 15 września pierwszy tom napisanych przez siebie bajek zatytułowany „The English Roses”. To początek serii, która ma liczyć pięć części. Po raz pierwszy w historii księgarstwa tego samego dnia książka trafi do sprzedaży w ponad stu krajach i aż w 42 wersjach językowych. Przebija pod tym względem nawet „Harry'ego Pottera”.

Piosenkarka debiutowała literacko ponad 10 lat temu albumem „Sex” – z jej nagimi zdjęciami i krótkimi tekstami. Album sprzedawano wyłącznie osobom dorosłym. „Angielskie różyczki” mają trafić do dużo młodszego czytelnika – od sześciu lat wzwyż. Madonna sama jest matką dwojga dzieci: sześciolatniej Lourdes i dwuletniego Rocca. Treść „Angielskich różyczek” oraz ich szata graficzna są strzeżone pilniej niż fabuła drugiej części „Matriksa”. Wiadomo, że książka będzie miała 48 stron. Ilustracje stworzył „bardzo znany artysta”, którego nazwisko utrzymane jest w tajemnicy. Callaway Edition (właściciel praw autorskich) twierdzi, że książka opowiadać ma o przyjaźni, pi-



– Drażnią mnie puste, oglupiające dzieci bajki, więc postanowiłam to zmienić – mówi Madonna o powodach napisania „Angielskich różyczek”

żamowych party, zazdrości i dobrych wróżkach. Media utrzymują, że mówi o losach małego księcia i rudego liska. Polski wydawca, firma Zysk i S-ka, wyjaśnia, że bajki zostały osobiście wymyślone przez piosenkarkę. W Polsce książka ukaże się także we wrześniu – nie wiadomo jednak, czy będzie dostępna już w dniu światowej premiery. (SEB)

krótko FBI KOPIE DOŁY

Amerikanin skazany w lutym na dożywocie za próbę szpiegostwa na rzecz obcego państwa zakopał w parkach stanowych 20 tysięcy stron ściśle tajnych materiałów – ujawniło właśnie FBI. Brian Regan, były pracownik Narodowego Biura Rozpoznania, które obsługuje satelity szpiegowskie, przez trzy lata systematycznie ukrywał wykradzione dokumenty w 19 różnych miejscach. Informacje o położeniu skrytek zapisał szyfrem, po czym umieścił notatki w pudełku na szczoteczkę do zębów oraz w solniczce, które także zakopał. Z pomocą Regana FBI przez miesiąc rozszyfrowywało karteczki. Następnie cztery miesiące zajęło odkopywanie dokumentów.

Regan postanowił zdradzić swój kraj, bo nie zadowalała go niska pensja urzędnika. Na sprzedaży informacji o broni masowego rażenia i amerykańskim systemie wczes-

nego ostrzegania chciał zarobić 13 milionów dolarów. Miał w tej sprawie napisać listy do Muammara Kaddafiego i Saddama Husajna. Zanim zdążył cokolwiek sprzedać, w zeszłym roku wpadł w ręce FBI.



Rysunek z procesu. Oskarżony Brian Regan i obrońca Nina Ginsberg

» dzwonki

Nokia: 3210, 3310, 3330, 3410, 3510, 3510i, 5100, 5210, 5510, 6100, 6110, 6130, 6150, 6210, 6250, 6310, 6310i, 6510, 6610, 6800, 7110, 7210, 7250, 7650, 8110i, 8210, 8310, 8810, 8850, 8890, 8910i, 8910, 9110, 9110i, 9210, 9210i

Morcheeba "Otherwise" (D other)

Siemens: C45, S45, S55, ME45, MT50

Spiller "If this ain't love" (SD spiller)

Motorola: V50, V70, V100, V101, Talkabout 192, Timeport 250, 260, Acomplia A008

Sonique "Sky" (MD msky)

Aby pobrać dzwonek, wyślij SMS-a z odpowiednim kodem (np. D other) pod numer usługi 7266.

» dzwonki polifoniczne

Nokia: 3510, 3510i, 5100, 6100, 6610, 7210, 7250, 6800

Pink "Just Like A Pill" (ND pill)

Alcatel: One Touch 511, 512, 715

H. Valance "Kiss Kiss" (AD kisskiss)

Samsung: SGH N-600, SGH N-620, SGH T-100

Vangelis "Chariots Of Fire" (SAM chariots)

Aby pobrać dzwonek polifoniczny, wyślij SMS-a z odpowiednim kodem: (np. ND pill) pod numer usługi 7366, (telefony Nokia, Samsung) lub 7266 (telefony Alcatel).

» logo

Nokia: 3210, 3310, 3330, 3410, 3510, 3510i, 5100, 5110, 5130, 5210, 5510, 6100, 6110, 6130, 6150, 6210, 6250, 6310, 6310i, 6510, 6610, 6800, 7110, 7210, 7250, 7650, 8210, 8310, 8810, 8850, 8890, 8910i, 8910



Aby pobrać nowe logo, wyślij SMS-a z odpowiednim kodem (np. L walat) pod numer usługi 7266.

» kartki mms



Usługi dostępne również dla posiadaczy telefonów z WAP-em oraz do ściągnięcia przez SMS*. Szczegóły na www.eraomnix.pl, informacja: 801 202 602**

*Dotyczy usług „dzwonki” oraz „logo”.

**Opłata zgodna z cennikiem operatora sieci, z której wykonywane jest połączenie.



OmniX
Możesz więcej



– Służby absolutnie wymknęły się spod kontroli państwa – ostrzega Antoni Macierewicz

PRZEJRZAŁEM SŁUŻBY

WOJSKOWE
SŁUŻBY
INFORMACYJNE,
ZAMIAST
KONTROLOWAĆ
OBRÓT BRONIĄ,
NIELEGALNIE
SPRZEDAWAŁY JĄ
TERRORYSTOM.
PRZY OKAZJI
OSZUKIWAŁY
PREMIERA I UOP.
TAK UZNAŁA
PO PÓŁROCZNYM
DOCHODZENIU
SEJMOWA
KOMISJA
DO SPRAW SŁUŻB
SPECJALNYCH

MICHAŁ WÓJCIK: Czy Wojskowe Służby Informacyjne to organizacja przestępcza?

ANTONI MACIEREWICZ: To oceni niezawisły sąd. Komisja stwierdziła, że WSI wspierały działania przestępcze i ich dokonywały. W tym przypadku chodziło o handel bronią, która trafiła do sił walczących z naszymi sojusznikami. Od japońskiej Najwyższej Prawdy, przez rebeliantów w Somalii, małą rosyjską, aż po walczące strony w wojnie na terenie byłej Jugosławii. A w tym wszystkim siedział międzynarodowy handlarz Monzer Al-Kassar, który miał powiązania z Osamą ben Ladenem.

Kto w Polsce kontroluje ten handel?

– Zgodnie z prawem firma, która zamierza sprzedawać broń, przechodzi dokładną weryfikację. Prześwietla ją MSW i służby wywiadowcze. Sejmowa komisja badała nieprawidłowości związane z dwoma firmami – Cenreksem z większościowym udziałem skarbu państwa i Steo. Okazało się, że nielegalny handel organizowały te same osoby i te same służby, które zobowiązane by-

ły do kontrolowania tych operacji. Czyli pod pozorem kontroli WSI handlowały z trefnym odbiorcą. Służby te absolutnie wymknęły się spod kontroli państwa. To patologia. Ale omijanie prawa to skomplikowany proces, dlatego kontrola handlu jest tak trudna. Przypomnę tylko, że został oszukany premier, UOP, Interpol. Dlaczego? Bo WSI to najgroźniejsza, najpotężniejsza i najsukcesowniejsza służba, jaką państwo polskie dysponuje. Właśnie dlatego, gdy się wy naturzyła, powinna ulec daleko idącym zmianom. Powinna być rozwiązana i zbudowana od nowa. W obecnym kształcie WSI nie mogą dłużej istnieć.

Czym jeszcze zajmują się WSI?

– O stylu pracy tych służb niechaj świadczy fakt, że w ciągu ostatnich lat oficerowie WSI prowadzili i prowadzą nielegalne operacje w dwóch technicznych szkołach wyższych w Brzegu i Rykach. O wpływy na tych uczelniach walczą różne frakcje oficerów WSI, wykorzystując do tego cały arsenał środków i możliwości operacyjnych. Robią to przeciwko sobie. Wojna domowa

tych klik ma swoje ofiary. Są nimi szefowie i pracownicy uczelni, którzy piszą skargi do naszej komisji, że obowiązują się o swoje życie. Już dostawał takie groźby. Walka toczy się o dochody z tych uczelni. To są olbrzymie podki pochodzące z czesnego uczniów. Mechanizm wyciągania pieniędzy polegał na tym, że uczelnie były zmuszone do zatrudniania pracowników WSI i płaciły im swoiste haracze. Mało tego, uczelnie te musiały zatrudniać krewnych, znajomych czy przyjaciół tych oficerów. Z wyższych uczelni uczyniono forum zwalczających się klik WSI.

Ale nie to jest najważniejsze. Zarzutem wobec służb. W WSI stwierdzono infiltrację rosyjskich szpiegów, za kierownictwo nigdy nie wyciągnięto z tego organizacyjnych i personalnych konsekwencji. Dlatego – powtarzam – te służby trzeba rozwiązać i zbudować na nowo. **Ale pan doskonale wie, że po rozwiązaniu tych służb zgodnie z praktyką zwolnieni pracownicy przejdą do firm prywatnych i nadal będą robić to, co robili, tyle że już bez żadnej kontroli.**

– Tak rzeczywiście jest. Bo władze polityczne kraju są związane niemiłowarzystkich, rodzinnych i ideologicznych powiązań. Nikomu do tej pory nie zależało na „pruciu” tych układów. Nie ma politycznej woli rozbicia tej mafijnej struktury.

Ile jest firm handlujących bronią?

– Ponad 10 firm prywatnych i państwowych. Niektóre zanikają i odtwarzają się w innej postaci. Nie mam żadnych wątpliwości, że dzieją się tam nielegalne operacje finansowe. Przy okazji sprawy Cenrekusu i Steo ujawniliśmy też inne wątpliwe operacje, na przykład związane ze słynnym „obiadem dawskim”, w których dokonywano także podejrzanych transakcji finansowych. Powracając do pytania o kontrolę tych firm, trzeba powiedzieć, że o ile istnieje mechanizm kontroli firm państwowych, o tyle nikt już nie kontroluje firm prywatnych. Nikt z NIK-u nie stanie nagle w drzwiach takiej firmy i nie poprosi o dokumenty sprzedaży. Kontrolować te firmy może tylko Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, policja, prokuratura i właśnie WSI. W sytuacji, kiedy firmy, które nielegalnie sprzedają broń do krajów i organizacji objętych embargiem, zostały stworzone przez te służby, koło się zamyka.

ZMARLI



SAM PHILLIPS

Sam Phillips, 80, producent muzyczny i prezenter radiowy, odkrywca Elvisa. W roku 1953 do założonej przez niego wytwórni Sun Records przyszedł 18-letni chłopak, żeby nagrać dwie piosenki na urodziny swojej matki. Chłopak nazywał się Presley, a Phillips postanowił dać mu szansę. Rok później Sun Records, której mottem było: „Nagrywamy cokolwiek, gdziekolwiek, kiedykolwiek”, wydała pierwszy singiel Elvisa. Phillips pracował także z B.B. Kingiem, Jerryem Lee Lewisem i Royem Orbisonem. W 1986 roku został wyznaczony do rockandrollowej Garmii Sławy. – Nigdy nie oddechałem na emeryturę – powiedział trzy lata temu.



LETULI OLO MISILAGI

Letuli Olo Misilagi, 84, sędzia, biznesmen i były senator, propagator kultury wyspy Samoa, tancerz. Był pierwszym Samoańczykiem, który z katalogu wysyłkowego „Sears” zamówił buty do stępowania. Przysłano je razem z instrukcjami Freda Astaire’a. Letuli był mistrzem rytualnego samońskiego ailao – tańca noży. W 1946 roku, podczas tournée na Hawajach, podpalil noże, by urozmaicić swój występ, i tak powstało ailao afi, czyli taniec płonących noży. Od 10 lat odbywa się w Polinezji World Fire Knife Competition, światowy konkurs tańca płonących noży, który przyciąga tłumy. Letuli Olo miał dziewięć dzieci, 29 wnuków i 13 prawnuków.



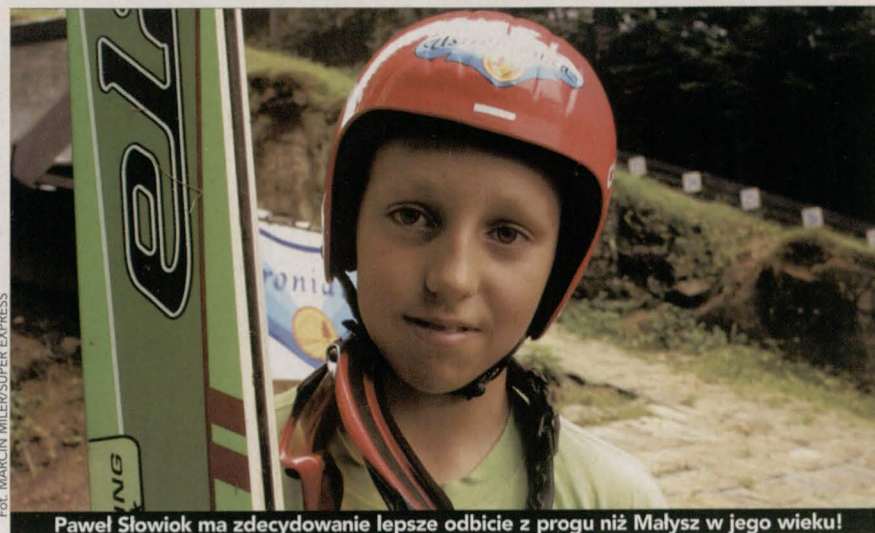
GRAŻYNA ŚWIATAŁA

Grażyna Świątała, 49, piosenkarka i kompozytorka. Od lat związana z polską sceną country, bywała w mragowskiego Pikniku. Była popularna wśród dzieci i młodzieży niepełnosprawnej, dla których zorganizowała w Ciecho-cinku festiwal piosenki. Studiowała na Wydziale Pedagogicznym katowickiej Akademii Muzycznej, ucząc się gry na skrzypcach, akordeonie i fortepianie. Wiedza o kompozycji przylatowała jej się później na estradzie, na której od 1970 roku (debiut w Opolu) śpiewała sporo własnych utworów. Wielbiciele często prosili ją na koncertach o piosenki „Moja miłość bez imienia”, „Ale Magda mówi”, „Dwa serca jak pociągi dwa”. Komponowała też pod pseudonimem Grażyna Kettner.



RAMCHANDRA DAS PARAMHANS

Ramchandra Das Paramhans, 93, hinduski działacz społeczny. Od 70 lat walczył o odbudowę świątyni w Adyohya w północnych Indiach. Hindusi uważają to miejsce za święte, ponieważ, jak głosi legenda, tam narodził się bóg Rama. W roku 1992 w zamieszku, jakie wybuchło po zniszczeniu XVI-wiecznego muzułmańskiego meczetu zbudowanego w miejscu świątyni, zginęło około trzech tysięcy ludzi. Rok temu w kolejnych rozruchach było 600 zabitych i rannych. Obecnie prowadzone są prace wykopalskowe, które mają pomóc w rozstrzygnięciu sporu między muzułmanami a hindusami. Po rozmowie z premierem Indii na temat specjalnego prawa na rzecz świątyni Paramhans dostał ataku serca.



Paweł Słowiak ma zdecydowanie lepsze odbicie z progu niż Małysz w jego wieku!

ROŚNIE MISTRZ

MAMY JUŻ
DWÓCH
MISTRZÓW
ŚWIATA
W SKOKACH
NARCIARSKICH!
TO NIE JEST
WAKACYJNY
ŻART
„PRZEKROJU”.
NASZ DRUGI
MISTRZ PAWEŁ
SŁOWIOK
MA 11 LAT
I TAK JAK
ADAM MAŁYSZ
POCHODZI
Z WISŁY

Sukcesu Pawła można się było spodziewać – ocenia trener chłopca Jan Szturc, a zarazem wujek i pierwszy trener Adama Małysza. – Wygrywał wszystkie serie treningowe, a w zeszłym roku zajął trzecie miejsce, startując ze starszymi o rok zawodnikami. Do Garmisch jechał jako jeden z faworytów.

Na nieoficjalne mistrzostwa świata uczniów do niemieckiego Garmisch-Partenkirchen przyjechało pod koniec lipca 62 kilkunastoletnich zawodników z 12 krajów. Polska wystawiła sześciopięciopięć ekipę. Chłopcy skakali na dwóch igelitowych skoczniach – starsi na K-80, młodszy, w tym Paweł Słowiak, na K-43. Polak skoczył 42,5 metra w pierwszej serii, w drugiej poprawił się jeszcze o metr. Łącznie wyprzedził drugiego w klasyfikacji Słowenca aż o cztery i pół metra.

Dzień później na tej samej skoczni polski zespół w składzie: Paweł Słowiak oraz bracia Maciej Kot (12 lat) i Jakub Kot (13), wygrał konkurs drużynowy. Sukces był tym większy, że Polacy wyprzedzili Niemców, w których drużynie startowali indywidualni mistrzowie świata w kategorii 12- i 13-latków. Uczniowskie zawody w Garmisch organizowane przez FIS już dawniej wygrywali późniejsi mistrzowie światowych skoków, na przykład Słoweniec

Primož Peterka i Austriak Andreas Widhoelzl.

Czy Paweł ma szansę powtórzyć karierę Adama Małysza?

– To bardzo zdolny i pracowity chłopak – tłumaczy Szturc. – Ma zdecydowanie lepsze odbicie z progu niż Małysz w jego wieku, ale nic z tego nie musi wynikać. Wszystko zależy od tego, jak Paweł będzie się rozwijał. Trudno powiedzieć, co będzie, gdy zostanie seniorem.

Na razie wszystko jest na dobrej drodze – Słowiak ma za sobą skoki na średniej skoczni, w których „nieźle sobie radził”. A w maju w obecności Adama Małysza wygrał międzynarodowy Turniej Trzech Skoczni w Wiśle.

Młody mistrz jest spokojnym i sumiennym chłopcem – w klubie Wisła-Ustronianka trenuje nawet sześć razy w tygodniu. Lubi też grać w piłkę nożną. Jego mama, brązowa medalistka mistrzostw Polski młodzieckich w biegach narciarskich, pracuje jako magazynierka w ośrodku wczasowym, a ojciec jest celnikiem. Paweł ma o dwa lata starszą siostrę.

W roku 2001 w Wiśle dziennikarz „Gazety Wyborczej” spotkał dziewięcioletniego wówczas Pawła w sklepie z gadżetami. Chłopiec przyszedł z ojcem, żeby kupić koszulkę z wizerunkiem Adama Małysza. Na koszulkę z Pawłem Słowiakiem musimy jeszcze kilka lat poczekać. (RAF)

❖ **CIASNO ZAWIĄZANY KRAWAT** może być powodem jaskry – twierdzą naukowcy z Nowego Jorku. Silne ściśnięcie szyi krawatem powoduje wzrost ciśnienia w gałkach ocznych, co ma prowadzić do chorób oczu.

❖ **W TROSCE O STARSZYCH PISARZY** pozostających w cieniu młodych gwiazd literatury w Wielkiej Brytanii ustanowiono nagrodę literacką Saga. Mogą ubiegać się o nią wyłącznie pisarze, którzy przekroczyli 50 lat.

a właściwie
to...

KRZYSZTOF SKOWROŃSKI



Choć od dawna wiadomo, że premier nadaje się do rządzenia Polską tak jak walec do pielenia truskawek, to dopiero teraz okazało się, że procesy gnilne w SLD są tak daleko posunięte, iż obecny układ rządzący musi się rozpaść. Problemu w tym, że się rozpadnie, oczywiście nie ma, ale jest w tym, kto i co na to miejsce powstanie. Dziś wydaje się, że najbardziej racjonalne byłoby stworzenie rządu wokół Jerzego Hausnera. Wicepremier od dwóch lat systematycznie zwiększa zakres swojej władzy. Kontroluje coraz więcej obszarów istotnych dla państwa i jego przyszłości. Hausner jest też pierwszym politykiem, od którego uzależniony jest premier, i jedynym, który może się pokusić o stworzenie rządu fachowców. Jego siła polityczna jest zbyt mała, by budzić zazdrość, jednocześnie autorytet i zaufanie są wystarczająco duże, by opozycja powierzyła mu władzę w państwie. W stworzeniu sejmowej większości Hausnerowi może pomóc prezydent

Walec do pielenia truskawek

i część działaczy SLD. Taki układ jeszcze się nie wyklarował, ale jego potrzeba jest bardziej dojrzała niż Edyta Górniak. Zanim nastąpi faktyczne przejęcie władzy, można się spodziewać akcji odwetowej na politykach opozycji ze strony grupy sprawującej władzę. Teraz wygląda na to, że uwikłany w korupcję jest tylko układ związany z SLD. Tymczasem wiadomo, że w każdej partii, która sprawowała władzę, są ludzie, którzy podejmowali decyzje wątpliwe z punktu widzenia interesów państwa, natomiast niewątpliwe z punktu widzenia krewnych

i znajomych królika. Premier i grupa wokół premiera, która przybrała zbroje nieprzejdanych rycerzy. Dobra, po pozornie srogim i surowym oczyszczeniu własnych szeregów ruszy do równie surowego ataku na opozycję. Przykład dał premier w Sejmie, gdy oskarżył jednego z polityków opozycji o powiązania z mafią. Wprawdzie przeprosił, ale nie można myśleć, że Miller, podobnie jak, nie przymierzając, Mickiewicz, działa pod wpływem natchnienia. To była zapowiedź kontrataku, do którego na pewno dojdzie w momencie dogodnym dla rządzących, a przygotowanego z taką precyzją jak kontra premiera po referendum europejskim. Jeśli z tych walk premier będzie wychodził zwycięsko, to w końcu jedynym sposobem ocalenia demokracji będzie orędzie do narodu wygłoszone przez Marka Piwowońskiego, w którym przeprosi Polaków za niedogodności życia, usprawiedliwiając je koniecznością stworzenia naturalnego tła do drugiej części „Rejsu”. Z takiego obrotu sprawy ucieszyliby się kartuzi, bo legenda głosi, że w jeziorze klasztornym został zatopiony ich największy skarb – Walec do Pielenia Truskawek. ■



Egito Gonçalves

(1922 – 2001)

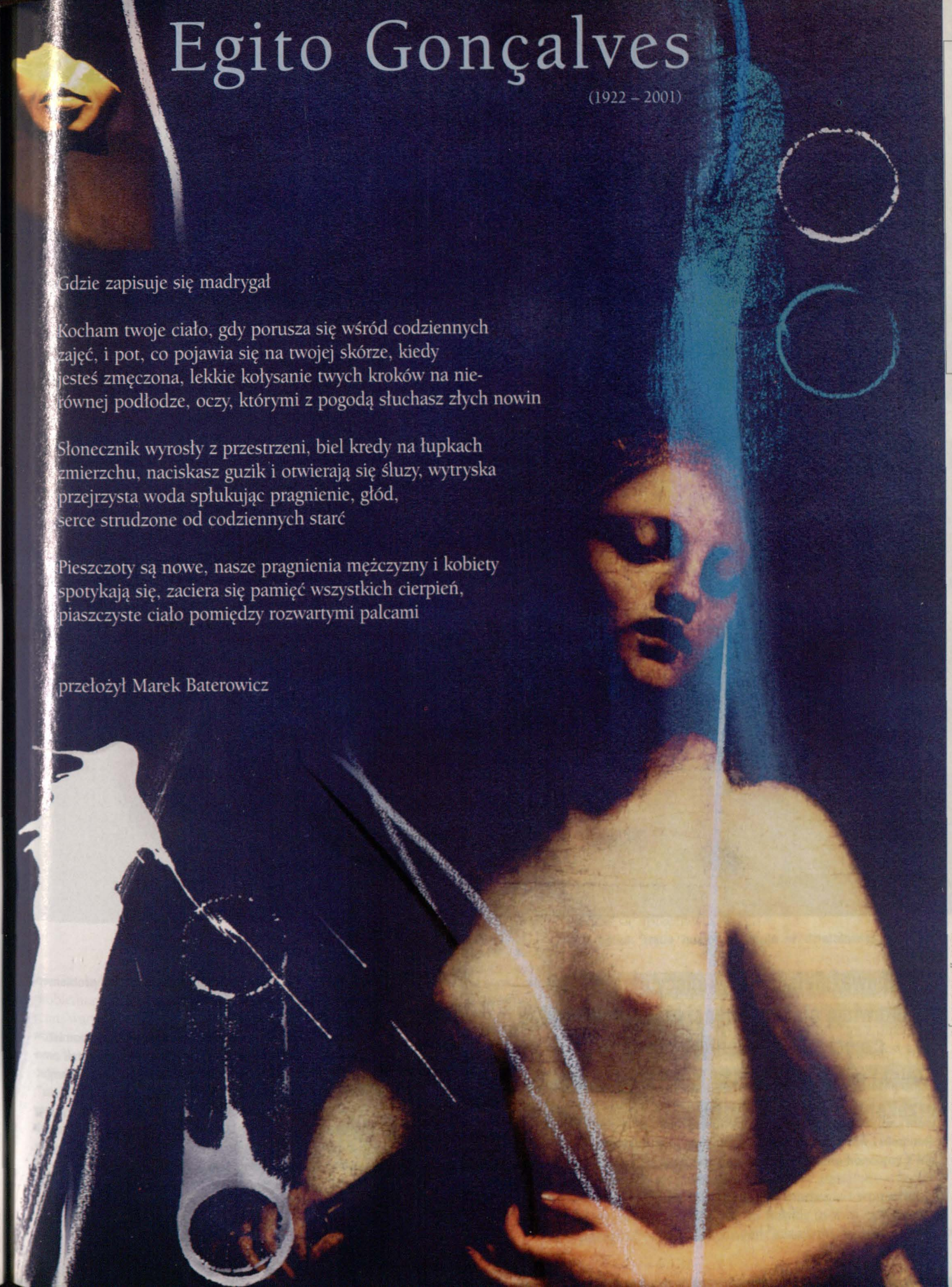
Gdzie zapisuje się madrygał

Kocham twoje ciało, gdy porusza się wśród codziennych zajęć, i pot, co pojawia się na twojej skórze, kiedy jesteś zmęczona, lekkie kołysanie twych kroków na nierównej podłodze, oczy, którymi z pogodą słuchasz złych nowin

Słonecznik wyrosły z przestrzeni, biel kredy na łupkach zmierzchu, naciskasz guzik i otwierają się śluzy, wytryska przejrzysta woda splukując pragnienie, głód, serce strudzone od codziennych starć

Pieszczoty są nowe, nasze pragnienia mężczyzny i kobiety spotykają się, zaciera się pamięć wszystkich cierpień, piaszczyste ciało pomiędzy rozwartymi palcami

przełożył Marek Baterowicz





Najpoważniejsi amerykańscy ekonomiści zastanawiają się, czy bogaci nie powinni oddać części swoich pieniędzy biednym.
Polski miliarder ALEKSANDER GUDZOWATY przekonuje Piotra Najstuba, że to zły pomysł

Czy ktoś już pana zawiadomił, że jest pan problemem współczesnego świata?

– Ja? To jakiś absurd!

Paul Krugman, jeden z najwybitniejszych ekonomistów w Stanach, uważa, że problemem głównym ekonomii amerykańskiej jest dzisiaj to, że „bardzo wąska grupa najbogatszych zagarnia coraz większy kawałek wspólnego tortu”, i ma na to przejmujące dowody: w 1970 roku 13 tysięcy najbogatszych rodzin w USA miało taki sam dochód jak 20 milionów najuboższych, a już w 1998 te same 13 tysięcy rodzin najbogatszych miało dochód 300 razy większy niż te 20 milionów. Przepaść między najbiedniejszymi i najbogatszymi jest już astronomiczna. To jest problem całego świata, w tym Polski. A pan, polski miliarder, jest elementem tego problemu.

BOGACZ BOGACZOWI BOGACZEM

ALEKSANDER GUDZOWATY – DRUGI NA LIŚCIE NAJBOGATSZYCH POLAKÓW, WART JEST, WEDŁUG „WPROST”, PONAD TRZY MILIARDY ZŁOTYCH. MA 65 LAT. STUDIOWAŁ METALURGIĘ I HANDEL ZAGRANICZNY. W CZASACH PRL-U PRACOWAŁ JAKO GONIEC, POTEM BYŁ URZĘDNIKIEM W CENTRALI HANDLU ZAGRANICZNEGO. NALEŻAŁ DO PZPR. STRACIŁ PRACĘ W WYNIKU PRZEMIAN Z ROKU 1989. JEGO FIRMA BARTIMPEX DOROBIAŁA SIĘ NA HANDLU BARTEROWYM Z ROSYJSKIM GAZPROMEM. OSTATNIO GUDZOWATY W RAMACH TAK ZWANEGO OFFSETU ZAWARŁ UMOWY Z AMERYKAŃSKIMI FIRMAMI. W KRAJU ZAINWESTOWAŁ W SEKTOR BIOPALIW. MA POSIADŁOŚĆ POD WARSZAWĄ (Z KOPIĄ PIRAMIDY W GIZIE ORAZ PRYWATNYM ZOO) I DRUGĄ OPODAŁ CANNES (FRANCJA). JEGO SYN TOMASZ JEST ZNANYM FOTOGRAFIKIEM.

Fot. ANDRZEJ WAWOK/REPORTER

– To chyba nie jest problem, że ktoś się bogaci, tylko problemem jest to, że ten drugi nie nadaża, bo nie ma ku temu warunków.

Nie nadaża i nie będzie nadażał. To już wiemy.

– Ale dlaczego tak się dzieje?

Pan wie?

– To skutek tego, kto ma dostęp do wytwarzania jakiegokolwiek dobra. Nie chcę być postrzegany jako przeciwnik globalizacji, ale jestem gorącym przeciwnikiem wszelkich koncentracji, a tę globalizacja powoduje. Z jednej strony przynosi zbawienie, ale i pewien reżim globalnego postępowania. Czyli nie daje szans na własne pomysły, bo obowiązuje w niej model narzucony. Nie ma problemu bogacenia się, jest problem multikoncernów, które chcąc być coraz wydajniejsze, z jednej strony po-

zbawiają ludzi pracy, a z drugiej swoją wielkością uniemożliwiają powstanie lokalnej konkurencji.

Globalizacja w czymś jeszcze niszczy kapitalizm. W jego tradycyjnym modelu niektórzy też się bogacili, ale zyski inwestowali w tym samym kraju, w którym działali, i w tym samym kraju płacili podatki. Globalizacja okaleczyła ten system, uczyniła go bezużytecznym dla rozwoju państw.

– Czyli to nie jest problem bogactwa, ale problem znikania granic.

A może to jest problem chciwości? Może koncerny i ich właściciele są zbyt chciwi?

– Wiedzą, że dzisiaj obroty, a więc wpływy, zależą od wielkości firmy. Większy zarobi więcej.

Takie dążenie do astronomicznego już zysku nie jest chciwością?

– Niech pan nie spłyca problemu, to nie ma nic wspólnego z chciwością. Chyba że powiemy, iż zysk jest głównym i jedynym kryterium działalności biznesowej. A temu ja się sprzeciwiam!

Jednak takie hasło dominuje w działalności wielkich firm.

– Tutaj się muszę zgodzić, ale to nie jest zwykła chciwość. To jest obłęd, dlatego że oni tych wszystkich zysków nie przejeżdżają, nie wydadzą, to niemożliwe. Szczerze mówiąc, to się tego boję, bo ilekroć się spotykam z dużą grupą kapitałową, to spotykam się z agresją. I to nie jest agresja właścicieli, to jest agresja zmanierowanych urzędników. Oczywiście inną bajką jest mówienie o tym, co robią bogaci z pieniędzmi...

O tym później. Pański sprzeciw wobec globalizmu kłóci się z publicznymi marzeniami polskich polityków i ekonomistów. Oni chcą do nas sprowadzić globalne koncerny z ich technologiami i standardami.

– Jeżeli im się uda spełnić te marzenia i wpuszczą te nowoczesne technologie do Polski, to możemy już się pożegnać z powszechnymi szansami na pracę. Te

potencjalne stanowiska pracy zastępują wielkie, zaimportowane maszyny przywiezione do nas w kontenerach – bo tak się dzisiaj „buduje” nowe fabryki. Nie chcę, żeby pan mnie posądził o archaiczność, ja tylko jestem zwolennikiem proporcji w każdej sprawie i dostosowania do potrzeb.

Nie możemy uszczęśliwiać kraju, pozbawiając ludzi szans na pracę, czyli na zarabianie. W tym sensie granice koncentracji trzeba poddać jakiejś regulacji. Jeśli tego nie zrobimy, to pozostaje nam już tylko budować państwo opiekuńcze, które będzie dawało pieniądze, powodując frustrację, potem lenistwo, a na koniec agresję. Wtedy nastąpi samounicestwienie. To w ten sposób świat zmierza do samozagłady.

Pan w pracy widzi główny sens organizujący życie ludzi, są już jednak koncepcje, które mówią, że w jakiejś przyszłości pracy i tak zabraknie dla większości, bo całą produkcję i wielką część usług obsłużą maszyny. I coś innego niż pracę trzeba będzie proponować ludziom. Na przykład być może w przyszłości będziemy ludziom płacić za czytanie książek, chodzenie do teatru, dbanie o kondycję fizyczną – to będzie ludzka aktywność.

– Człowiek ma w naturze pracę. Samo czytanie, sport mu nie wystarczą. Spełniamy się, pracując.

A może państwo będzie wołało płacić ludziom za wieczną naukę w kolejnych szkołach, niż tworzyć nowe, niepotrzebne miejsca pracy?

– Człowiek kształci się po to, żeby wytwarzać jakieś produkty – materialne, intelektualne, to nie ma znaczenia. Uczyć się tylko dla siebie? Człowiek musi coś oddawać innym, swoją wiedzę, umiejętność, inaczej staje się konfliktowy.

To być może przyszłość. Jednak dzisiaj problemem jest nadmierne bogactwo.

– Bogactwo ma także zalety. To jest tezauryzacja, to jest sprawa unikalnych technologii zaspokajających luksusowe potrzeby, na przykład te wielkie, wspaniałe jachty...

Ale to nie może być usprawiedliwieniem dla i tak już dużych różnic.

– Dlaczego nie?! Różnica wynika z koncentracji.

Różnice między bogatym a biednym były zawsze, tylko że dzisiaj bogaty jest już bogaty, jakby żył na innej planecie!

– Nie, jego pieniądze pracują. To nie są pieniądze do wydania przez niego!

Ja cały czas próbuję mówić o problemie strukturalnym, a pan odpowiada, jakbym wsadzał mu rękę do kieszeni.

– Nie, nadal uważam, że różnica posiadania nie ma tu nic do rzeczy! I dlaczego pan to do ludzi sprowadza? Są także bogate banki...

Mają konkretnych, ludzkich właścicieli.

– Muszę panu coś uzmysłowić. Człowiek bardzo bogaty nie ma dostępu do większości swoich pieniędzy. One są jak klocki lego, którymi coś się układa, i to najczęściej nie rękoma tych posiadaczy. Oni je komuś oddali na przechowanie z pożytkiem...

Z procentem.

– Z pożytkiem dla wszystkich, one służą do rozwijania kolejnych produkcji. I każdy ma do nich dostęp zgodnie z procedurami bankowymi, społecznymi. Więc to chyba

**Człowiek
bardzo bogaty
nie ma dostępu
do większości
swoich
pieniędzy**



**100 NAJBOGATSIYCH
POLAKÓW Z LISTY
TYGODNIKA „WPROST”
W CIĄGU 13 LAT
TRWANIA KAPITALIZMU
W POLSCE DOROBİŁO
SIĘ MAJĄTKU
SIĘGAJĄCEGO PRAWIE
45 MILIARDÓW
ZŁOTYCH.
100 POLAKÓW
ZARABIAJĄCYCH
MINIMALNĄ PENSJĘ,
KTÓRA DZISIAJ WYNOŚI
800 ZŁOTYCH BRUTTO,
MUSIAŁOBY PRACOWAĆ
46 665 LAT, ŻEBY
ZAROBİĆ TAKĄ SUMĘ.**

dobrze, że jest bank, który ma pieniądze? To, że jego właściciel jest bogaty, niczemu nie przeszkadza, bo on ma ograniczone sensem wydatki.

Niech sobie będzie bogaty, ale dlaczego musi być aż tak astronomicznie bogaty? On i tak już tych wszystkich pieniędzy nie wykorzysta, bo ma ich za dużo.

– Ma ich za dużo, czyli tak naprawdę on ich nie ma. Odkrył pan pewną prawdę: jeśli ktoś ma tak dużo pieniędzy, że ich nie wykorzysta, to to jest dokładnie tak samo, jakby ich nie miał.

To byłaby śmiała teza, gdyby nie wypowiedział jej bogacz.

– Jest prawdziwa, bardzo bogatemu pozostaje już tylko świadomość bogactwa. Przecież Bill Gates wie, że mając dużo pieniędzy, on ich naprawdę nie ma, bo one nie są w jego zasięgu potrzeb. Chyba żeby zaczął kupować państwa. Zapewniam pana, że ja też mam, zachowując proporcje, dużo pustego pieniądza. To znaczy, że on nie jest dla mnie, bo go nie potrzebuję, bo przecież mam już swoje przyzwyczajenia. Ten pieniądz jest w bankach polskich, zagranicznych i jestem zdany na dobrą pracę tych banków.

No dobrze, ale skoro bogaty ma już tak dużo, że i tak nie jest w stanie tych wszystkich pieniędzy wykorzystać, to może powinien je komuś po prostu oddać?

– To już jest sprawa altruizmu.

Nie altruistycznie, ale automatycznie.

– Ale pan wie, że za dużo pieniędzy na rynku to też są kłopoty ekonomiczne? Jak bogaty odda, a państwo rozda, to nagle się okaże, że...

...że popyt wzrósł, bo biedni mają za co kupić.

– Naprawdę, nie zazdrościmy tym bogatym.

Ja nie mówię o zazdrości.

– Ale co pan chce?! Ja wolę, żeby były bankowe ograniczenia i dotychczasowe schematy w dostępie do tych pieniędzy, niż żeby to politycy decydowali, jak je wydać, komu rozdać!

To jest rzeczywiście pewien problem, bo gdyby nawet bardzo bogaci ludzie zrzekli się części majątku, żeby wyrównać te różnice, to państwa te pieniądze mogą zmarnować.

– Dlatego moim zdaniem ta koncentracja w prostej linii idzie ku katastrofie. Na pewno światu jest potrzebne przyhamowanie.

Przyhamowanie czego?

– Rozwoju przyspieszonego. Rozwoju materialnego.

Panu łatwo mówić, bo pan już...

– ...ale jak nie miałem, mówiłem to samo. We wszystkim są potrzebne proporcje.

Chce pan to powiedzieć tym biednym, którzy za chwilę będą was wysadzać w powietrze?

– Biednym trzeba dać szansę na pracę. Trzeba zacząć dyskutować o tym, jaki jest najszybszy sposób zapewnienia im pracy, czyli satysfakcji. Ale jeżeli my zaczniemy od sprowadzania najnowszych technik, to wiadomo, że tej pracy nie będzie. Każdy kraj jest w innym stopniu rozwinięty i musi sam określić, jaki poziom techniczny jest mu potrzebny. I dostosowany do jego problemów społecznych.

Najwięcej mamy niewykwalifikowanych lub mało wykwalifikowanych bezrobotnych. Co można dla nich znaleźć za pracę? Mają zmeliorować łopatami Żuławy?

– Choćby i to. Wreszcie coś tam dochodowego wyrosnie. Człowiekowi trzeba zapewnić godną płacę, która zabezpieczy jego poziom podstawowych oczekiwań i jego godność. Chorobą bezrobotnych jest upokorzenie. I jeżeli pan to zabezpieczy, to reszta... Takie społeczeństwo jest nieagresywne. Więc bogatych bym zostawił w spokoju. Oni już są nieszczęśliwi, że nie mogą tego wszystkiego zjeść, biedaki.

W USA jest grupa, która nazywa się Bogactwo z Odpowiedzialnością. Skupia biznesmenów i właścicieli. Niedawno zaprotestowali przeciw planom zmniejszenia podatków dla najbogatszych, czyli między innymi dla siebie. Inni forsują tak zwany New Deal, to znaczy umowę o równomiernym rozwoju ekonomicznym wszystkich klas: najuboższej, średniej i wyższej.

– To są dewiacje! Dadzą minimum socjalne, będą kształcić wszystkich i się zaczną...

Niech pan posłucha do końca. Mówią, że trzeba dać każdemu dorosłemu obywatelowi 670 dolarów miesięcznie na podstawowe utrzymanie, a każdy, kto ukończy szkołę wyższą, dostałby 800 tysięcy dolarów, które oddawałby przez całe życie.

– Już te 670 świadczy, że to jest...

...jeszcze nie skończyłem. Oni proponują, żeby to na początku sfinansować z jednorazowego, bardzo wysokiego podatku od posiadania.

– Zaraz pan przejdzie do wspólnych żon, bo jeden ma brzydką żonę, a drugi ładną.

Mieliśmy rozmawiać poważnie. A to jest propozycja poważnych naukowców.

– To jest poważna rozmowa, ale człowiek musi zarobić swoje pieniądze – darowizna obraża.

To nie byłaby darowizna, to miałby być system państwowy.

– No to pójdą na wódkę, wypiją piwo... Zniknie szacunek dla pieniądza, dla pracy. Pieniądze łatwo zdobyte przestają cieszyć, nie dają satysfakcji. Rozdawnictwo jest demoralizacją.

Polska rocznie też rozdaje miliardy.

– Ale tym, dla których nie potrafiła zorganizować pracy. Ten amerykański pomysł to przykład jakichś kokietów, którzy chcą się zaprezentować politycznie jako kochający lud cały.

Pan opowiada te oczywistości o organicznej potrzebie pracy, o godności pracującego, o potrzebnym szacunku dla pieniądza. Ale co zrobić z ludźmi, którzy nawet pracując, zarabiają za mało pieniędzy i nie są w stanie zaspokoić innych swoich potrzeb, i są coraz bardziej z tego niezadowoleni? A widzą, że ta grupa – w przypadku Ameryki 13 tysięcy rodzin, w przypadku Polski to jest pewnie około 300 rodzin – ma coraz więcej pieniędzy?

– Dlatego potrzeby podzielono na potrzeby zwykłe, potrzeby trochę luksusowe i potrzeby bardzo luksusowe. Każdą poprzedza granica dostępu. To jest ta siła vitalna, która porusza społeczeństwa i gospodarkę. Jeżeli pan mówi, że luksus przeszkadza, to się pan myli – luksus pobudza marzenia.

Jeżeli na wyspie będzie żyło w luksusie troje ludzi, a 16 tysięcy innych będzie tylko na to patrzyło...

– ...to zjedzą tych troje. Samoregulacja polega też na tym, że są rewolucje. One są od pana i ode mnie niez-

Jeżeli pan mówi, że luksus przeszkadza, to się pan myli – luksus pobudza marzenia

leżne. Każda koncentracja kapitału powoduje rewolucję, upadek starego porządku.

Nie lepiej tego uniknąć? Zbiorowo oddać po dobroci?

– Na zmarowanie? Bo to i tak nie zapobiegnie tej rewolucji. A Polska do niej zmierza, bo rządzona jest bardzo źle przez kolejnych polityków. Ludzie są karmieni marzeniami, które się nie spełniły. To powoduje frustrację, a stąd już tylko krok do rewolucji. Mnie denerwuje, że nie mamy szansy spokojnego dojścia do średniego europejskiego poziomu życia, tylko musimy się już teraz dostosować do tego tańca piekielnego, tańca globalizacji.

To jest trochę archaiczne, ale uważam, że my powinniśmy przed wejściem w to dorosłe życie jeszcze trochę się wzbogacić. Ale mam świadomość, że nawołując do tego, jestem śmieszny i samotny.

Niech pan tego nie mówi głośno. Bo co to znaczy: „Musimy trochę się wzbogacić”? Kowalski trochę, a pan bardzo! I znowu będzie to samo!

– Ale tak jest zawsze i nie ma w tym nic złego. Poza tym trzeba umieć się dzielić. Zawsze płaciliśmy podatki w Polsce. I wie pan, przedziwna rzecz, że nikt tego nie docenił, naprawdę nikt. Nawet tacy jak pan frustraci.

Ja nie jestem frustratem, ja przyszedłem pana ostrzec.

– Mnie pan nie musi ostrzegać. Wiem, że zginiemy w światowym reżimie koncernów.

Może jednak coś jeszcze mądrzy ludzie poradzą. Chociaż martwi mnie, że w USA, Anglii, Niemczech trwają dyskusje na temat tego, jak poradzić sobie z frustracją biednych i kuszając los nadmierną siłą bogatych, a w Polsce nie ma takiej dyskusji. Nas interesuje, co tam znowu powiedział Lepper. Dlaczego polscy biznesmeni nie próbują z polskimi politykami, ekonomistami, z polskimi filozofami o tym rozmawiać?

– Dlatego, że polskich biznesmenów nikt nie słucha.

Mówi pan jak obrażone dziecko w piaskownicy. A dlatego tak jest, że głównie organizujecie aukcje charytatywne, bale i gale.

Mnie pan nie musi ostrzegać. Wiem, że zginiemy w światowym reżimie koncernów

– Ja akurat tego nie lubię.

To, że pan nie lubi, nie jest ważne, tam może pan nie chodzić.

– Bo do dyskusji trzeba mieć partnerów, a politycy chyba z nami nie chcą dyskutować. Mam wrażenie, że nikomu na razie nie zależy na Polsce. Nie używa się nawet tego języka. To zaczyna być groźne. Naprawdę nie ma z kim rozmawiać.

Dobrze, jest problem w naszych politykach, ale może i biznesmeni są ze zbyt marnego materiału, żeby odpowiedzialnie taką debatę prowadzić?

– To prawda, materiał biznesmena to jest jego kapitał. Ja ciągle mówiłem, żeby wzbogacać polskich biznesmenów, polskie inicjatywy, że musimy tworzyć załóżki kapitału własnego i państwo powinno nam pomagać. A tego nie robi.

Mówiąc o „materiale”, miałem na myśli nie tylko ich klasę finansową, lecz także brak potrzeby takiej rozmowy. Im się wydaje, że wystarczy mieć dużo pieniędzy, a wpływy polityczne dla rozumnych decyzji władzy sobie kupią. Nie rozumieją, że spokoju kupić sobie nie można.

– Tak, tu pan, niestety, ma rację, stopień świadomości biznesu jest niski. Jesteśmy za bardzo aspołeczni, nie myślimy w tych kategoriach. To jest proces, musimy czekać. Może następne pokolenie...

Pański syn, współwłaściciel pańskiej fortuny, uciekł od takiej odpowiedzialności, jest fotografem.

– Tak, ale mój syn strasznie dużo pracuje i za to go bardzo szanuję i podziwiam.

Ja nie mówię, że on się upija za pańskie pieniądze, tylko że nie weźmie po panu tej odpowiedzialności, nie zobaczymy go w dyskusji ekonomicznej.

– Bo uciekł w świat dobry, uciekł w sztukę. A co do reszty? Jesteśmy jeszcze wszyscy rozdygotani, nie mamy dobrych wzorców osobowych. Nie ma edukacji społecznej, nie wiemy, jak mamy żyć ze sobą. Zgadza się z panem, że nie ma myślenia prospołecznego w grupach biznesowych. Każdy tak deklaruje, ale tak naprawdę w tym nie uczestniczy. Jedynym sprawdzalnym odniesieniem jest dzisiaj skłonność lub brak skłonności do płacenia podatków w ogóle i do płacenia ich w Polsce – to jest nasza prawdziwa kategoria obywatelska.

Pan, jak słyszałem, się zastanawia, czy nie zacząć płacić za granicą.

– Chyba tak nie postąpię, chociaż zostałem do takiego myślenia sprowokowany przez polityków i urzędników, dlatego że to, że płacę podatki tutaj, nie jest w ogóle brane pod uwagę.

A co by pan chciał za to mieć?

– Nic, chciałbym, żeby mi nie przeszkadzano.

W bogaceniu się?

– Nie, w ciężkiej pracy!

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB

WARSZAWA, 30 LIPCA 2003 R.

Artykuł opublikowany jest również w Wirtualnej Polsce w serwisie www.wiadomosci.wp.pl

Zobacz, tu był kiedyś dziekanat – Mustafa pokazuje mi zrujnowany pokój bez mebli. Na podłodze walają się sterty dokumentów. Irakijczyk podnosi z podłogi legitymację studencką ze zdjęciem młodego wásacza o nalannej twarzy. – To jeden z moich studentów. Nie widziałem go od wojny – mówi, wypuszczając z rąk pomięty dokument.

Stary budynek przy ulicy króla Ghazi w czasach kolonialnych był siedzibą brytyjskiego konsulatu. Potem zamieniono go w konserwatorium, w którym przed wojną wykładał Mustafa. Dziś na dziedzińcu szkoły życie toczy się siłą bezwładu. Od wojny nauczyciele z przyzwyczajenia lub braku innego zajęcia codziennie przychodzą do konserwatorium. Na cembrowinie starej studni siedzi Satar Nadzi. Na

kolanach trzyma ud, tradycyjny instrument przypominający dużą mandolinę. Śpiewa stary Dżafuri, który z zespołem ojca Mustafy objechał pół świata. Ojciec Mustafy był kiedyś dziekanem tej szkoły. W 1996 roku przypadł na zawsze za murami więzienia Abu Ghraib. „...Płacę jak dziecko, bo wszyscy kołanowicie są razem, a ja jestem sam” – jak na trzęsącego się starca Dżafuri ma mocny czy-

sty głos. Mustafa tłumaczy mi tekst piosenki, którą odbijała się między cienistymi krużganekami uczelni. Studenci już tu nie przychodzą. Nie ma instrumentów, na których mogliby ćwiczyć, ani niczego, na czym można by usiąść. W sali, w której Mustafa uczył nut, została tylko rozbita szafa. – Tu stał mój fortepian, dopóki nie zabrał go Ali Baba – mówi wykładowca, pokazując puste miejsce.

W SAMO POŁUDNIE

Ali Baba powrócił do Bagdadu po setkach lat, jakie minęły od czasów, gdy Szeherazada snuła swoje romantyczne opowieści o rabusiu i jego 40 kompanach. Przyszedł, gdy obce armie pokonały Saddama. Dzisiejszy Ali Baba nie jest romantyczny. Nie ma też konkretnej twarzy. To raczej termin, którym mieszkańcy irackiej stolicy określają zbiorowe szaleństwo

plądrowania budynków publicznych i falę przestępczości, która zapanowała po wojnie.

– Macie złe pojęcie o Ali Babie. Przecież u Szeherazady to był dobry Arab, który pomagał biednym – Abdel Illah Kamal wygląda, jakby właśnie wyszedł spod prysznicy, ale to, co spływa mu grubymi strużkami po twarzy, to pot, a nie woda. Na pustej widowni bagdadzkiego Teatru Zwycięstwa jest gorąco jak w saunie.

Bulwarowa komedia, w której gra Abdel, przez sześć minionych lat nie schodziła z afisza. Teatr był wypełniony do ostatniego miejsca. Dziś przed kasami kręci się znów kilkudziesięciu mężczyzn, bo spektakl powraca na scenę po wojennej przerwie.

Ale aktorzy nie mają czego świętować. Gdyby widownia zapełniła się jak przed wojną, mieliby z czego żyć. Na razie nie ma szans na zarobki, bo spektakle zaczynają się około południa. To mało stosowna pora jak na wyjście do teatru, ale tylko wtedy w budynku cokolwiek widać. Zresztą wieczorem nikt nie odważyłby się ryzykować zdrowia, życia i pieniędzy dla bulwarowej komedii – na ulice Bagdadu wypelza przecież Ali Baba.

Pocimy się więc w południowym upale. W gorącym półmroku teatralnej sali czekamy, aż zbierze się wystarczająco wielu widzów, by aktorom opłacało się wyjść na scenę. Abdel dzieli wpływy z biletów pomiędzy wykonawców. Część zostawia na benzynę do generatora, który zasila tylko rachityczne żarówki i wiszące nad sceną trzeszczące mikrofony.

PRZYJADĘ ZA TYSIĄC LAT

– Jesteś z Polski? Uwielbiam Grotowskiego! Teatr ubogi – oto, czego nam dziś potrzeba w Bagdadzie – mówi Ahmed Khalid, podając mi stakan wrzącej herbaty. To napój w sam raz na zaduch panujący na tyłach sceny. W głębi majaczy kontuar, przy którym bufetowa parzy herbatę.

Za kulisami panuje jeszcze większy upał niż na widowni. Gołe żarówki zwisające ze ścian i kawałki potłuczonych lusterek służą aktorom za całe wyposażenie ich garderób. Tylko panie mają w swoich pokojkach coś do siedzenia, stolik na kosmetyki i normalne lustro.

Ahmed Khalid zna Grotowskiego, bo wykłada aktorstwo na bagdadzkiej akademii sztuk pięknych. Właśnie skończył się rok akademicki i teraz razem z przyjaciółmi rozkręca spektakl sprzed wojny. Scenografię zaprojektowała długowłosa blondynka Orub Mohammad. Zaraz po wojnie, gdy w mieście pojawił się Ali Baba, Orub sprzedawała za bezcen swoje obrazy, by zdobyć pieniądze na jedzenie. Teraz przemyka do teatru ulicami brzydkiego i zrujnowanego miasta, marząc o tym, by kiedyś móc zaprojektować wystrój nowego Bagdadu. Dla malarki, która nie ma nawet gdzie wystawiać swoich obrazów, powodzenie spektaklu w Teatrze Zwycięstwa to sprawa życia lub śmierci.

Do teatrów wracają aktorzy, muzycy schodzą się do zrujnowanego konserwatorium. Po trzech miesiącach szabru i bezprawia Bagdad powoli wraca do życia

ĆWICZENIA Z NORMALNOŚCI

JAKUB MIELNIK

ZDJĘCIA SPECJALNIE DLA „PRZEKROJU” PAWEŁ ULATOWSKI/AGENCJA GAZETA

Aktorzy bagdadzkiego Teatru Zwycięstwa rozmawiają przed występem. W czasach Saddama ich komedia przez sześć lat nie schodziła z afisza



Spektakle zaczynają się w południe, bo wieczorem nikt nie zaryzykuje życia dla bulwarowej komedii

Na górze:
Garderoba
w Teatrze
Zwycięstwa

Po prawej:
Scena
ze spektaklu



Zespół przez trzy ostatnie miesiące nie zagrał ani razu. Abdel Illah Kamal musiał ostatnio zamieszkać w teatrze, bo nie miał z czego opłacić czynszu i właściciel mieszkania wyrzucił go na bruk. Wzrusza ramionami, gdy pytam go, czy wyobraża sobie normalną premierę: wieczorem, nie w południe, z zaproszeniami i wieczorowymi strojami. – W Bagdadzie? Musiałbyś tu przyjechać za tysiąc lat – mówi, zanim wybiegnie na scenę i ruszy w pogoń za karłem Faezem Dżassinem. – Faezowi bardzo podoba się amerykańska technologia, ma nadzieję, że dzięki niej trochę urośnie – rzuca głośno Abdel, a schodząca się widownia wybucha gromkim śmiechem.

MUZEUW PILNIE STRZEŻONE

To dziwne uczucie – pływać w hotelowym basenie, słysząc z ulicy serie z kałasznikowa. W Bagdadzie każdy ma broń. Zgodnie z arabskim zwyczajem strzela się w powietrze z okazji urodzin, ślubów i pogrzebów. Ale po zmroku za broń chwytają też fedaini. W ciągu dnia nie różnią się niczym od zwykłych, zmęczonych wojną przechodniów.

Pływam więc w basenie, słuchając, jak suche strzały z amerykańskich M-16 próbują

zagłuszyć kałasznikowy. W pilnie strzeżonych enklawach dla zagranicznych dziennikarzy życie jest wygodne i bezpieczne. To tu odpoczywają reporterzy globalnych sieci informacyjnych po całonocnej paradzie przed kamerami w kamizelkach kuloodpornych i hełmach z kevlaru. Na tarasie hotelu Palestyna widać rój satelitarnych anten. Na czwartym piętrze Sheratona, gdzie swoje bagdadzkie biuro rozlokowała telewizja Fox News, światła nie gasną przez całą noc.

Dopiero nocleg w podrzędnym hoteliku, którego portier ogląda telewizyjne wystąpienia zamaskowanych fedainów Saddama i pracownicy czyści swojego kałasza, daje namiastkę zwykłego życia w Bagdadzie. Nocne kąpiele w basenie to abstrakcja z innego świata. Po zmroku nikt o zdrowych zmysłach nie opuszcza domu. Obowiązuje godzina policyjna i amerykańskie patrole mają prawo strzelać bez ostrzeżenia do każdego przechodnia.

Normalizacja, za którą się uważnie rozglądamy, jest ciągle kwestią odległej przyszłości. Weźmy choćby muzeum. W każdym normalnym lub zmierzającym ku normalności mieście muzeum jest powszechnie dostępnym miejscem. W Bagdadzie budynek Muzeum Narodowego sprawia wrażenie najpilniej strze-

żonego miejsca w stolicy. Po tym jak świat obiegły wieści o splądrowaniu beczennych dzieł sztuki, wokół budynku powstały zasieki z drutu kolczastego. Za nimi stoją czołgi, a uzbrojeni po zęby amerykańscy żołnierze uważnie lustrują przejeżdżające ulicą samochody. Na otwarcie wystawy, która miała udowodnić, że w skarbcach muzeum ujęto najcenniejsze eksponaty, zlecieli się wszyscy obecni w Bagdadzie dziennikarze. Na tle asyryjskich płaskorzeźb prezentarzy wyjaśniali telewizjom zawłóści codziennego życia w Iraku.

Po półgodzinie amerykańscy żołnierze delikatnie, choć stanowczo usunęli nas z sal wystawowych. Pracownicy zwinęły czerwone chodniki i zarygłowały drzwi. Dzień później miało nastąpić otwarcie wystawy dla zwiedzających, ale w nocy snajper zastrzelił żołnierza strzegącego budynku, zaś rano ktoś strzałem w tył głowy zabił nieopodal dziennikarza brytyjskiej telewizji ITN. Przyjechał, by filmować normalizację życia w Bagdadzie.

KŁAPA W FILHARMONII

Siły koalicyjne dwoją się i troją, żeby stworzyć pozory normalnego życia w irackiej stolicy. Inauguracja sezonu w filharmonii okazała się kłapą. – Grali beznadziejnie, a ludzi na widowni była garstka – opowiada mi Mustafa. Teatr Narodowy, któremu tygodnik „Time” poświęcił niedawno część krzepiącego materiału o jasnych stronach życia w Bagdadzie, też nie działa, jak należy. Pod okazałym budynkiem kłębią się tłumy aktorów i pracowników narodowej sceny. Podzielili się na dwie wrogie frakcje: jedni chcą odwołania dotychczasowego dyrektora teatru, ponieważ był



Wejście do Muzeum
Narodowego
w Bagdadzie

konfidentem saddamowskiej bezpieki, inni twierdzą, że przeszłość dyrektora nie ma znaczenia, bo „wielkim artystą był”.

Jakieś zmiany jednak są. Na placu Waheda koło politechniki nastolatki okupują obskurne salki z gramami komputerowymi. Bazary i sklepy są otwarte do zachodu słońca. – Jeszcze niedawno ludzie wychodzili z domu tylko na kilka godzin – mówi Mustafa. Jedziemy obwodnicą wokół miasta w kierunku meczetu Abdul Kadel. – Dwa miesiące temu nie dało się tędy przejechać, szosa pełna była gnijących trupów, a wokół płonęły samochody – opowiada Arab.

BIALI HANDLUJĄ DZIEWCZYNKAMI

Jak na piątkowe południe przed sunnickim meczetem Abdul Kadel jest mało wiernych. W medresie przy meczecie urzęduje doktor Mahmud Halaff, wykładowca prawa muzułmańskiego. Jego poprzednik był wysokim funkcjonariuszem bezpieki. Uciekł, gdy do Bagdadu weszli Amerykanie. To od nich według doktora Halaffa zaczęło się nieszczęście Iraku.

– Przyszli tu i pozwolili bandytom rozgrabić kraj tylko dlatego, że mieliśmy złego przywódcę – oschle rzuca Mahmud Halaff i roztacza przed nami wizję rychłej zagłady najeźdźców. A także zielonych sztandarów Proroka zatkniętych na szczycie budynku w Waszyngtonie, który nazywa Czarnym Domem. – Mówicie, że muzułmanie gotowi są umierać w imię Allaha, ale rozejrzyj się dookoła. Tu znacznie

trudniej jest żyć w imię Allaha – mówi duchowny, a towarzyszący mi Mustafa skwapliwie potakuje.

Doktor Halaff wyciąga kolportowaną przez jego meczet ulotkę, z której wynika, że my, biali najeźdźcy, zamierzamy wywozić z Iraku młode kobiety i dziewczynki, by sprzedawać je w domach publicznych na Zachodzie. Mustafa wpada w udawane zdumienie. Zaś kierowca, który przywiózł nas do sunnickiego meczetu, jest naprawdę wściekły. Gdy kończymy rozmowę z doktorem Halaffem rzuca na mnie gniewne spojrzenie i skwapliwie zabiera garść ulotek.

Ruszamy przez miasto tą samą, niedawno pełną trupów obwodnicą. Kierowca pędzi pod prąd, trąbiąc głośno i złorzecząc tym, którzy zgodnie z panującym w Bagdadzie obyczajem nie zważają na przepisy drogowe. Pośpiech jest konieczny. Kierowca chce zdążyć do swojego meczetu przed końcem piątkowych modłów, by ostrzec sąsiadów przed niecznymi planami najeźdźców czyhających na ich córki i siostry.

– Wy tam, na północy, macie bliżej Boga, możecie pomodlić się o spokój w Bagdadzie – mówi muzyk Mustafa, gdy czekamy na powrót kierowcy. Poszedł do meczetu rozdawać ulotki.

JAKUB MIELNIK

Zapraszamy na naszą stronę internetową
www.wsh.edu.pl



WYŻSZA SZKOŁA HUMANISTYCZNA imienia Aleksandra Gieysztora w Pułtusku

„Najlepsza niepaństwowa uczelnia uniwersytecka”
w rankingach „Perspektyw” i „Rzeczpospolitej” w latach 2000, 2001, 2002 i 2003

Od pięciu lat w rankingach Tygodnika „Wprost” WSH
zajmuje pierwsze miejsca jako

„najlepsza niepaństwowa szkoła wyższa w kategorii
szkół niebiznesowych” oraz „uczelnia klasy międzynarodowej”

Kierunki Studiów

Administracja ■ Filologia Polska
Historia

Pedagogika ■ Politologia

uprawnienia do nadawania stopnia naukowego
doktora nauk humanistycznych

studia licencjackie, magisterskie, dwuletnie magisterskie
uzupełniające i podyplomowe

Informacje i zapisy:

Biuro Rektora, ul. Daszyńskiego 17, 06-100 Pułtusk
tel./fax (023) 692 50 82, 692 16 87, 692 53 98
e-mail: rektorat@wsh.edu.pl www.wsh.edu.pl





TEKST JERZY SZYGIEL
ZDJĘCIA CEDRIC JOUBERT

Góra Świętej Otylii to rozłożyste, zalesione wzniesienie w alzackich Wogezach, nieopodal Strasburga. Na szczycie stoi wielokrotnie przebudowywany średniowieczny kompleks klasztoru o surowej i nieco zwalistej architekturze. Latem to popularny cel pielgrzymek i turystyki pieszo-rowerowej – z góry rozpościera się widok na dolinę Renu i Strasburg, widać nawet Szwarwald (Czarny Las) po niemieckiej stronie rzeki. Góra jest opasana resztkami prastarego muru z epoki druidów. Do dziś nie wiadomo, przed czym miał chronić, ale wielu sądzi, że Góra była święta na długo przed Chrystusem.

Przed jednym nawet druidzi nie zdołali opactwa uchronić. Między sierpniem 2000 roku a majem 2002 z zamkniętej na cztery spusty klasztornej biblioteki zniknęło w tajemniczy sposób ponad tysiąc bezcennych starodruków. Francuska policja i żandarmeria przez dwa lata próbowały rozwikłać zagadkę złodzieja z Mont Sainte-Odile, który przenikał ściany i bezkarnie kradł nawet w czasie dochodzenia. „Duch” z biblioteki na Górze Świętej Otylii wpadł dopiero w sieć policyjnych kamer.

DZIECKO MNISZKI I BISKUPA

Święta Otylia była córką alzackiego księcia Adalryka z Merowingów. Jak głosi legenda, na wieść o tym, że dzieciak jest dziewczynką i na dobitkę niewidomą, ojciec się jej wyrzekł, a zaraz potem kazał ją zabić. Ślepa Otylia przeżyła dzięki spiskowi kobiet. Najpierw przechowana u mamek, około roku 666 została ukryta w jednym z żeńskich klasztorów jako dziecko mniszki i biskupa. Wzrok odzyskała w wieku 12 lat podczas uroczystego chrztu. Adalryk zżerany wyrzutami sumienia skapitulował przed jej przywiązaniem do klasztornego życia i podarował córce zamek na Górze.

Otylia była opatką zgromadzenia aż do swojej śmierci w roku 720. Przeszła do historii

Sekretnie przejścia do biblioteki na Górze Świętej Otylii: wejście ze strychu do ślepej izby (na górze) i otwierane plecy w bibliotecznym regale (na dole)

Fot. AP/EAST NEWS



Stanislas Gosse spłądował bibliotekę, bo chciał poczytać sobie starodruki w domu

Niewidzialny złodziej przez dwa lata wodził za nos francuskich policjantów. Z zamkniętej biblioteki w alzackim klasztorze skradł w tym czasie ponad tysiąc bezcennych starodruków

KSIAŻKOKRAD

jako założycielka klasztoru, który stał się ośrodkiem średniowiecznych mniszek-intelektualistek, które znajdowały czas nie tylko na śpiewy i pobożną medytację, lecz także na czytanie książek.

To właśnie tam, na Górze Świętej Otylii, w XII wieku pod kierownictwem opatki Herady von Landsberg powstało jedno z najbardziej tajemniczych dzieł średniowiecza. „Hortus Deliciarum”, czyli „Ogród rozkoszy”, to rodzaj ilustrowanej encyklopedii dla mniszek. Dziś „Ogród...” jest znany tylko z częściowych kopii – oryginał spłonął w pożarze biblioteki półtora wieku temu. Domośli historycy i poszukiwacze średniowiecznych tajemnic wierzą, że dzieło jest zaszyfrowane, i poszukują kodu, który pozwoliłby odczytać z zachowanych fragmentów nieprzyswoite opowieści z życia żeńskiego klasztoru.

Dziś, szczególnie latem, na górze Sainte-Odile trudno znaleźć atmosferę skupienia i medytacji. Wobec braku powołań arcybiskupstwo urządziło w klasztorze duży hotel, pięć restauracji i sklepy z dewocjonaliami dla pielgrzymów zjeżdżających z całej Europy. W klasztorze mieszka tylko garstka zakonnic i mnichów.

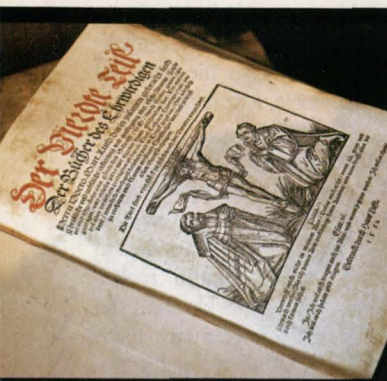
To na nich najpierw padł cień podejrzeń, gdy latem 2000 roku ojciec bibliotekarz Alain Donius odkrył braki w księgozbiornie. Z półek w niedostępnym dla turystów dawnym kapitułarzu zniknęło 16 ksiąg i litografii. Gdy okazało się, że brakuje dwóch bezcennych XV-wiecznych inkunabulów z początku epoki druku, mnisi ścignęli policję. W sali, do której prowadziło dwoje drzwi, nie stwierdzono śladów włamania. Szyby w oknach były całe, zamki nietknięte. Policjanci uznali, że złodziej musi dysponować kluczem, i zalecili wymianę zamków. Na wszelki wypadek kanonik kazał też zaplombować okna. Kradzież ustała na niespełna dwa lata.

ZŁODZIEJ PRZENIKA MURY

Jesienią 2001 roku kanonik Diss odszedł na emeryturę. Z woli arcybiskupa zastąpił go dotychczasowy bibliotekarz, ojciec Alain Donius. W marcu ubiegłego roku złodziej powrócił na Górę. Tym razem ze szczególną zamkniętą pomieszczenia starodruki zaczęły zniknąć całymi półkami. Nowy kanonik od razu wystąpił o wznowienie śledztwa, tym razem do żandarmerii.

Od tej chwili nad rozwikłaniem zagadki pracowała ekipa 12 żandarmerii. Tymczasem w szafach klasztornej biblioteki robiło się coraz więcej wolnego miejsca, a ojciec Donius odchodził od zmysłów, beznadziejnie patrząc na pustoszone półki.

Żandarmeria zaczęła od inwigilacji gości hotelu na Mont Sainte-Odile. Odkryła, że na świętą Górę pielgrzymują różdżkarze, domośli badacze „energii kosmicznej”,



Alain Donius, kanonik na Mont Sainte-Odile, pokazuje jedną z odzyskanych ksiąg

Część skradzionych ksiąg jako dowód w sprawie trafiła na przechowanie do żandarmerii



Od połowy XIX wieku biblioteka klasztoru mieści się w dawnym kapitulniku. To stąd kradł Stanislas Gosse (zdjęcie z prawej)

poszukiwacze skarbów, uzdrowiciele, sata- niści i wyznawcy pogańskich kultów natury. Żaden nie okazał się jednak włamywaczem.

Arcybiskupstwo i policja były bezradne. Nie pomogły kolejne wymiany zamków, trzymanie kluczy do biblioteki w sejfie, pułapki z rozciągniętych nici ani opukanie ścian i dodatkowa ochrona. Na dodatek złodziej zrobił się bezczelny – któregoś ranka ojciec Donius znalazł na swojej wycieraczce różę z przy- klasztornego ogrodu. Ponieważ poprzedniej nocy z biblioteki zniknęły największe i naj- cięższe woluminy, policja uznała kwiat za fi- giel tajemniczego złodzieja.

Na niewiele się zdały wielokrotne piel- grzymki żandarmów na Górę Świętej Otylii – książki dalej ginęły, i to w zupełnie niezro- zumiały sposób. Po dwóch miesiącach śledz- twa żandarmi skapitulowali wobec nieroz- wiązywalnej enigmatyki: złodziej najwyraźniej przenikał mury. Niektóre zakonnice zaczęły mówić o „wizytach diabła”, żądały nawet eg- zorcyzmów. Jednak arcybiskup Strasburga podobnie jak żandarmi bardziej wierzył w ludzki spryt niż w duchy.

Zagadkę rozwiązano dopiero w maju ubie- głego roku. Chcąc złapać złodzieja na gorą- cym uczynku, żandarmi zamontowali w bi- bliotece ukrytą kamerę. Drugą nacelowali na drzwi do pokoju dyrektora. Kiedy wieczorem 19 maja zeszłego roku rozbłyśły światła poli- cyjnej zasadzki, 32-letni Stanislas Gosse z wrażenia wypuścił z rąk obie ciężkie waliz- ki. Zadyszany i spocony jak mysz złodziej wy- nosił 300 starodruków z klasztornej bibliote- ki. Przez ramię miał przewieszoną linę.

Złodziejem okazał się nauczyciel ze szkoły inżynierskiej pod Strasburgiem. Stanislas Gosse był tam znany jako nierzucający się w oczy, niezwykle spokojny i wyważony samotnik, który nie skrzywdziłby nawet muchy. Intereso- wał się genealogią, choć według średniowiecz- nych kryteriów urodził się jako bękart. Jego ojciec uznał dziecko kochanki dopiero kilka lat po jego narodzinach, ale nie porzucił dla

niej swej porządnej, katolickiej rodziny z czworgiem dzieci. Przez rodziców był zresztą kochany. To ojciec – gdy Gosse był jeszcze dziecia- kiem – zaprowadził go pierwszy raz do klasztoru na Górę Świętej Otylii. Po- tem Stanislas wielo- krotnie przychodził na Górę, by wraz z pielgrzymami za- puścić się w labirynt biblioteki, a szcze- gólnie w tę część, której nie odkurza- no na użytek tury- stów.

ROZETA OTWIERA DROGĘ

„Klucz” do biblioteki Gosse zdobył przez przypadek. W roku 1997 podczas jednej z wycieczek poczuł się jak w filmie – w do- stępnej dla zwiedzających klasztornej czytel- ni naciśnął rzeźbioną ścienną rozetę. Ku zdumieniu Gosse’a mechanizm zwalniał zamek w drzwiach do kapitulnika, w którym mnisi trzymali średniowieczne zbiory. Nauczyciel odczekał trzy lata, zanim odważył się skorzy- stać ze swej tajemnej wiedzy.

Dopóki mnisi nie zmienili zamków, droga do ksiąg była banalnie prosta: Gosse wcho- dził do czytelnicy razem z wycieczką, w dogod- nym momencie naciskał rozetę i niezauważo- ny zniknął w drzwiach kapitulnika. Wychodził późnym wieczorem, mieszając się z tłumem gości opuszczających hotelowe restauracje. Z początku chciał tylko oglądać książki – po- myśl, by brać je do domu, przyszedł później. Czuł się tak bezpiecznie, że nim cokolwiek wyniósł, przy świetle latarki godzinami prze- bierał w księgach.

Gdy latem 2000 roku kanonik za radą po- licji zamontował nowe zamki, rozeta przesta- ła działać. Gosse nie dał jednak za wygraną i zafascynowany klasztornymi starodrukami postanowił dotrzeć do nich inną drogą. Jak przystało na wytrawnego bibliofila, znalazł ją w książkach. Wertując fachowe pisma histo- ryczne w strasburskiej bibliotece publicznej, Gosse natrafił na szczegółowe opracowanie architektury klasztoru Sainte-Odile. Na pla- nach znalazł obok biblioteki zapomniane po- mieszczenie. Historycy sądzą, że zbudowano je na użytek klasztorowego „wywiadu” – z taj- nej izby można doskonale podsłuchiwać roz- mowy prowadzone w kapitulniku.

Według planów sala była ślepa – wejście mo- gło znajdować się tylko w stropie dzielącym ją od strychu. Włamanie do klasztoru nie wcho- dziło jednak w rachubę – Gosse wiedział, że mnisi wynajęli prywatną ochronę. I tym razem wykazał się sprytem: ponownie zajrzał do pla- nów i odkrył, że nad hotelem i klaszorem cią- gnie się jeden strych. Z recepcji ukradł zapaso- wy klucz, o którym wszyscy zapomnieli. Na górze odnalazł kłapę w podłodze nad ślepą



Obrończyni złodzieja wniosowała, by w ramach kary pozwolono mu skatalogować księgozbiór. Zamiast tego Gosse dostał półtora roku w zawieszeniu

izby (tuż przed schwytaniem Gosse’a znaleźli ją także żandarmi) i opuścił się na linie do ta- jemnego pomieszczenia. Wewnątrz znalazł tyl- ko pusty szaf. Droga do kapitulnika wiodła przez plecy szóstej z nich – wystarczyło rosunąć deski. – To właśnie w ślepych pokojach przejrzałem na oczy – opowiadał Gosse przed sądem. – Od tego momentu znałem już całą bibliotekę.

O ile na początku Gosse przyjeżdżał pod Górę na rowerze, o tyle po znalezieniu prze- jścia zaczął już używać furgonetki – łupu było tyle, że nie był już w stanie go unieść. Pod ko- niec zabierał nawet olbrzymie, oprawne w skórę i drewno księgi ważące po 50 kilo- gramów. Nauczył się posługiwać sznurową drabiną i wprowadził się we wspinaczkę. W śle- pą izbę urządził sobie tymczasowy magazyn i czytelnicy. Złodziej-bibliofil mógł tam sie- dzieć nawet za dnia. W tym samym czasie za ścianą weszli detektywi, bezradnie drapiąc się po głowach.

Kiedy skołowani żandarmi zaczęli rozwa- żać zatrudnienie różdżkarzy, Stanislas odku- rzał w domu ukradzione księgi. Twierdzi, że w ciągu dwóch lat 10 z nich przeczytał od de- ski do deski. To świetny wynik, zważywszy, że chodzi o opasłe tomiska wypełnione niewy- rażnymi szlachkami gotyckiej łaciny. Przece-

nił jednak rozmiar swoich czytelniczych pla- nów. Wyniósł 1100 ksiąg, które zapewniłyby mu lekturę na 250 lat, a mimo to ciągle szu- kał nowych.

OPUSZCZONE KSIĘGI

W domu Gosse’a w Strasburgu żandarmi znaleźli komplet brakujących woluminów. Były odrestaurowane i skatalogowane, miały nawet ekslibrisy złodzieja. Gosse nalepiał je klejem rozpuszczalnym w wodzie – tak by można było je usunąć.

– Trudno wytłumaczyć taką namietność. Bałem się, odczuwałem wstyd, ale pasja ksią- żek wzięła górę – tłumaczył sądowi. – Mia- łem wrażenie, że te księgi zostały opuszczone i zaniedbane, były pokryte kurzem, leżały na nich nawet stare gołębie kupy. Myślałem, że u mnie będzie im lepiej. Nigdy nie zabrałbym żadnej książki z publicznej biblioteki.

– Pan nie ma monopolu na alzaczką histo- rię ani prawa do pozbawiania jej innych – grzmiał na to prokurator. Zażądał kary dwóch lat więzienia. Po stronie Gosse’a stanę- ły kobiety. Obrończyni Cathy Petit argumen- towała, że jej klient kradł nie dla zysku, lecz jedynie z niepokohamowanej, wręcz dziecinnej, miłości do książek i historii. Przypominała, że Gosse niczego nie sprzedawał. Biegła psycholog

odnalazła w nim „intensywne cier- pienie psychiczne” związane z „po- szukiwaniem nieobecnego ojca”.

Na końcowej rozprawie 17 czer- ca tego roku sędzina stwierdziła, że „pasja oskarżonego pozwoliła mu zapomnieć o poszanowaniu prawa”, po czym skazała go na półtora roku w zawieszeniu, sześć tysięcy euro grzywny i 11 tysięcy zadośćuczynie- nia dla arcybiskupstwa za „szkody materialne i moralne”. Arcybiskup naturalnie wybaczył złodziejowi, a w swojej wspaniałomyślności po- prosił sąd, by Gosse’a nie wpisywa- no do rejestru skazanych. Dzięki temu nie straci on pracy w państwo- wej szkole i zarobi na odszkodowa- nie. Władze klasztoru zaprosiły go też do korzystania z księgozbiorów. Oczywiście tylko na miejscu.

ZAKOCHANA ZAKONNICA?

Podczas procesu francuska prasa pisała o Gosse z dużą dozą sympa- tii, podkreślając, że z kościelnych bibliotek właściwie nikt nie korzy- sta i dobrze, że w ogóle znalazł się

ktoś, kto zechciał czytać starodruki. Tylko właściwie czego szukał Stanislas Gosse w klasztornych księgach?

Arcybiskup Strasburga nakazał na razie zbadać odzyskaną część biblioteki z Góry Świętej Otylii, więc do książek „wypożycz- nych” przez Gosse’a nie ma w tej chwili do- stępu. Z policyjnych przecieków wynika, że złodziej-bibliofil badał „pochodzenie swego nazwiska i żeńską regułę klasztorną w śre- dniowieczu”. Ale co ma jedno do drugiego? Odpowiedź mają dać kościelni eksperci. Sam złodziej przekonany przez swoją obrończynię do jak najszybszego wycisze- nia sprawy nie udziela prasie żadnych wy- wiadów.

W czasie sprawy sądowej wyszło też na jaw, że Gosse’a bierzmował nie kto inny, tyl- ko ojciec-bibliotekarz, a obecnie kanonik Alain Donius. To właśnie on zachęcił kiedyś przyszłego złodzieja do odwiedzenia bibliote- ki. Stanislas szczerze go podziwiał. Jeden raz, dzień po nocnej kradzieży, próbował nawet z nim porozmawiać, ale przejęty mnich go zbył.

Podczas śledztwa wyjaśniła się również – przynajmniej częściowo – sprawa zagadko- wej róży. Wbrew policyjnym domysłom to nie Gosse zostawił ją pod drzwiami Doniusa. Kamera zarejestrowała młodą zakonnicę, jak drugi raz kładła różę na wycieraczce mnicha. Jej motyw pozostaje nieznany. Policja odma- wia wyjaśnienia. Ponoć sprawa „nie ma nic wspólnego z kradzieżami w bibliotece”.

JERZY SZYGIEL

Nie oddychaj,
nie połkniesz
mikrobów.

ALEXANDER FLEMING
(1881-1955),
ODKRYWCA PENICYLINY

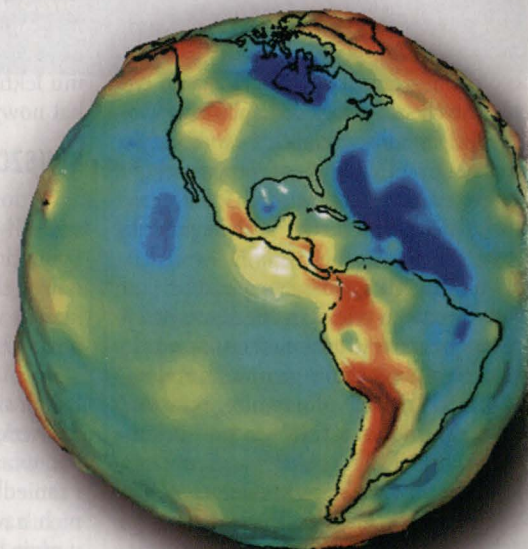
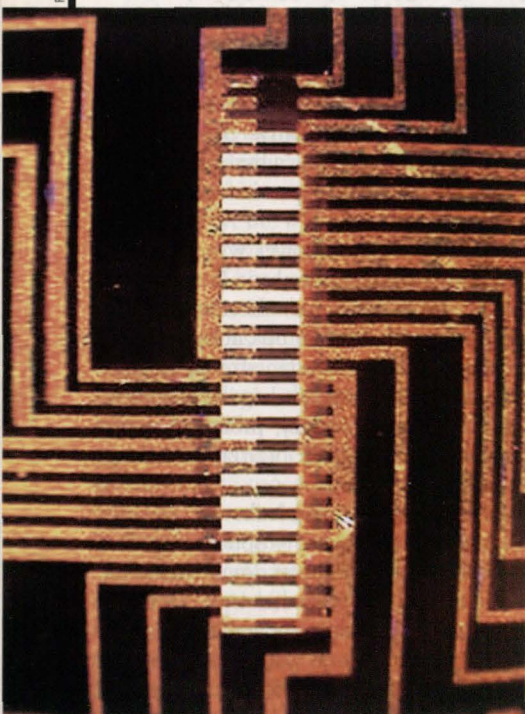
Wielorybów było wiele

Liczba humbaków (*Megaptera novaeangliae*) w oceanach była niegdyś znacznie większa, niż wskazują dane historyczne – twierdzą genetycy na łamach „Science”. Analizując genom tych morskich ssaków, doszli do wniosku, że przed rozpoczęciem masowych połowów w XIX wieku musiało ich być co najmniej półtora miliona. Dotąd mówiło się najwyżej o stu tysiącach. Polowania na wieloryby zakazano dopiero 17 lat temu.



Miniaturuowy łowca białek

Ten labirynt, w którym każda ścieżka jest trzykrotnie cieńsza od ludzkiego włosa, to układ elektroniczny bardzo precyzyjnie wylapujący różne rodzaje białek. Wystarczy przepuścić przez niego słaby prąd, aby cząsteczki przywarły do wykonanych ze złota przewodów. Jak podaje „Science”, wynalazek ten znajdzie zastosowanie między innymi przy szybkim wykrywaniu groźnych dla życia mikrobów.



Górki i dolki grawitacji

Oto najdokładniejsza jak dotąd mapa ziemskiej grawitacji wykonana przez bliźniacze satelity Grace. Siła ciężenia jest wyraźnie większa (kolor czerwony) nad masywami góorskimi, mniejsza zaś (kolor granatowy) w głębinach oceanu. Mapa grawitacji posłuży meteorologom do skutecznego przewidywania ruchów prądów morskich.

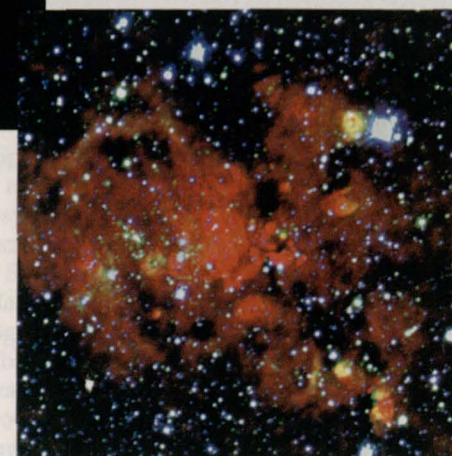


Kosmiczne badania piramidy

Meksykańscy fizycy zamierzają ustawić detektor promieniowania kosmicznego pod Piramidą Słońca w antycznym mieście Teotihuacan – pisze „New Scientist”. Mają nadzieję, że w ten sposób uda im się wreszcie odkryć królewską komorę grobową. Miasto powstało około 200 lat przed narodzeniem Chrystusa, w okresie rozkwitu było szóstą co do wielkości metropolią świata. Mieszkańcy opuścili je w VII wieku z nieznanego powodu.

Bestie w obłoku

Jeden z najbardziej „energetycznych” rejonów Drogi Mlecznej to chmura gazu o nazwie W49 położona 37 tysięcy lat świetlnych od Ziemi. Jest kilka milionów razy jaśniejsza od naszego Słońca, choć trudno to zauważyć – świeci głównie w podczerwieni i ultrafiolecie, na dodatek zasłaniają ją warstwy gęstego pyłu. Dlatego dopiero teraz astronomom udało się znaleźć źródło tej jasności – to grupa ponad stu olbrzymich młodych gwiazd ukrytych w głębi obłoku.



Jadalny papier śniadaniowy

Wygląda identycznie jak zwykły papier, ale jest bardziej ekologiczny i smaczniejszy – mówi doktor Tara McHugh, amerykański chemik. Wymyślone przez nią tworzywo powstaje z masy owocowej albo warzywnej. Chroni żywność przed wychnięciem, a po zjedzeniu bez problemu rozkłada się w żołądku. W piekarniku jadalny papier zamieni się w sos albo polewę. Produkt dostępny będzie w smakach: brokułowym, marchewkowym, pomidorowym, brzoskwiniowym, jabłkowym, gruszkowym, truskawkowym, mango i papaja.



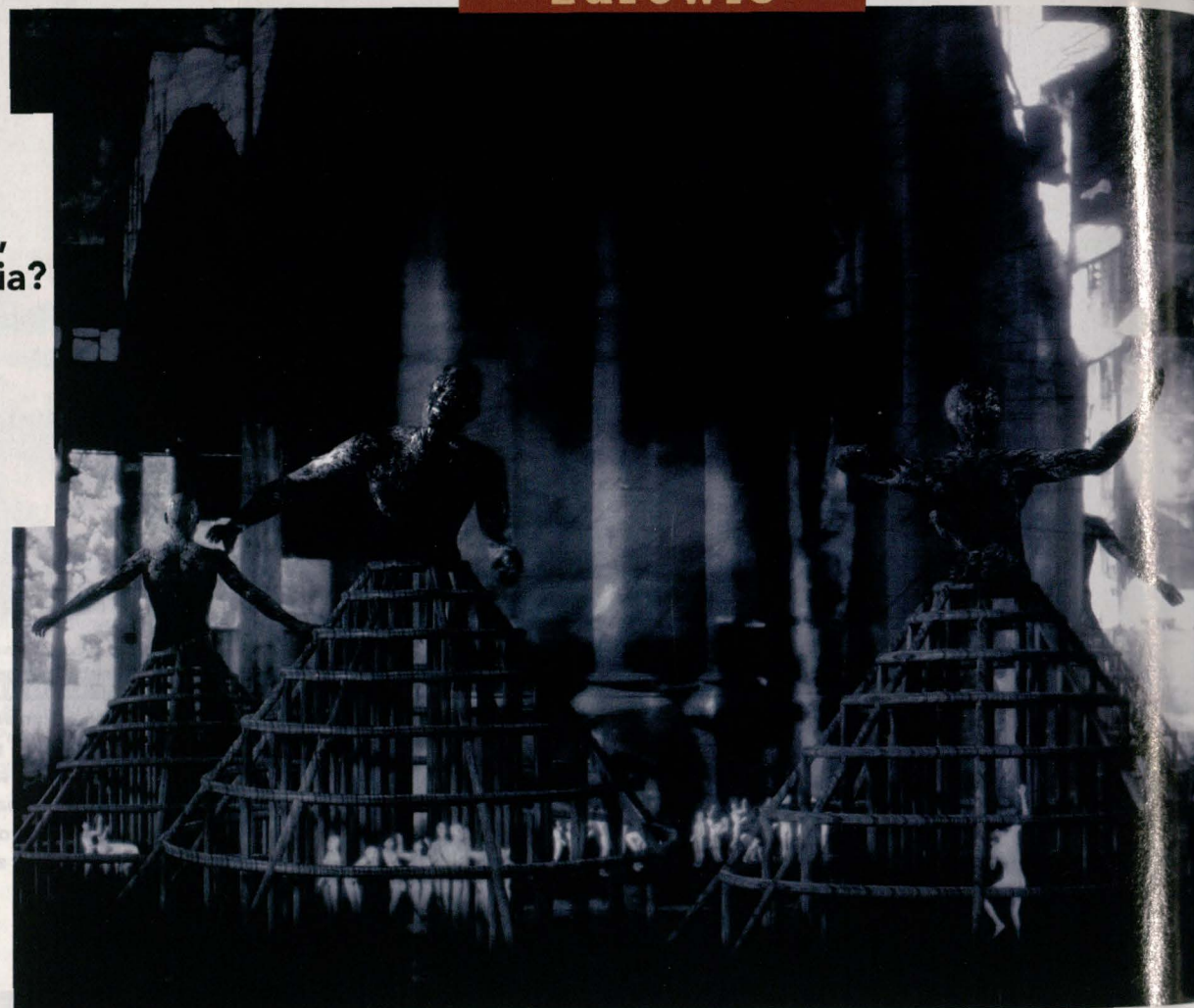
Żebyś czytał

Książka ta, choć opublikowana przed 24 laty, okazuje się zadziwiająco aktualna – stąd jej pierwsze polskie wydanie. Koncepcja, wedle której powierzchnia Ziemi i wszystkie żyjące na niej organizmy tworzą jeden globalny system, zyskuje ostatnio coraz większe poparcie uczonych. Obowiązkowo na półce z naukową klasyką.

JAMES LOVELOCK „GAJA. NOWE SPOJRZENIE NA ŻYCIE NA ZIEMI”,
TŁUM. MARCIN RYSZKIEWICZ,
Prószyński i S-ka, Warszawa 2003



Masz ochotę napić się piwa, zjeść czekoladę, spać do południa? Nienawidzisz gimnastyki, za to bardzo kochasz pizzę? Pomogę ci



OLGA WOŹNIAK

NAUKA POZWOLI GRZESZYĆ DO WOLI

Siedzący obok facet otwierał kolejne wino. Jego narzeczona od 10 minut nerwowo ciągnęła go za rękaw: – Kochanie, może wystarczy? – przekonywała rozpaczliwym szeptem. – To ci na pewno zaszkodzi. – Chcesz, żebym umarł na zawał? – rzucił w jej kierunku o kilka decybeli za głośno. – Wino jest dobre na serce! – podzielił się z kelnerem swoją wiedzą. – W gazecie pisali.

W ten oto sposób, siedząc w kawiarnianym ogródku w jednym z wakacyjnych kurortów, odkryłam prawdę, której bez skutku poszukuje wielu dziennikarzy: jak pisać, by twoje słowa zapadły w ludzką pamięć.

Używajmy życia! W końcu są wakacje. A wyrzuty sumienia? Dziś nauka rozgrzesza ze wszystkich słabości.

In vino veritas

Dobrodziejstwa płynące z picia czerwonego wina to sztandarowy przykład na tłumaczenie naszych słabości. Z lubością zaczytujemy się w doniesieniach, jak to picie tego alkoholu cudownie działa na nasz układ krążenia (ze wstrętem zresztą odrzucając wszystkie ostrzeżenia dotyczące wątroby).

Niższą zachorowalność na chorobę wieńcową wśród Francuzów, którzy – jak wiadomo – spożywają duże ilości czerwonego wina, na-

zwano wręcz „francuskim paradoksem”. Dziś wiadomo, że ów paradoks wynika z substancji zawartej w skórkach winogron.

Ogranicza ona czynność płytek krwi i hamuje w naszym organizmie produkcję substancji zwanej endoteliną, która powoduje skurcz naczyń krwionośnych. Spożywanie około 250 mililitrów czerwonego wina dziennie może uchronić przed chorobą wieńcową.

Co zaś z tymi, którzy dowiedzieli się o tym za późno? Według badań naukowców z uniwersytetu w Grenoble nigdy nie jest za późno. Przez cztery lata badali oni 353 pacjentów po zawale serca. – U mężczyzn powyżej 40. roku życia pijących dwa kieliszki czerwonego wina dziennie ryzyko ponownego zawału zmniejszało się o połowę w porównaniu z niepijącymi – podsumował obserwacje prowadzący badania Michel de Lorgeril.

Czerwone wino w laboratoriach badaczy wykazało wiele innych cudownych właściwości. Jak donoszą specjaliści z Northeastern Ohio Universities Colleges of Medicine, resveratrol – związek występujący w czerwonym winie (w tym wypadku do użytku zewnętrznego) – może hamować rozwój wirusa

opyszczki. Według innych badań (American College of Gastroenterology) u osób, które wypijają szklankę wina w ciągu tygodnia, obniża się ryzyko wystąpienia polipów jelita grubego, które mogą się przekształcić w złośliwe nowotwory.

I co? Od razu lepiej. Butelka cabernet sauvignon nie jawi się już jako dowód hedonizmu. To... po prostu lekarstwo.

o piwo, i wódka

A co z osobami, które nie lubią czerwonego wina? Czy są wykluczone z zabawy? Ależ skąd! Białe też może być. Według ekspertów z uniwersytetu w Buffalo (USA) jest nawet lepsze. Przynajmniej jeśli chodzi o płuca.

Związek spożywania umiarkowanej ilości białego wina z dobrym stanem płuc (co zostało uzasadnione wysokim poziomem antyutleniających w tym trunku) zauważył po przebadaniu 1555 mieszkańców Nowego Jorku doktor Holger Schunemann.

Nauka ma też coś dla wielbicieli piwa. Jak się okazuje, 0,3 litra tego napoju obniża ryzyko zawału równie skutecznie jak czerwone wino. No a wódka? – zaniepokoją się niektórzy.

Spokojnie, także i koneserów tego alkoholu naukowcy nie pozostawiają bez nadziei.

Rosyjscy biolodzy radzą, że aby uchronić się przed nietypowym zapaleniem płuc zwanym SARS, wystarczy codziennie wypić setkę. Taką opinię dyrektora Wydziału Mikrobiologii i Immunologii Akademii Medycznej w Moskwie Anatolija Worobiowa przytacza Polska Agencja Prasowa. No a kto ma się na wódcę znać lepiej niż Rosjanie?

Argumenty przemawiające za dobroczynnymi skutkami picia zapadają w pamięć przeważnie mężczyznom (Do tej pory nie zbadano tej zależności). Mam tu jednak także informację dla pań, zwłaszcza planujących powiększenie rodziny: duńscy badacze po obserwacji 40 tysięcy kobiet twierdzą, że abstynentki zachodzą w ciążę przeciętnie później (chodzi o ciążę planowaną) niż kobiety niestroniące od małego drinka. Dotyczy to jednak pań, które już rodziły.

Z żoną nie szkodzi

W ten oto płynny sposób przechodzimy do kolejnej sfery życia, która w wielu osobach budzi wątpliwości i lęki. Ile można? Jak dużo

to norma i czy w pewnym wieku wypada? Czy nie zaszkodzi? Seks.

Oto garść naukowych faktów: częste uprawianie seksu przez mężczyzn w średnim wieku nie zwiększa – jak uważają niektórzy – prawdopodobieństwa ataku serca. Wręcz przeciwnie – poprawia krążenie niczym dobra gimnastyka.

Własnym słowem i wynikami badań ręczą za to brytyjscy lekarze, którzy przez 20 lat w walijskim miasteczku Caerphilly obserwowali stan zdrowia prawie tysiąca mężczyzn w wieku 49–59 lat. Jedną czwartą badanych utrzymywała, że miała stosunki seksualne przynajmniej dwa razy w tygodniu, jedna piąta – mniej niż raz w miesiącu. Pozostali łądowni gdzieś pośrodku. „Spośród 50-letnich mężczyzn zaangażowanych w stosunki seksualne przynajmniej raz w tygodniu tylko jeden na 580 jest narażony na ryzyko śmierci z powodu aktywności seksualnej” – stwierdza raport brytyjskich lekarzy opublikowany w „Journal of Epidemiology and Community Health”.

Cały czas mówimy oczywiście o seksie małżeńskim. Oto informacja dla zdradzanych pań: z badań przeprowadzonych przez brytyjskiego kardiologa Grahama Jacksona wynika, że aż

75 procent przypadków nagłej śmierci podczas stosunku seksualnego dotyczy romansów. – Czynnikiem, który zwiększa ryzyko zawału, jest znaczna różnica wieku partnerów i stres – tłumaczy Jackson. – A to częściej zdarza się w przypadku zdrad.

Zeńście do piekieł

Gdy wśród moich znajomych rozniosło się, o czym właśnie piszę, telefon zaczął dzwonić

zek z częstotliwością ejakulacji. Jeśli dwudziestokilkuletek doznaje jej pięć razy w tygodniu, ryzyko raka w późniejszym wieku maleje u niego o jedną trzecią. Częsty wytrysk nasienia ma według ekspertów zapobiegać gromadzeniu się substancji nowotworczych w prostatie.

Prostata to niewielki gruczoł umieszczony tuż pod pęcherzem moczowym. Jej zadaniem jest między innymi produkcja ważnych składników płynu nasiennego. Wzbogaca go w po-

zane z analizą genetyczną – uważają autorzy badań – japońscy naukowcy z Uniwersytetu Keio w Tokio. Na pocieszenie mogą dodać, że ten wariant genu zmniejsza też ryzyko choroby płucnej u osób palących.

Skretem w raka

A teraz kilka słów dla miłośników marihuany. Aktywne jej składniki – kannabinoidy – mogą hamować wzrost komórek raka, który – pod warunkiem że nie jest to czerniak – donoszą badacze z Hiszpanii na łamach „Journal of Clinical Investigation”. Okazuje się, że w pobliżu których wstrzykiwano kannabinoidy, były mniej ukrwione.

Aktywne związki marihuany znane są też z właściwości przeciwbólowych. Jak dowodzą niektóre badania, są także związane z zapamiętaniem złych przeżyć i łagodzeniem strachu.

Z innych zalet: w latach 70. odkryto, że zawarty w marihuanie związek zwany THC obniża ciśnienie w gałce ocznej i może być stosowany w leczeniu jaskry (choroby, która wskutek podwyższonego ciśnienia wewnątrzgałkowego prowadzi do zaniku nerwu wzrokowego i ślepoty). W połowie XIX wieku marihuanę z powodzeniem stosowano jako środek znieczulający przy bólach reumatycznych i bólach tętnowych.

Teraz badacze przebiegają, że mogłaby się stać pomocna w leczeniu stresu pourazowego, fobii i ataków paniki. Zwłaszcza że nie uzależnia fizjologicznie.

Przeciwnicy legalizacji skrętów argumentują, że marihuana jest często pierwszym krokiem do sięgnięcia po twarde narkotyki, takie jak kokaina czy heroina. Poza tym po długim stosowaniu uzależnia psychicznie, może powodować depresję i halucynacje.

Kacik rodzinny

Na wniosek kilku kolegów podaję sposób, jak przekonać żonę, by zamiast wspinać się na szczyble kariery, została w domu i zajmowała się przygotowywaniem obiadów. To całkiem proste.

Kochająca żona powinna przejąć się wynikami badań brytyjskich naukowców, którzy dowodzą, że mężczyźni rzadziej cierpią na depresję, gdy ich partnerka nie pracuje zawodowo lub pracuje w niepełnym wymiarze godzin.

Gdy to nie skutkuje, można wesprzeć się doniesieniami serwisu CNN. Według zamieszczonych tam danych, kiedy kobieta pracuje 40 godzin tygodniowo, zdrowie jej męża może ulec pogorszeniu o więcej niż 25 procent.

– Naprawdę poważne problemy zaczynają się, gdy kobieta zajmuje się pracą ponad 50 godzin w tygodniu – ostrzega psycholog, profesor Ross Stolzenberg. Badania, które doprowadziły go do takich wniosków, były prowadzone przez trzy lata przez National Institutes of Health i objęły 2867 mężczyzn oraz ich żony. Wynika z nich także, że najgorszym sposobem, w jaki

mężczyzna może pogorszyć swoje zdrowie, jest rozwód. Dodajmy, że amerykańskie badania nie wykazały związku pomiędzy zdrowiem kobiet a czasem pracy męża.

Jeśli by zaś małżonka dla podkreślenia istotności swojej pracy użyła argumentu finansowego – nie dajcie się zbić z pantałyku. Z badań Brytyjczyków wynika, że najszczęśliwsi są ludzie umiarkowanie zarabiający. Psycholog Rannia Leontaridi z uniwersytetu w Aberdeen dowodzi, że „pieniądze to nie wszystko i ludzie nie zadają się, jeśli ich nie stać na niezwykle wartościowe albo nowy samochód. Mniej pracując, mają zaś więcej czasu dla siebie”.

Pracownikom zgębionym przez zbyt rzutkie żony polecam natomiast badania, które pokazują, jak odciążanie tradycyjnego podziału ról w rodzinie może ich doprowadzić do choroby wieńcowej oraz śmierci. Naukowcy z Eaker Epidemiology Enterprises w Chili odkryli, że mężczyźni, którzy przez wiele lat pełnili w rodzinie funkcje od wieków przypisywane kobietom, mieli o 82 procent większe ryzyko śmierci w porównaniu z rówieśnikami, którzy pracowali poza domem. Z kolei kobiety pracujące w najbardziej prestiżowych zawodach na stanowiskach o dużym autorytecie były trzykrotnie bardziej narażone na choroby serca w porównaniu z kobietami z innych grup zawodowych.

Nie myć dzieci!

A teraz – na wniosek siostrzeńców mojej przyjaciółki – coś dla najmłodszych. Wszystkie rodzicom dręczącym swoje pociechy zbyt czystym myciem pragnę zakomunikować, że nadmierne dbanie o higienę osobistą dziecka zwiększa ryzyko rozwoju chorób o podłożu alergicznym. Tak piszą naukowcy w piśmie „Archives of Disease in Childhood”. Sprawdzano to na 11 tysiącach dzieci. Badacze tłumaczą, że nadmierna higiena w dzieciństwie może utrudniać kontakt układu immunologicznego z czynnikami zakaźnymi, co zmniejsza odporność organizmu.

Jeśli zaś rzeczywiście chcemy dbać o zdrowie naszych pociech – pozwólmy im spać tak długo, jak im się żywnie podoba. Badacze snu twierdzą, że to, ile czasu spędzamy w objęciach Morfeusza, jest w nas zakodowane genetycznie.

Inni naukowcy dodają do tego, że wydłużenie snu u dzieci przynosi korzyści dla pracy ich mózgu, poprawiając koordynację psychoruchową. – Wyniki naszych badań pokazują, że skrócenie snu choćby o godzinę może mieć znaczny wpływ na zdrowie i efektywność nauki u dzieci – mówi psycholog Avi Sadeh z uniwersytetu w Tel Awiwie w Izraelu.

Dla łakomczuchów

Na zakończenie kilka słów w obronę upodobań do – wydawać by się mogło – niezdrowego jedzenia: pizzy i czekolady.

Cudowne właściwości tej pierwszej zdecydowali się wreszcie zbadać Włosi. Ich badania dowiodły, że jedząc regularnie pizzę, można zmniejszyć ryzyko raka przełyku nawet o 59 procent, raka okrężnicy o 26 procent, a raka ust o 34 procent. Tajemnica tkwi w likopenie – antyutleniaczu zawartym w pomidorach, który nadaje im czerwony kolor.

Co do czekolady zaś, to okazuje się, że może się ona stać podstawą nowego leku na kaszel. Zawarta w tym przysmaku teobromina podczas wstępnych badań okazała się skuteczna jako lek przeciwkaszlowy – poinformowali lekarze na konferencji British Thoracic Society. To jednak nie koniec cudownych właściwości czekolady. Zawarte w niej polifenole korzystnie wpływają na układ krążenia. Mają wpływ na rozkurczanie naczyń krwionośnych, co ułatwia przepływ krwi, zmniejszając też działanie złego

cholesterolu i wydają się zapobiegać powstawaniu skrzepów blokujących naczynia krwionośne. Pozytywne efekty obserwowano po zjedzeniu 35 gramów czekolady (co daje jedną trzecią standardowej tabliczki).

Po godzinach

Uff! Choć starałam się znaleźć coś dla każdego, oczywiście nie wyczerpałam tematu. Pozostało mi jeszcze wiele smakowitych ludzkich grzeszków: kawa (podobno zapobiega próchnicy i pomaga alergikom), plotkowanie, słabość do robienia zakupów, upodobanie do godzinnych rozmów telefonicznych. Ze względu na brak miejsca jednak te wszystkie zagadnienia zostaną omówione na konsultacjach indywidualnych. Zainteresowani proszeni są o przysyłanie pytań na adres redakcji.

Na zdrowie!

OLGA WOŹNIAK

Niech dzieci śpią tak długo, jak chcą. Będą zdrowsze. Uwaga: genetycznie zakodowaną potrzebę spania mają też rodzice

Foto: ALESSANDRO BAVARI

podejrzanie często. Po pierwszych kurtuazyjnych słowach powitania większość od razu przechodziła do sedna. – Słuchaj, nie wiesz, dlaczego ja tak strasznie nie lubię ćwiczyć? Może jest na to jakieś naukowe wytłumaczenie? Przyznam się, że przez skórę czuję, iż to jakieś jest niezdrowe...

– A może słyszałaś coś o dobrodziejstwach palenia papierosów? Gdzieś chyba czytałam, że to ma jakieś pozytywne strony...

– A jak ktoś długo gada przez telefon?

– A jak lubi słodczy?

W ciągu kilku dni poznałam najszybsze problemy i kompleksy moich przyjaciół. Film „Siedem” przy niektórych wysiada. Teraz będzie więc kilka grzechów na specjalne zamówienie.

Cwicz prostatę

Wszystkich zaniepokojonych pragnę uspokoić: nauka nie potwierdza, jakoby od masturbacji pogarszał się wzrok czy rosły włosy na plecach.

Najnowsze badania naukowców z Australii pod kierownictwem Grahama Gilesa z The Cancer Council Victoria w Melbourne pokazują, że im częściej mężczyźni masturbują się pomiędzy 20. a 50. rokiem życia, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo rozwinienia się u nich raka prostaty. Okazuje się, że ma to zwią-

tas, cynk, cukier. Eksperci przypuszczają, że kumulacja tych pierwiastków w gruczole może być przyczyną kłopotów.

A co z paleniem?

Palenie papierosów może opóźniać rozwój choroby Alzheimera – donoszą badacze. Zespół kierowany przez Kimę Jandę i Tobina Dickersona z The Scripps Research Institute w Kalifornii zaobserwował, że produkt rozpadu nikotyny w organizmie – substancja zwana normikotyną – zapobiega odkładaniu się w mózgu płytek amyloidalnych – nieprawidłowych struktur obserwowanych u osób chorych na alzheimera.

Wiele wyników badań sugeruje także, że nikotyna może mieć działanie antydepresyjne. Zaobserwowali to między innymi badacze z Howard University w Waszyngtonie.

Mat też informację dla tych, którzy chcą bezskutecznie rzucić papierosy – źródło wazszych niepowodzeń może tkwić w genach. Jak się bowiem okazuje, palacze ze szczególnym wariantem genu, który bierze udział w przemianie nikotyny w organizmie, mogą mieć większe problemy z rzuceniem nałogu. – Opracowanie dla nich terapii odwykowych, zwłaszcza gdy są one oparte na produktach zawierających nikotynę, powinno być powią-

PROMOCJA KART KREDYTOWYCH VISA PKO BANKU POLSKIEGO

Zobacz, co w karcie



- 50 osób wygra zestawy kina domowego renomowanej firmy DENON.
- 100 osób nagrodzimy najwyższej jakości odtwarzaczami DVD DENON.
- Wszyscy, którzy wezmą udział w promocji otrzymają 7% rabatu przy zakupie sprzętu firmy DENON*.

Złóż wniosek o kartę kredytową VISA w okresie od 17 lipca do 30 września br. Na kuponie, który otrzymasz, napisz hasło reklamujące karty kredytowe. Wypełniony kupon wrzuć do urny w najbliższej placówce PKO Banku Polskiego. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi 31 października 2003r.

*rabat ważny tylko podczas trwania promocji



Kartolina: 0-801 1 24 365*
Internet: www.pko.pl

PKO BANK POLSKI
Bliżej Ciebie



Jak łatwo i przyjemnie zarobić ponad dwa tysiące złotych miesięcznie? Nic prostszego – banki nasienia z przyjemnością zapłacą ci za odrobinę wysiłku

Kto pierwszy, ten lepszy. Plemniki w wyścigu do zapłodnienia komórki jajowej

CENA NASIENIA

PIOTR STANISŁAWSKI

Dawcy wciąż poszukiwani. Mimo że coraz skuteczniej leczy się męską niepłodność, nadal istnieje popyt na nasienie pochodzące od anonimowych mężczyzn. Wydaje się, że chętni do jego oddawania powinni walić drzwiami i oknami – za jedną porcję kliniki są skłonne płacić 200 lub 300 złotych. Mimo to o dawców wcale nie jest łatwo.

– To nasz największy ból głowy – skarży się dr Katarzyna Kozioł, kierownik laboratorium w warszawskiej przychodni Novum. – Poszukujemy wśród znajomych i pacjentów, staraliśmy się dotrzeć do studentów, bez większego skutku.

Trudno o chętnych

Czemu tak się dzieje? Wydaje się, że niewiele osób wie o możliwości płatnego oddawania nasienia. Ci, którzy się zgłaszają, muszą przejść procedurę kwalifikacyjną. Już na wstępie odrzucani są mężczyźni, którzy zostaną ocenieni jako niepoważni, niewiarygodni i „le-

cący na kasę”. Po wstępnej selekcji od kandydatów pobiera się nasienie, które jest poddawane podstawowym badaniom. Najważniejsza jest liczba plemników w spermie i ich ruchliwość. Na tym etapie odpada większość kandydatów – jakość męskiego nasienia w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat dramatycznie się pogorszyła. Normy wyznaczane przez Światową Organizację Zdrowia są stale obniżane. Winny jest nasz styl życia, dieta, zanieczyszczenie środowiska czy po prostu stres.

Plemniki w azocie

Jeżeli kandydat na dawcę przejdzie wstępną selekcję, nadchodzi czas na szczegółowe badania. Nie może być mowy o chorobach zakaźnych czy wadach genetycznych. Dlatego właśnie najmniej widziani są mężczyźni, którzy mają już własne dzieci. Mówi się o nich, że są sprawdzeni biologicznie. Klinika bada też wytrzymałość plemników na zamrażanie – nasienie jest przechowywane w ciekłym azocie, w temperaturze -196 stopni Celsjusza. Aby zapobiec uszkodzeniu plemników, doda-

je się tak zwane krioprotektanty – między innymi żółtko kurzego jaja.

Po serii badań można oddawać nasienie – trwa to od pół roku nawet do kilku lat. Przed wizytą w banku niezbędna jest kilkudniowa abstynencja seksualna – w praktyce oznacza to, że tygodniowo można oddać dwie porcje spermy. Każda jest warta około 200–300 złotych – zależy to od jakości i ilości nasienia. Wysilek, jaki trzeba włożyć w ten zarobek – co wie ponad 90 procent mężczyzn – jest raczej niewielki.

Podobne do taty

Po pół roku radosnego zarabiania pieniędzy przychodzi czas na weryfikację. Nasienie, które przez ten czas nie było wykorzystywane do zapłodniania, może wejść do obiegu. Dzieje się tak, jeżeli dawca ponownie przejdzie badania na HIV, żółtaczkę, choroby weneryczne i inne, które mogły się ujawnić w ciągu pół roku. Mężczyzna oddający nasienie jest informowany o wynikach wszystkich badań. Jest to więc okazja nie tylko do zarobku, lecz także do bezpłatnego przebadania.

Dawca dostaje pieniądze za oddanie nasienia niezależnie od tego, czy zostało ono wykorzystane. Dobierając nasienie do zapłodnienia, bierze się pod uwagę przede wszystkim to, by dziecko było jak najbardziej podobne do swego przybranego ojca. Patrzy się więc na wzrost, typ fizyczny, kolor oczu, rodzaj włosów. Istotna jest też grupa krwi – wszystko po to, by nie dało się w przyszłości łatwo stwierdzić, że żona kobiety nie jest biologicznym ojcem jej dziecka. Dla większości par jest to sprawa wstydliwa, między innymi dlatego personalia dawcy i rodziców są trzymane w ścisłej tajemnicy. Dawca podpisuje też zobowiązanie, że nie będzie poszukiwał swojego biologicznego dziecka.

Tłum potomków

Niestety, oddawanie nasienia nie jest sposobem na utrzymanie się przez całe życie. Międzynarodowe przepisy mówią, że z nasienia jednego dawcy nie powinno urodzić się więcej niż sześćro dzieci. Chodzi o to, by w przyszłości pary nie utworzyli brat i siostra nieświadomi swojego pokrewieństwa.

– Dzisiaj odchodzi się od tych ograniczeń – mówi dr hab. Waldemar Kuczyński, szef biostockiego Kriobanku. – Badania wskazują, że nie mają one genetycznego uzasadnienia.

Jeżeli więc jesteś zdrowym mężczyzną, najlepiej mającym już własne dzieci, masz co najmniej średnie wykształcenie i chcesz zarobić, jednocześnie pomagając innym, zgłoś się czym prędzej do jednej z klinik prowadzących banki nasienia. Tym bardziej że dzięki rozwojowi metod leczenia popyt na plemniki może się wkrótce skończyć.

Zatem panowie – do dzieła!

KRZYSZTOF IBISZ **DOROTA GAWRYLUK** **KUBA WOJEWÓDZKI** **MACIEK ROCK**

ZDOLNI DO WSZYSTKIEGO

ROZRYWKA **KRZYSZTOF IBISZ** MUZYKA **MACIEK ROCK** TALK-SHOW **KUBA WOJEWÓDZKI** INFORMACJE **DOROTA GAWRYLUK**

produkcja: TELEWIZJA POLSAT www.polsat.com.pl

POLSAT WIĘCEJ SŁOWCA



polki.pl

Wszystko,
czego
potrzebuje
nowoczesna
kobieta!



www.polki.pl



☞ diety,
horoskopy,
kosmetyczne nowości,
moda – światowe trendy

serwis polki.pl

znajdziesz w portalu

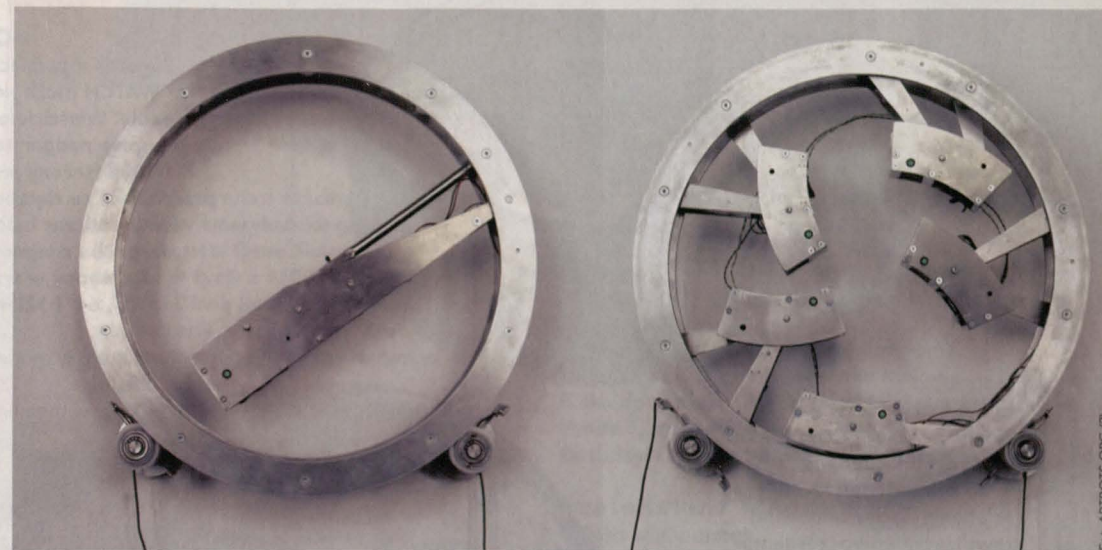


technologie

nauka

Roboty powinny
nas zabawiać,
nie zabijać. Miłe
maszyny pokazano
na wystawie
w Nowym Jorku

WRAŻLIWE ROBOTY



Niepozorne kółka to biblijna para – micro.adam i micro.eva. Obydwoma robotami sterują złożone programy, które potrafią samodzielnie się uczyć. Stąd już tylko krok do systemów sztucznej inteligencji

Czy w przyszłości roboty będą pięknymi maszynami do zabijania tak jak T-X, zmiennokształtna kobieta-robot z trzeciej części „Terminatora”? Jest nadzieja, że nie – w Nowym Jorku niedawno odbyła się wystawa robotów, które są zarówno dziełami sztuki, jak i artystami. A przede wszystkim – są przyjazne.

Okazuje się, że pokolenie, które ma żyć na co dzień z robotami, zaczęło się ich bać. Dzieci oglądają telewizję, chodzą do kina i grają na komputerze. Wszędzie tam widzą groźne maszyny specjalizujące się w zabijaniu ludzi i niszczeniu innych maszyn. Tego wizerunku nie zmieni raczej przyjazny, choć próbujący ze skóry Terminator grany przez Arnolda Schwarzeneggera.

Potrzebne są inne środki – najlepiej pokazać, że maszyna potrafi być miła, służyć zabawie, a może nawet brać udział w tworzeniu sztuki. Taki cel postawili sobie organizatorzy wystawy ArtBots. Zgromadzili 22 maszyny, które potrafią robić coś ciekawego, a zarazem małego: tańczą, śpiewają, rysują albo po prostu się kręcą – za to tak, że nie można od nich oderwać wzroku.

Tańczy, jak mu zagrają

Największe zainteresowanie publiczności wzbudziła grupa robotów o wspólnej nazwie LEMUR. To skrót od League of Electronic Musical Urban Robots (liga miejskich elektronicznych robotów muzycznych). Są to maszyny grające na instrumentach lub instrumenty grające same na sobie. Na przykład GuitarBot (czyli gitarobot) składa się z czterech elementów – każdy z nich jest jednostrunową gitarą. Razem mogą wygrywać melodie, o których nie śniło się wirtuozom – po prostu żaden człowiek nie jest w stanie tak szybko przebiegać palcami, jak może to zrobić wyspecjalizowana maszyna. Inna sprawa, że GuitarBota trzeba zaprogramować – tu na szczęście ludzki umysł i ucho są niezastąpione. Na razie robot gra melodie na poziomie ucznia pierwszej klasy szkoły muzycznej. Próbek jego dzieł można posłuchać pod adresem lemurbots.org/guitarbot.html.

Innego wyboru dokonały same roboty – z niewielką pomocą swoich twórców. Przysnaną przez nie nagroda Robots' Choice Award trafiła w ręce (a właściwie koła) pary robotów o nazwie micro.adam i micro.eva. Na pierwszy rzut oka trudno je nawet nazwać robotami. To dwa obracające się koła z dziwnymi konstrukcjami wewnątrz. Służą obserwowaniu tego, jak robot może uczyć się własnego „ciała” i jego interakcji z otoczeniem.

Adam i Ewa

Zarówno micro.adam, jak i micro.eva zaraz po uruchomieniu nie wiedzą o sobie nic – zupełnie jak ich imiennicy z biblijnego raju. Potem zaczynają się kręcić i poruszać znajdującymi się w ich wnętrzu siłownikami. Zadaniem programu sterującego jest nauczenie się, jak sterować skomplikowanym mechanizmem, tak by utrzymywać równowagę. Po jakimś czasie system wie już, jak zareagować na przykład na dotyk wytrącający z równowagi. Dzięki temu można obserwować, jak prosty system sztucznej inteligencji uczy się reagować na bodźce płynące

Roboty tworzone w celach rozrywkowych to jedna strona medalu. Nadziej na poważne zastosowania są systemy łączące sprawną mechanikę ze sztuczną inteligencją – badania nad takimi pomysłami prowadzone są na całym świecie. W laboratoriach powstają maszyny, które wykonują ludzkie prace, uprawiają sporty, tańczą, rozmawiają, a nawet się śmieją. Możliwość podejrzenia miejsc, w których rodzą się te konstrukcje, da nam kanał Discovery. W poniedziałek 18 sierpnia, o godzinie 23.00, pokazany zostanie film „Robo Sapiens”, w którym autorzy szukają odpowiedzi na pytanie, czy, a raczej kiedy, roboty zmienią świat.



Tribblatión zachęca swoim wyglądem do zabawy. O to właśnie chodziło jego twórcom

z otoczenia. Można też po prostu stać i z przyjemnością obserwować wirujące robociki.

Piłka do głaskania

Zainteresowanie młodszej części zwiedzających wzbudził Tribblatión. Na pierwszy rzut oka przypomina podświetlaną piłkę. Jego powierzchnia została pokryta setkami sensorów, które przekazują informacje o najbliższym otoczeniu robota. Tribblatión odczuwa nacisk, ciepło, słyszy dźwięki i widzi światło. W sumie na jego powierzchni umieszczono 516 współpracujących ze sobą „zmysłów”, które w ciągu sekundy mogą przesłać ponad 600 megabajtów danych – tyle, ile mieści się na płycie kompaktowej.

Robot nie pozostaje obojętny na ten zalew informacji – reaguje zależnie od odbieranych wrażeń. Gdy jest głaskany, łagodnie wiruje, błyska kolorowym światłem i wydaje przyjazne dźwięki. Twórcy nie informują niestety, co zrobi Tribblatión, gdy dostanie solidnego kopniaka. Można mieć nadzieję, że nie odda...

Być może dzięki wystawie ArtBots roboty przyszłości będą umiały nie tylko pracować, lecz także uśmiechnąć się do nas.

PIOTR STANISŁAWSKI

Korzystałem z tekstu Michelle Delio „The Robot Won't Bite You, Dear”; Wired.com



[odjazd]

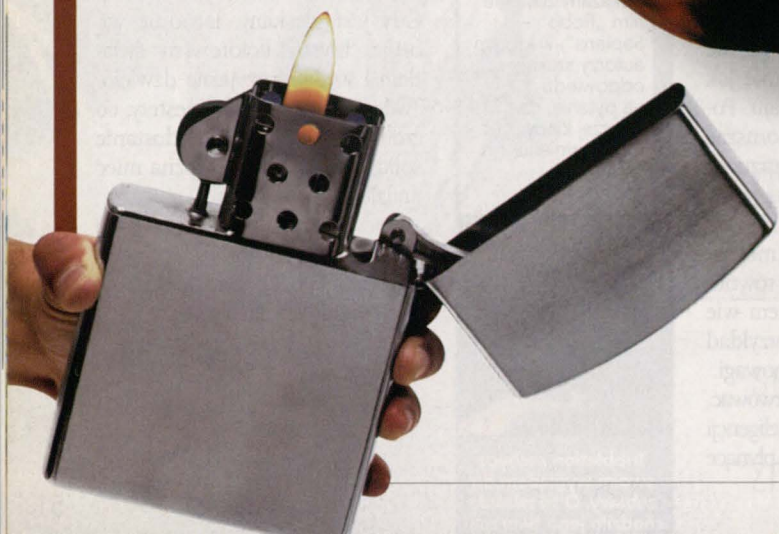
Otwarty szwed

Nowy SAAB 9-3 CONVERTIBLE striptiz robi zaledwie w 20 sekund! Tak krótki czas składania dachu samochodu zawdzięcza nowoczesnemu mechanizmowi – kłapa bagażnika, w którym ukrywa się złożony dach, nie podnosi się do góry, lecz przesuwają pod lekkim kątem do tyłu. Dach można składać i rozkładać podczas jazdy nieprzekraczającej 30 kilometrów na godzinę. Około 160 tysięcy złotych www.saab.pl

[od rzeczy]

Zaskocz palaczy!

Na pierwszy rzut oka to klasyczne zippo – ze stali i na benzynę. Model XXXL LIGHTER różni się od kultowej zapalniczki tym, że jest 12 razy większy! Gigantyczne zippo na każdym palczu robi ogromne wrażenie. Niestety – nie zmieści się w jego kieszeni. Około 130 złotych www.gadgetshop.com



[techno]

Czas na pamięć

Zegarek z pamięcią LAKS MEMORY WATCH może nosić w sobie całą encyklopedię. Właścicielowi czasomierza nie ścierpie nadgarstek, bo zegarek wyposażony jest w specjalny przedłużacz ze złączem USB. Dzięki temu podczas ładowania plików nie trzeba zdejmować go z ręki. Dostępny w trzech wersjach: z 32-, 64- i 128-megabajtową pamięcią. Najtańszy model kosztuje 230 złotych. www.thememorywatch.com



[pomysł]

Pachnący klejnot

Mieszankę orientalnych zapachów firma BVLGARI ukryła w dwóch symbolizujących nieskończoność pierścieniach – być może wręczenie perfum OMNIA ma zapewnić mężczyźnie dożywotnią wdziękność partnerki. Zwłaszcza że metalowe pierścienie otoczone kryształami w kolorze karmelu zamieniają flakon w prawdziwy klejnot. Woda perfumowana 40 mililitrów – 252 złote



[zakawa]

Potrójna jazda

Skuter wodny SEA-DOO GTX napędzany silnikiem o mocy 130 koni mechanicznych przyciąga uwagę najbardziej atrakcyjnych ratowniczek. Jeśli będą chciały, żebyś zabrał je na przejażdżkę, możesz to robić parami, bo Sea-doo jest trzyosobowy. Podczas szaleństw nie zapominaj jednak o wczasowiczach lubiących ciszę i spokój. Około 80 tysięcy złotych www.sea-doo.com



[wylizanka]

PIĘĆ POWODÓW... DLA KTÓRYCH NIE WARTO JECHAĆ NA WAKACJE

1. Wypadniesz z układów wewnątrz twojej firmy. Po powrocie z urlopu zobaczysz przy swoim biurku młodego, zdolnego i bezczelnego byłego stażystę, który podczas twojego krótkiego lenistwa skradł twój cały etat (godzina u psychoanalityka – 100 złotych).

2. Nabawisz się grzybicy stóp! Jeśli nie masz kłapek, kładź pod prysznicem reklamówkę. W basenie pływasz w plastikowych sandałach – ludz się, że uciekniesz w nich przed niewidzialnymi bakteriami, które czają się w każdym wilgotnym zakamarku (sandały – 20 złotych).

3. Złodzieje spłądrują ci mieszkanie!!! Zawsze przed wyjazdem ubezpiecz swoje cenne ściany, bo nie wiadomo, ile ścian zastaniesz po powrocie z urlopu (miesięczna polisa – około 30 złotych).

4. Pogryzą cię kleszcze!!! Przez sześć tygodni będzie ci boleć głowa od zastanawiania się, czy robak nie zarażał zapaleniem opon mózgowych (szczepionka na kleszcze – 68 złotych jedna dawka).

5. Nabawisz się kompleksów!!! Już pierwszego dnia, przyglądając się na plaży facetom z kaloryferami na brzuchu i dziewczynom w stringach, odkryjesz na swoim ciele nowe oponki z tłuszczem. Potem przez cały urlop będziesz się wstydylić zdjęć ubranie (opakowanie tabletek „pożerających tłuszcz” Chitin – 48 złotych).

Zastanów się, po co ci ten urlop? Ale jeśli lubisz mocne wrażenia, przygotuj

266

złotych.



[pop moda]

Gumki

Rok temu słynna z ekscentrycznych pomysłów amerykańska grupa Kiss, której basista Gene Simmons utrzymuje, że spał w życiu z 4600 kobietami (w tym z Cher i Dianą Ross), wypuściła na rynek własną serię prezerwatyw. Zrobiono je z czerwonego lateksu i nazwano Rock'n'rubbers.

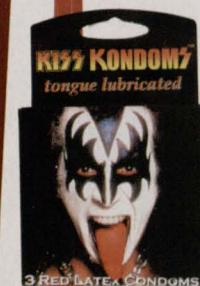
Amerykański Ruch Obrony Życia zareagował błyskawicznie. – Jak można traktować poważnie zespół taki jak Kiss, kiedy rozdaje kondomy? – komentował aktywista Ruchu Bryan Kemper. – Ich wpływ na dzieci jest wystarczająco zły i bez tego. Simmons nie próbował się odgryzać. Ogłosił tylko, że zainteresowane kobiety chętnie zaprosi na darmową demonstrację.

Zbroja z lateksu

Prezerwatywy są obecne w popkulturze dłużej niż kakao, a już na pewno dłużej niż zupa w proszku (poza tym zupa w proszku daje zero procent ochrony przed czymkolwiek). W postaci pęcherzy zwierzęcych znane były i przed naszą erą. Nowożytna prezerwatywa pochodzi – jak

pisze Norman Davies – od kapitana Condoma, który był lekarzem lub komendantem straży na dworze angielskiego króla Karola II (XVIII wiek). Mówiło się o niej „angielski płaszcz” albo

„zbroja” (Casanova też używał). Wydawało się, że po rewolucji wywołanej przez pigułkę antykoncepcyjną kondom przegrał, ale strach przed AIDS sprawił, że znów stał się bohaterem popkultury. Jay i Cichy Bob – bohaterowie filmów Kevina Smitha – zastanawiają się na przykład, czy Superman podczas stosunku ze zwykłą kobietą musiał używać kondomu z kryptonitu. W filmie „Naga broń” Leslie Nielsen z partnerką uprawiają „bezpieczny seks” owinięci w gigantyczne lateksowe kombinezony o fallicznym kształcie. To z kolei przywodzi na myśl wydarzenie

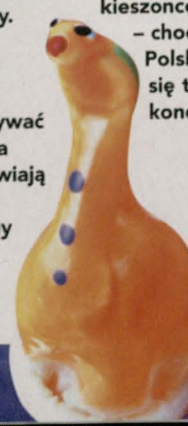


z 1 grudnia 1993 r., kiedy to w Światowy Dzień AIDS firma Benetton opakowała w kondom 22-metrowy obelisk na place de la Concorde w Paryżu. Kondomy Kiss to tylko ciąg dalszy prób sprzedania kawałka gumy w sposób możliwie jak najzabawniejszy. Stąd dostępne od lat Musical Condoms odgrywające w czasie stosunku melodie (kilka do wyboru, między innymi „Love Me Tender”, marsz weselny i... „Happy Birthday”) za sześć funtów plus przesyłka.

Szaleństwo Magnum

Wśród wielu marek firmowych, o których rapują gwiazdy hip-hopu (Courvoisier, Lexus i tak dalej), znalazły się prezerwatywy „najmodniejszej” w Ameryce linii Trojan Magnum. Najmodniejszej, bo produkowanej w rozmiarach XL i XXL i określanej mianem „długich limuzyn” świata kondomów. „She won't care if I'm a platinum rapper / If she catch me with an empty Magnum wrapper” – rapował Fabolous. Czyli: liczy się rozmiar prezerwatywy, a nie liczba sprzedanych płyt. Polacy rymują na ten sam temat mniej pozytywnie. Wrocławska formacja Neon błysnęła życiowym: „Różnie to bywa / Raz pęka serce / Raz prezerwatywa”. Bardziej znany O.S.T.R. rapuje: „Szydzisz ze mnie? No to chodź tu / Weź ze sobą swoich chłopców / Chyba że pękasz jak kondomy z kiosku”. Takie podejście to pewnie zasługa legendarnych „erosów” z lat 80. pochodzących z krakowskiego Stomilu, o których mówiono, że trzeba wkładać 10 naraz, bo jedna na 10 nie pęka. Ale teraz – wobec dominacji na rynku nowoczesnego Unimilu – to już przeszłość. Można brać przykład z bohatera książki Kurta Vonneguta jr. i nosić jedną w małej kieszonce (na przykład w spodniach) – choćby miała się nigdy nie przydać. Polska tradycja uczy już nawet, jak się taka kieszonka nazywa: kondonierka.

BARTEK CHACIŃSKI





GUTEK

Don Kichot wśród polskich dystrybutorów filmowych **ROMAN GUTEK** walczy z bezmyślną komercją i zapachem popcornu w salach kinowych. Na co dzień bywa czarującym słodkim misiem lub okrutnym pracodawcą

O DWÓCH OBLICZACH

TEKST PAWEŁ PIĄTEK
ZDJĘCIA IGOR OMULECKI

Na rozpoczęcie tegorocznego festiwalu filmowego Nowe Horyzonty w Cieszyńsku Roman Gutek, pomysłodawca i organizator imprezy, zamierzał wygłosić 24-stronicowe przemówienie. Publiczność uratował jego syn Kuba, przypominając ojcu, że „Dogville”, film inaugurujący, trwa trzy godziny. Przemówienie przełożono na koniec festiwalu. Wkrótce potem na ekranie pojawił się Lars von Trier, by przez pięć minut krzyknąć nieskładne wyrazy, które miały brzmieć: „Jeszcze Polska nie zginęła! Zapraszam szanowną publiczność na festiwal”. W ubiegłym roku cieszyńską widownię witał Pedro Almodóvar.

NIEKOMERCYJNY

Dzięki niemu mogliśmy obejrzeć „Amelię”, „Porozmawiaj z nią” i „Tańcząc w ciemnościach”. Roman Gutek, szefujący założonej przez siebie firmie dystrybucyjnej, bardzo ostrożnie przebiega w ofercie światowej kinematografii. Przyczepiona do filmu etykieta „gutkowy” jest najlepszą rekomendacją dla widzów lubiących kino oryginalne, szarpące za serce, potraśające za sumienie, łechtające intelektualną próżność. To on zapoczątkował modę na kino irańskie i ostro promował rozedrganie obrazy spod znaku Dogmy. W repertuarze należącego do Gutek Film warszawskiego kina Muranów można znaleźć tytuły, jakich próżno by szukać w multiplexach; to zresztą jedno z niewielu kin, w którym widzów nie odstrasza zapach popcornu. Najtrudniejsze, najbardziej ambitne pozycje Gutek pokazuje w ramach specjalnie przygotowanego cyklu „Nowe Horyzonty”.

KAZIMIERZ MASOWY

Letnie festiwale z udziałem Romana Gutka zaczęły się od Lata Filmów w Kazimierzu Dolnym. Pomysłodawcą i szefem imprezy był Sławomir Rogowski reprezentujący firmę Filmar, dyrektorem artystycznym był Gutek. Po szóstej edycji Gutka zwolniono. – Ja bardziej widziałem Kazimierza jako imprezę społeczną, on głównie jako wydarzenie artystyczne – powiedział nam Rogowski.

– Pomimo że firmy Gutek Film i Filmar dzieli kilkadziesiąt metrów, Sławek nie pofatygował się do mnie osobiście z tą informacją. Zdymisjonował mnie przez telefon... – mówił Gutek. Od roku

2001 organizuje własny festiwal Nowe Horyzonty. Wreszcie może pokazywać te filmy, które „czuje”.

Zainteresowanie kinem Gutek zawdzięcza swemu sąsiadowi Tadeuszowi Poleszakowi. Razem z nim oglądał filmy prezentowane przez profesora Aleksandra Jackiewicza w telewizyjnej „Filmotece Arcydział”. Każdy pokaz poprzedzał „krótki wykład wprowadzający w atmosferę filmu”. Roman miał wtedy kilkanaście lat. Wielkie wrażenie zrobiła na nim „Siódma pieczęć” Ingmara Bergmana. – Odnajdywałem w tych filmach siebie, swoje problemy, bohaterów podobnych do mnie – wspominał Gutek w wywiadzie dla internetowego serwisu Stopklatka.

BIEGACZ SAMOTNIK

W roku 1977 zaczął eksperymentalne studia na Wydziale Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie kształcić się mieli menedżerowie humaniści. Chciał wtedy zostać skromnym pracownikiem jakiegoś domu kultury. Niestety, studia okazały się rozczarowaniem. Gutek brylował natomiast w domu studenckim przy ulicy Kickiego, gdzie spędził zresztą ponad 10 lat. W żeńskiej części akademika działał wówczas Dyskusyjny Klub Filmowy „Ubab”, z którym zaczął intensywnie współpracować. Na początku wieszał afisze, woził kopie filmów.

Dla prawdziwego kinomana był to cudowny okres: filmy Buñuela, Bergmana, z krajowych twórców Zanussiego, Holland. Problem stanowiło tylko zdobycie kopii i przepchanie ich przez cenzurę, chętnych zaś do oglądania było w nadmiarze. Gutek znalazł zatem pole do popisu dla swojej niespożytej energii i kreatywności. Po rozwiązaniu Ubabu przeszedł do DKF-u w Hybrydach, gdzie znowu (tak jak w Ubabie) współpracował ze Sławomirem Rogowskim, dziś członkiem zarządu Totalizatora Sportowego oraz honorowym członkiem zarządu firmy Filmar. – Na organizowanych przez Hybrydy wyjazdach do Istebej ujawniała się u Romana natura samotnika – powiedział nam Rogowski. Zanim Gutek udał się na wieczorną imprezę, wkładał biegówki i samotnie chodził po kopnym śniegu dookoła schroniska, podczas gdy reszta towarzystwa zjeżdżała na stoku. – Doskonale to obrazuje również Romana jako człowieka pełnego uporu i konsekwencji – mówi Rogowski. Według niego te cechy, wykształcone dzięki aktywności w ciężkich politycznych czasach, przetrwały u Guteka do dzisiaj.

AMBITNY DYSTRYBUTOR

W roku 1985 Roman Gutek zainicjował Warszawski Tydzień Filmowy (dziś Warszawski Międzynarodowy Festiwal Filmowy). Tamten okres to również czas zmagania Guteka z Wojewódzką Komendą Uzupełnień. Szukając ratunku przed poborem, zdecydował się na niewielką operację ręki, która nie dawała mu spokoju od czasu złego złamania na początku

studiów. Lekarz, który dokonał zabiegu, a tym samym ocalił Gutka przed poligonem w Pułtusk, okazał się również człowiekiem kina. Był to Tadeusz Ściński, chirurg z dokumentu „Szpital” Krzysztofa Kieślowskiego.

Po siedmiu kolejnych edycjach Tygodnia Gutek zrezygnował z organizowania warszawskiej imprezy i został szefem działu dystrybucji Fundacji Sztuki Filmowej. W ciągu trzech lat Fundacja wprowadziła do kin blisko 50 filmów, z których najważniejszy był „Tańczący z wilkami” Kevina Costnera. Sukces kasowy obrazu spowodował, że Gutek miał pieniądze na remont warszawskiego kina Muranów. Dzięki pomocy Komitetu Kinematografii odnowiony Muranów trafił do sieci kin europejskich Europa Cinemas. W roku 1994 Gutek założył wreszcie własną firmę dystrybucyjną

Gutek Film. Do „gutkowego” kina trafiły między innymi obrazy Lyncha, Greena, Teyla, Almodovara, von Triera. Wśród ambitnego repertuaru zdarzają się rodzyнки, które przyciągają nie tylko koneserów, lecz także i częściej zwykłych widzów. Takim kasowym sukcesem okazała się francuska „Amelia”. Dzisiaj Gutek Film zajmuje szóste miejsce pod względem liczby widzów, do kin wprowadza około 10 filmów rocznie.

NIE MUSI SIĘ UBIERAĆ

– Roman to same sprzeczności – mówi żona Guteka Alina, dziennikarka „Zwierciadła”. – W kinie pociąga go to, co niekonwencjonalne, oryginalne, łamiące schematy. W domu zaś ceni normalność dnia powszedniego, nie znosi żadnych przetasowań, rewolucji. Sprawy

techniczne zupełnie sobie odpuszcza, zaś w niektórych bywa szczególnie upierdliwy. Trudno się z nim żyje, to typ depresyjny, samotnik, w dodatku wymagający i nieprzewidywalny. Czasem zaszywa się w pokoju i słucha na przykład chorałów gregoriańskich.

Alina Gutek z pobłażaniem traktuje kompletny brak zainteresowania męża kwestiami finansowymi. Od pięciu lat próbują ukończyć budowę domu pod Warszawą. To żona musiała zadbać o samochód, który zresztą sama prowadzi. Gutek nie ma prawa jazdy i najwyraźniej nie ma ochoty go mieć. – Mąż generalnie nie musi się ubierać, raz na rok wyciągam go do sklepu, żeby sobie coś kupił. Jego ulubione

Osobiście rozdaje gazety festiwalowe. Czasem nawet sam zamiata chodnik przed wejściem do kina

bardzo szanuje rodzinę. Wiem, że jesteśmy dla niego ważni – dodaje żona.

SŁODKI MIŚ I KUMPLORYN

Jako pracodawca Roman Gutek ma dwoistą naturę – mówią zgodnie jego dawni współpracownicy. Ich zdaniem jedną twarz były szef pokazuje mediom i partnerom w biznesie – to Gutek słodki miś, ujmujący wiedzą o filmie, pasją i zaangażowaniem. Takiego Guteka kochają ludzie, którzy jeżdżą za nim na każdy festiwal, którzy na ślepo idą do kina na „gutkowy” film. Dawni pracownicy, z których żaden nie chce się wypowiadać pod nazwiskiem, potwierdzają, że takiego Guteka poznaje się na początku pracy w firmie. – Pierwsze spotkanie? Fantastyczne wrażenie – mówi była współpracowniczka. – Przegadaliśmy chyba ze trzy godziny. Po rozmowie ochłonęłam i zdałam sobie sprawę, że to był monolog Guteka. Na dodatek to, co mówi, to najczęściej zdania usłyszane wcześniej od współpracowników lub przeczytane w jakiejś gazecie. Tak naprawdę nie wiem, co on sam myśli.

Po pierwszym tygodniu pracy zaczynają się schody. Szef-kumpel przeistacza się w szefa-tyrana. Wiecznie niezadowolony, odrzuca wszystkie pomysły, a potem wykorzystuje je jako własne. Drażni jego niezdeterminowanie, które sprawia, że wszystko trzeba robić „na przedwczoraj”. – Pan Roman zaprosił mnie raz do biura i powiedział, że gdybym usłyszał od ludzi coś, co mogłoby zaszkodzić firmie, to że bym walił prosto do niego – mówi zaskoczony propozycją były pracownik.

Podwładni często nie wytrzymują presji i odchodzą albo są wyrzucani. Gutek szuka ludzi „z błyskiem w oku” i tacy licznie się zgłaszają przyciągani magiczną osobowością potencjalnego pracodawcy. Ci świetni ludzie szybko jednak tracą entuzjazm, gdy okazuje się, że ciężka harówka nie znajduje uznania.

– Personel poszczególnych działów pracujący nad premierami filmowymi czy festiwalami zmienia się nawet co pół roku, nie daj Boże, jak się jeszcze stawiają – potwierdza kolejna osoba.

NOWA JAKOŚĆ INTELEKTUALNA

Chociaż tak srogo oceniani przez podwładnych, Roman Gutek ma grono prawdziwych, niemal bezkrytycznych wielbicieli. – Coś na kształt towarzystwa wzajemnej adoracji. Są przy nim od zawsze – komentuje niechętnie anonimowa osoba spoza tego grona.

Grażyna Słomka, dziennikarka z Polski pracująca w Hanowerze, współpracuje z Gutekiem między innymi przy organizacji festiwali filmów polskich w Niemczech. Poznała go jeszcze w czasach DKF-ów. Od lat jeździ na organizowane przez niego letnie festiwale. – Cenię w nim energię, zdolność do przekazywania innym swej wiedzy. Imponuje mi, że sam stoi przed wejściem i rozdaje gazety festiwalowe. O poranku nawet osobiście zamiata przed kinem. Jest jak ojciec: pyta spotkanych po seansie ludzi, czy film się podobał. To, co tutaj przeżywam, mogę porównać jedynie ze stanem błogosławionym – relacjonuje radośnie pani Grażyna. Spytana, czy „gutkomania” nie jest rodzajem snobizmu, odpowiada: – Ja się czuję lepsza przez to, że jestem w Cieszynie. My wszyscy tutaj tak czujemy. Nie chcemy się wywyższać, ale to jest coś wyjątkowego, niedostępnego dla zwykłego widza telewizyjnego. Gutek tworzy nową jakość intelektualną.

Może to zbyt górnolotne słowa. Ale z pewnością wielu polskich kinomanów przynajmniej w pewnej mierze podziela te gorące uczucia. W końcu tylko dzięki Romanowi Gutekowi Polacy mieli i mają dostęp do ambitniejszych i świetnych, choć mniej kasowych, filmów.

PAWEŁ PIĄTEK

Przy okazji „gutkowego” festiwalu Nowe Horyzonty w Cieszynie odbyła się międzynarodowa wystawa sztuki współczesnej „Ukryte w słońcu”. Na zdjęciu: Roman Gutek przy rzeźbie Pawła Althamera



Medycyna ANTI-AGING

www.bioaging.pl

- Wczesne wykrywanie, zapobieganie i leczenie chorób związanych z wiekiem
- Spowalnianie procesów biologicznego starzenia się
- Poprawa jakości życia

ul. Staszica 20 A, 62-020 Swarzędz
tel.: (61) 81 87 550
fax: (61) 81 87 551
e-mail: info@hair-clinic.poznan.pl
www.hair-clinic.poznan.pl

Hair Clinic Poznań

BIOAGING® SYSTEM

Blond piękność **KRISTANNA LOKEN** trenuje sztukę zabijania, onieśmiela mężczyzn, a na planie „Terminatora” starała się nie skrzywdzić Schwarzeneggera

Krakasy, pościgi, wybijane szyby – wszystko to nic. Męscy fani „Terminatora” czekają na inną scenę. W pierwszej i drugiej części zły robot z przyszłości wkraczał do naszego świata nagi. Tradycja serii nakazuje, by i w trójce było podobnie. Tyle że w filmie „Terminator 3: Bunt maszyn” robotem jest kobieta. Modelka. 23 lata, włosy blond, biust: 75B. Prawie 180 centymetrów wzrostu. Kristanna Loken, czyli marzenie dorastającego mężczyzny.

NARODZINY TERMINATRIX

Robot T-X idzie więc sobie niewinnie po ulicach w stroju Ewy. Dopiero za chwilę zauważy, że w społeczeństwie obowiązują pewne odzieżowe standardy, i zabije właścicielkę pierwszego zauważonego ubrania. Ta scena oznaczała dla aktorki całą noc biegania nago po Rodeo Drive w Beverly Hills, na planie zdjęciowym „T3”. Na planie, który z mało znanej modelki i aktorki miał uczynić gwiazdę pierwszej wielkości.

Trzeci odcinek popularnej serii nie tylko w tej scenie wspiera się kobiecością Terminatrix, jak damskiego robota od razu ochrzcieli fani filmu. Jest tu też bitwa z dobrym robotem T-101 (Schwarzenegger) w łazience. Jest wreszcie dość fantazyjna scena „pompowania piersi”. – Pod biustonoszem umieszczono mi puste baloniki. A ktoś z małą pompką je pompował. Czasem się nie udawało. Wtedy strzelały – tłumaczy Kristanna.

T-X została skonstruowana z energii i potrafi przejmować kontrolę nad innymi maszynami – w tym nad Arnoldem. A jej ramię z łatwością przeobraża się w karabin maszynowy.

PIĘKNIE SKRĘCA KARK

Terminatrix ma wytropić i zabić Johna Connora – przyszłego przywódcę ludzi w wojnie z maszynami. Ma też spuścić manto broniącemu Connora robotowi T-101, czyli Schwarzeneggerowi. Leczą, co więcej, ma osobiste powody, żeby pobić słynnego Arnolda.

Twórcy nowego „Terminatora” od razu chcieli mieć kobietę jako czarny charakter. Z tym że

Schwarzenegger – jak sam ostatnio przyznał – długo popierał kandydaturę Joanie Laurer, znanej jako Chynna mistrzyni kobiecych zapasów WWE. Zwyciężyła jednak opcja obsadzenia w tej roli bardziej niewinnie wyglądającej dziewczyny. „Może weźmiemy jakąś piękność? Byłyby większe emocje, gdy ona podchodzi do kogoś i nagle – ot tak – skręca mu kark” – zastanawiali się producenci.

Kiedy jednak wybrali Kristannę, Schwarzenegger orzekł, że lepiej być nie mogło. Po zdjęciach opowiadał, że ciekawie było walczyć z Loken, bo do tej pory nie wiedział, jak ude-

KOBIETA MNIĘ BIJE



Rola u boku męskiego Arnolda była dla Kristanny Loken życiową szansą. Chyba dobrze wykorzystała. Jej uroda przypadła do gustu fanom „Terminatora”

rać, atakować kobietę, jak mocno można rzucić nią o ścianę.

Loken o walce ze Schwarzeneggerem: – Cały czas myślałam: „Okej, Kristanna, to 30 milionów, nie zepsuj go, nie bij w twarz!”. Na szczęście nie uderzyłam ani razu. 30 milionów – to była wartość kontraktu Schwarzeneggera.

MAKSYMALNIE PLASTIKOWA

Żeby zagrać w filmie, Loken zatrudniła trenera kick-boxingu, który miał nauczyć ją kopniaków i pchnięć potrzebnych na castingu. – Kiedy już dostałam rolę, zaczęłam od dietyka

– opowiada aktorka. – Chciałam powiększyć trochę masę mięśniową. Zwiększyłam ją o jakieś siedem i pół kilograma. Trenowałam podnoszenie ciężarów, strzelanie i izraelską formę walki zwaną Krav Maga. Tę, której uczą tam wojskowych. To rodzaj brutalnej walki ulicznej. Dużo uderzeń kolanem, łokciem, głową.

– Pracowałam też z trenerem-mimem, bo spora część mojej roli polega na nieludzkim, dziwnym zachowaniu – dodaje Kristanna.

Wszystko po to, żeby spełnić podstawowy postulat realizatorów filmu – Kristanna w swojej roli miała być maksymalnie plastikowa. To wyszło świetnie. Być może dla dziewczyny z kilkuletnim stażem modelki żaden trening w odgrywaniu manekina nie był potrzebny.

SŁODKA FARMA

Gdy miała 15 lat, norweskie pismo „Norsk Ukeblad” zrobiło z nią duży wywiad zatytułowany: „Uważaj, Cindy – nadchodzi norweska Kristanna!”. Wtedy Loken, Amerykanka pochodząca z norweskiej rodziny, po raz pierwszy wystąpiła przed kamerą. Zdobyła właśnie trzecie miejsce w prestiżowym konkursie Look of the Year na lbizie i podpisała pierwszy kontrakt jako modelka z firmą Elite.

Jej matka Rande też była wziętą modelką. To ona pchnęła córkę na wybieg, zadbała dla niej o lekcje baletu, stepowania, jazdy konnej. Ojciec Kristanny, były aktor i pisarz, niegdyś tenisista, obecnie prowadzi nieopodal Nowego Jorku plantację owoców o słodkiej nazwie Love Apple Farm. Po sąsiedztwie jest druga farma, gdzie z kolei mieszka chłopak Kristanny. Niedawno Rande, Kristanna i jej starsza siostra Tanya wydały kalendarz ze swoimi zdjęciami. Zatytułowały go „The Love Apple Farm Girls”.

Dla Loken największym jak dotąd sukcesem były sesje zdjęciowe dla „Elle” i „Shape’a”, a aktorsko – role w telewizyjnych operach mydlanych, filmach dla chłopców w stylu telewizyjnego „Mortal Kombat: Conquest”, wreszcie główna rola w „Panic” w 2001 roku, nieznanym w Polsce filmie klasy B o psychopatycznym porywaczu samolotu.

Jakie będą efekty jej występu w „Terminatorze”? Już teraz Kristanna znalazła się na okładce magazynu „Maxim Movies”. W rankingu na najgorętsze kobiety amerykańskiej edycji „Maxima” znalazła się w tym roku na trzecim miejscu (po Shanii Twain i Christinie Aguilera). – Wreszcie, po raz pierwszy w życiu, mam jakiś wybór – przyznaje Loken z rozbrajającą szczerością.

Ma mocne poparcie. Fani Arnolda są – tak się złożyło – również fanami Kristanny. A producenci filmu zacierają ręce. Bo jeśli nie można już nic nowego powiedzieć w dziedzinie efektów specjalnych, trzeba sięgnąć po naturalną broń. Taką jak Kristanna.

ADAM ROZBICKI

HYMNY BIEDY I WKURWIENIA

PEJA nie ma złotego łańcucha. Ma za to – jak mówi – duże pokłady negacji. Jest raperem, w tej chwili najważniejszym w kraju. Dzień wcześniej był chory, ale gdy rozmawiamy o Polsce, zdrowieje błyskawicznie i – uwaga! – używa bardzo mocnych wyrazów 



BARTEK CHACIŃSKI: Ciągłe chory?
PEJA: Wczoraj mi wyskoczyło jakieś 37, nad ranem było 39 stopni. Teraz wziąłem dużo leków i jest lepiej.
Ile koncertów graliście w tym roku?
PEJA: Ponad 70.

To chyba na granicy wytrzymałości fizycznej?

PEJA: No wiesz, trzeba się wysypiać, dobrze jeść i nie nadużywać... alkoholu przede wszystkim. Recepta jest prosta. Zrobić rano przebieżkę, jakieś pompki w hotelu. Ostatnio robimy odcinki typu Suwałki – Świnoujście – Białystok. Potem Białystok – Kielce.

WIŚNIA (wspólnie z Peją w Ski Składzie): Jakbyśmy jeszcze dodali Wrocław i Zgorzelec, to przejechalibyśmy całą Polskę po kwadracie.

PEJA: Ale nie możemy sobie pozwolić na luksus zrezygnowania z tych koncertów. Nie w tym kraju.

I znajdujecie w małych miasteczkach ludzi, którzy znają coś więcej niż hit „Głucha noc”?

PEJA: Ja może zacytuję koleżkę z nadmorskiego składu Analogia, który zarapował w swoim kawałku, że nawet w rybackiej tawernie rozkręci imprezę, bo ma o tym pojęcie i wie, jak to zrobić. Jeśli masz w sobie to coś,

na imprezę, to w oczach wielu ludzi jest po prostu głupkiem. Jak nie jesteś tym krzykaczem, tym, co najczęściej smrodu wokół siebie robi, macha rękoma, to nie jesteś hiphopowcem. To trochę za mało, ale taki obraz hiphopowca istnieje w głowach wielu małoletów.

PEJA: Większość hip-hopu w Polsce to jest taki „hard core przez duże h” – siedzą na ławce pod blokiem, palą jointy, zarabiają na koncercikach pieniądze i jadą cały czas na tych samych farmazonach. To nie jest powód do dumy, że się ma wyrok. A dla wielu osób to jest właśnie ideał hiphopowca – Ryśiu Peja: brak rodziców, wyrok, karany, perypetie jakieś życiowe. Bzdura!

Nie uciekniesz od tego, że miałeś na sumieniu jakieś zatargi z prawem.

PEJA: Nie ucieknę, ale nie muszę na każdym kroku tego podkreślać. Ja się od tego oddalam. Bo jak słyszę rozmowę dwóch moich znajomych i słyszę, co oni muszą robić, żeby zarobić 500 złotych, to myślę sobie: „Jak to dobrze, że to już nie mój świat, że nie muszę podejmować takich desperackich ruchów”.

Kiedys powiedział mi kolega dziennikarz: „Posłuchaj, to taki drugoligowy zespół rapera

kolesia, który siedzi i wali konia przy ścieżce przebojów na Vivie i wysła do Vivy Słasy. A znam takich, którzy to robią. Przy okazji nowej płyty nagranej z Wiśnią jako Ski Skład nie robiliśmy jeszcze żadnych akcji promocyjnych. Nie zrobiliśmy nawet teledysku.

A koncert w telewizyjnej „Dwójce”? Razem z nią w niej wystąpiliście.

PEJA: Poczekaj. To był koncert. To nie był balik, kurwa, piknik, gotowanie z panem Kłobukiem czy całowanie się po dupie z Kasią Dowbor, czy jej synem Maćkiem, który generalnie jest tak wypromowanym nie wiadomo kim, że czytam o nim w „Gali” co tydzień i się zastanawiam, co on by zrobił, gdyby ten jego sposób na życie mu się kiedyś nie sprawdził.

WIŚNIA: Co by zrobił, gdyby się nie nazywał Dowbor!

PEJA: Myśmy mieli jako jedyni okazję zrobić taki koncert. Dostaliśmy propozycję – mogłem na nią przystać albo nie. Powiedz mi: kto na moim miejscu by się nie zgodził? Poza tym inne zespoły też mogą dostać szansę. Ten koncert otwiera drzwi, które były przez cały czas zamknięte.

dzieli po dniu leci ten sam kawałek. Ale jakie nieafijone porównanie – Edyta Górniak?

WIŚNIA: Ona by się dostosowała. Ona by zrobiła wszystko, żeby się dostosować, jak nie teraz, to za pięć lat.

PEJA: Szkoda, że nasze wokalistki mają takie kieszonkowe kawałki. Kayah, Steczkowska mają wależki wokalne, które się marnują. Jeżeli już robią jakieś utwory w konwencji R&B, to niech dają to zrobić fachowcom, a nie jakiemuś panu Miciowi, który mówi: „Ja to zrobię, ja to umiem”, a potem słyszysz kakofonię dźwięków.

WIŚNIA: Nagle facet, który przez całe życie nagrywał Budkę Suflera i Perfect, siada na przykład przed kawałkiem Kayah i próbuje zrobić R&B. Pozwólcie to robić ludziom młodym, którzy się na tym znają.

PEJA: Potem dochodzi do paranoi. Jeśli jakiś pseudoraper nagrywa z Kukulską, to znaczy, że nikt prawdziwy się tego nie podjął, oni są już skazani na takie aranże i takie współprace. Całe szczęście, że już minął ten czas, kiedy z rapem był kojarzony KASA, Norbi, Karamba, Liroy. To w zasadzie zasługa tego boomu, który jednak pierdolił. Nagle ksywki raperów, nazwy zespołów stają się znane.

Ile procent waszych słuchaczy kupuje nielegalne płyty?

WIŚNIA: Na 70 tysięcy sprzedanych legalnych nośników przypada dwa razy tyle pirackich.

Potępiacie to?

PEJA: Oczywiście. Dzieciak nie chce wydać 30 złotych na płytę, a z drugiej strony codziennie ma 25 złotych na jointy. Jointy się kończą, a płyta zostaje. Mniejsze zło to jest ten jebany Internet. Ktoś umieści tam twoje nagranie, ale przynajmniej nie daje nikomu zarobić.

WIŚNIA: Jeśli mają za 25 złotych kupić jointy i się spizgać na wieczór, to niech się nawet zrzucą we trzech po 10 złotych i tę płytę kupią w sklepie.

PEJA: To jest Polska. Tu każdy chce mieć taniej. Jesteśmy totalnie zepsutym narodem, a zmiany nie nadejdą szybko. Ludzie będą ciulać, bo taka jest sytuacja społeczno-gospodarcza kraju. Tylko że ja kiedyś nie miałem na chleb, a kupowałem oryginalne amerykańskie płyty. Pamiętam, że miałem już 30–40 kompaktów i wciąż odkładałem na odtwarzacz.

To były inne czasy.

PEJA: Tak, teraz ludzie w ogóle nie słuchają amerykańskiego hip-hopu, wolą mędrków.

To znaczy polski hip-hop. Co to takiego? Czy się różni od Ameryki?

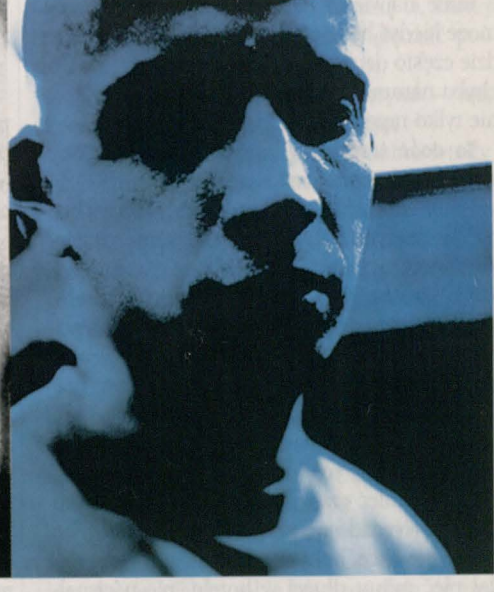
PEJA: W połowie lat 80. ludzie przywozili płyty z zagranicy, wszystko się rozluźniło po Okrągłym Stole. Gusta się uwolniły, tak jak z każdą zakazaną muzyką. Zaczęło się od tańca, od breakdance’a. Zaczynali trenować ludzie z roczników starszych niż ja, podpatrywali na kasetach wideo i rozkminiali, jak to się tańczy, to była pierwsza faza hip-hopu. Do tego doszło graffiti...

Ale dlaczego hip-hop stał się stylem dla całej Polski, a nie garstki zapaleńców?

PEJA: Bo jest to muzyka młodych w tym momencie. Owszem, media i starsi ludzie, rockmani, socjologowie i tak dalej uważali, że to jest zdegenerowana gównażeria, która nigdy nic nie robi, stereotyp siedzenia pod blokiem i tak dalej. Ale w tym momencie zespoły powstają jak grzyby po deszczu w związku z tym, że widzą sukcesy grup z dłuższym stażem.

To jest po prostu mit łatwego życia!

PEJA: Tak, oni podchodzą do tego od dupy strony. Jeszcze nic nie nagrali, a już gadają o sponsoringach. Mają kolegę z bloku, który jest ich ziomkiem i który ma im coś tam



co przyciąga uwagę ludzi, to bez względu na to, czy to jest przypadkowa, czy tematyczna impreza, jesteś w stanie sobie poradzić. Niejednokrotnie ludzie, którzy powierzchownie znają temat, są w swoim podejściu uczciwsi niż ci fajnie poubierani goście, wyluzowani, z jointem w gębie i „ChWDP” na ustach [ChWDP: Chuj w dupę policji – slogan uliczny utożsamiany również z hip-hopem – przyp. BC].

Przez to ChWDP hip-hop postrzega się jako zwykle chuligaństwo.

WIŚNIA: W Polsce, jak nie jesteś ChWDP, nie jarasz jointów, jak nie masz spuszczonej gaci, to nie jesteś hiphopowcem. Jak ktoś chodzi do pracy codziennie, dba o to, by mieć w domu porządek, i raz w tygodniu idzie gdzieś

Pei, Slums Attack”. Kiedy był dla ciebie ten moment przełomowy, wyjście z drugiej ligi?

PEJA: Ta druga liga wiąże się tylko z jednym: jeśli nie układasz się z redaktorami z hiphopowych mediów, nie włączysz nikomu w dupę, jesteś szczerzy, to zostajesz sam. Bo ten krąg wzajemnej adoracji, o którym się mówi, że dotyczy show-biznesu, zajebiście wyczuwalny jest także w naszym środowisku. Każdy każdemu gratuluje z kurewską zawiścią w oczach... Jest na szczęście taka zasada – jeśli kogoś nie możesz zwalczyć, to musisz się z nim ułożyć i go polubić. I to obowiązuje w moim przypadku.

Nie robiłem nic pod żaden target czy coś. Płyta wyszła i powaliła co niektórych, no i zamknęła usta oponentom. Ja nie jestem typem

Nie uwierzę, żebyście to robili tylko dla innych.

PEJA: Jeżeli media chcą z moją pomocą zwiększyć sobie oglądalność, to niech ja też coś z tego mam – a to dla mnie przełożenie na większą liczbę koncertów, lepsze warunki, większą sprzedaż płyt. Gdybym rapował dla kolegów z podwórka, nie szukałbym wydawcy. Ten etap mam już – mam nadzieję – za sobą.

Lada dzień może przyjść do was Edyta Górniak i powiedzieć: „Chłopaki, nagrajcie ze mną płytę”.

PEJA: Ostatnio pan z RMF-u powiedział, że fajnie byłoby połączyć Tedego albo Peję z Edytą Górniak. Komentował duet Beyonce z Jayem-Z. Kurwa! Roześmiałem się, że prezenter RMF-u potrafi operować ksywami polskich raperów. W takiej stacji, gdzie wiesz, o tej samej godzinie



„KLASYCZNA FUZJA” SKI SKŁAD (FRAGMENT)
(...) Tu sił połączenie, oto jest klasyczna fuzja, Ski Skład nie iluzja i to nas wyróżnia, Prawdziwe relacje jak w fachowym dokumencie, Nie mamy scenariusza, to nie gówno „Pod napięciem”. Bez rozdmuchanych afer kładę najprostsze historie Pod bębny, pętle sampli, które sam złożę i zrobię. I tak jak Paulo Rossi na hiszpańskich stadionach Oponentów pokonam, a zawistka, kurwa, skona. Chronię niezależność jak kobietę w ramionach I nie znoszę popstora wyjącego „Polska gola”. Jak ja was nienawidzę, gwiazdeczki sceny muzycznej, Pupile, chałturnicy telewizji publicznej (...). Nie masz kabony, sprzedaj swój życiorys, Pozbądź się dumy za te parę złotych, A na dramacie skorzysta od tabu specjalistka Mocno zaangażowana, współczująca pani Drzyzga. Płacisz podatki? Na Kościół łóżysz datki? Potem nie masz na przeżycie, obiad szamiesz u swej matki (...).

załatwić. Gwiazdorstwo swoją drogą, a dokonania swoją. Ja pierwszy koncert zagrałem w styczniu 1995 roku. Robiliśmy to najpierw z Ice Manem, koleżką, z którym nagrałem dużą płytę i parę demówek.

Czy masz to, o czym myślałeś 10 lat temu?

PEJA: Ja się nie spodziewałem zupełnie skutków, chciałem zrobić cokolwiek, nigdy w życiu nie dałbym wiary, że będę nagrywał kawałki, grał koncerty. Dlatego mam szacunek do ludzi, którzy zaczynali podobnie jak ja. Bo wiem, że to była dla nich pasja. Nie zakładali, że będą mieli z tego złoty łańcuch i będą najlepsi w tej branży. Tacy ludzie będą silni psychicznie, odporni na to wszystko i nie będą z siebie robić pajaca.

W tym momencie wreszcie wygląda to trochę na zjednoczoną wielką rodzinę i można w końcu mówić o idei wielkiej sceny hiphopowej, bo jest bardzo wielu ludzi współpracujących ze sobą, nie zwracają uwagi na to, kto skąd jest.

Oprócz tego masz teraz żonę, zwykłą rodzinę. Która ważniejsza?

PEJA: Moja rodzina, którą sobie stworzyłem, będzie zawsze najważniejszym elementem tego wszystkiego. Moja kobieta była ze mną w najtrudniejszych momentach i ma dużo do powiedzenia, jeżeli chodzi o moją działalność. Wie o mnie najwięcej i jest moim powiernikiem, może kiedyś będzie moim menedżerem, bo ludzie często decydują się na biznes rodzinny. To chyba naturalne, że człowiek się z kimś wiąże, nie tylko raper.

To dość tradycyjny sposób myślenia. Obcy wizerunkowi buntownika...

PEJA: Tak, ale każdy chce kochać, każdy chce być kochanym, każdy jest wrażliwym człowiekiem pod tą maską twardziela z wyboru. Niektórzy zresztą nie mieli wyboru, są naturalni i autentyczni – jestem w stanie takich ludzi zrozumieć i od razu ich rozpoznać. Nie znoszę głupków, którzy wariują, bo coś im w życiu zaczyna wychodzić i już tego nie kontrolują.

Dążę w tym działaniu do tego, żeby zrobić coś dobrze, dać coś ludziom – to mój obowiązek, żeby mieć czas dla ludzi. Jeżeli ja bym tu olał ten wywiad, nie podpisał komuś płyty, bo mi się nie chce, boby mi się telewizor pooglądał pięć minut dłużej w hotelu, nie uściśnąłbym komuś ręki (mimo że jestem zmęczony), nie zrobiłbym zdjęcia – to wtedy wyszłaby ze mnie prawdziwa gwiazdeczka.

Jeden człowiek w telewizji bał się ze mną zrobić wywiad, bo się przestraszył, że to jest Peja, który jest raperem.

Może bał się, że go pobijesz...

PEJA: Pewnie tak. Dlatego trzeba wychodzić do ludzi, żeby im powiedzieć prawdę.

To jak przekonać ludzi, że nie jesteście bandą chuliganów?

WIŚNIA: Niektórzy w wywiadach starają się podtrzymać ten wizerunek wyluzowanych hiphopowców. Uważają, że trzeba wypić pięć browarów, zanim się wyjdzie przed kamerę, walnąć w stół, kopnąć w auto i tak dalej. Do-

PEJA (RYSZARD ANDRZEJEWSKI, URODZONY W 1976 ROKU) – OD PRAWIE 10 LAT LIDER GRUPY SLUMS ATTACK. JEDEN Z PIONIERÓW HIP-HOPU W POLSCE. RAPUJE, PISZE TEKSTY, CZĘSTO RÓWNIEŻ MUZYKĘ. SUKCES (68 TYSIĘCY SPRZEDANYCH PŁYT) PRZYNIÓSŁ MU ALBUM ZE SLUMS ATTACK „NA LEGALU?”. OSTATNIA PŁYTA „WSPÓLNE ZADANIE” NAGRANA JAKO SKŁAD Z RAPEREM WIŚNIĄ W PIERWSZYM MIESIĄCU SPRZEDAŁA SIĘ W 10 TYSIĄCACH EGZEMPLARZY. PEJA BYŁ JEDNYM Z BOHATERÓW FILMU „BLOKERSI” SYLWESTRA LATKOWSKIEGO, OSTATNIO TVP2 NAGRAŁA ODDZIELNY KONCERT TELEWIZYJNY Z JEGO UDZIAŁEM. (BC)



póki są ludzie, którzy chcą taki wizerunek promować, to ludzie, którzy patrzą na to – i sami mają dzieci – zniechęca się. Bo zobaczą w telewizji typa, co się słania na nogach.

PEJA: Ja nie mam 16 lat i gdybym chciał opowiadać o swoich problemach z policją, to byłbym może największym hardcorowcem trzeciej RP. Ale nie chcę, bo wiem już, że jeżeli się je miało, to nie wypada o nich mówić. Być może przyjdzie moment, że wątki autobiograficzne znów będą stanowić znaczną część moich tekstów.

Mówicie: „Reprezentujemy biedę”. Jak wielki jest ten obszar biedy?

WIŚNIA: 80 procent ludności polskiej, oni są przyzwyczajeni do życia w poprzednim systemie. Nawet nie próbują znaleźć tej szansy. Przyzwyczajeni, że pracują od 8.00 do 16.00 i zarabiają tyle, że są w stanie utrzymać rodzinę. Moja matka pracuje teraz na pół etatu, ojciec zmarł i ma po nim jakąś tam rentę, a musi utrzymać jeszcze swojego brata, który ma 18 lat i jeszcze się uczy. Jest jej naprawdę ciężko.

PEJA: Ja wywodzę się z biedy, dlatego ją reprezentuję.

Co się musi zmienić w tym kraju waszym zdaniem?

PEJA: My nie mamy wielu rozwiązań. My mamy dużo zasób negacji i zauważania tego. Ja jestem dzieckiem PRL-u, bo miałem możliwość przeżyć lata 80. jako kilkuletni gnój. I widziałem, że była bieda, ale komuna miała to do siebie, że wiesz, kładła nacisk na problemy klasy

robotniczej i był obowiązek pracy, musiałeś iść do szkoły, nie musiałeś za to płacić, do lekarza poszedłeś, jaki był, taki był, wiadomo, warunki sanitarne, cokolwiek, ale był, kurwa! Ty, kto teraz jedzie na wczasy do Bułgarii?! Ja mogę sobie pojechać do Bułgarii za 1500 złotych, to mnie na to stać. Ale taka pani Krysia, co ma lat 50 i zwolniono ją z pracy? Ona teraz szuka mieszkania, jak opłacić mieszkanie.

Ale w latach 80. nie mógłbyś zarapować o tym, że ktoś nie ma do pierwszego i zbliża złom, bo nie było wolności słowa.

PEJA: To prawda. Wtedy byłbym jednym z kabareciarzy Teya. Każda epoka wykreowała jakieś postawy i niektóre rzeczy są niezmiennie. A kabaret Tey to byli pierwsi polscy raperzy, freestyleowcy.

WIŚNIA: Oni byli alternatywą wobec tego, co się działo. Potrafili powiedzieć przy wielotysięcznej widowni, gdzie w pierwszych rzędach byli cenzorzy, w drugim panowie ze Służby Bezpieczeństwa, a w trzecim milicja. Kiedy każdy zastanawiał się: powiedzą czy nie powiedzą – oni potrafili to powiedzieć.

A co wy chcecie powiedzieć poza tą negacją?

PEJA: Propozycje? Ja już to mówiłem. Jakbym miał władzę, jakbym, kurwa, dostał władzę, tobym zrobił może nie w miesiąc, ale w pół roku tak sprawny aparat władzy, że tych wszystkich chujów bym wziął i internował. Może nie byłyby to jakieś megaradykalne rzeczy typu egzekucje. Bo my mamy iść do przodu, gdzieś do cywilizowanej Europy, a nasz

kraj jest przeżarty rakiem korupcji do tego stopnia, że niepotrzebny nam jest kabaret Tey. Wystarczy główne wydanie „Wiadomości”.

Chcesz dyktatury?

PEJA: Zdecydowanie. Polak myśli, wiesz, dopiero wtedy...

WIŚNIA: ...jak ma bat nad głową.

Ale wtedy pojawią się inni, którzy będą rapować, jak to źle jest pod Peją-dyktatorem!

PEJA: To zrobiłbym tak, żeby się nie żyło źle. Legalizacja prostytucji, legalizacja marihuany, rolnicy na pole, wysiew, podatek. Do tego opodatkowanie Kościoła, bo jak to, kurwa, jest? Wiesz, ile można pieniędzy wzbierać?! Dziura budżetowa znika, narkomania jest obniżona, bo przestaje być tabu. Przestępczość spada, bo człowiek, szukając jointa, nie musi wchodzić w środowisko przestępcze.

Wytłumaczcie to mojej mamie, która jest nauczycielką i ma ten problem w szkole, z młodzieżą.

WIŚNIA: Ja bym powiedział tak: Proszę pani, bierze pani rolnika, który ma 30 hektarów ziemi. On sieje ileś tam pszenicy, sprzedaje tę pszenicę po cenach bardzo, kurwa, śmiesznych, które płaci nasz kochany rząd. Sprzedaje, dostaje jakieś tam ulgi podatkowe, na paliwo i tak dalej. To zboże trafia do naszych...

PEJA: ...polmosów.

WIŚNIA: No nie, najpierw trafia do tych magazynów ogólnokrajowych. I wtedy okazuje się, że prezesem tego magazynu jest koleżka, który ma na wschodzie Polski znajomych, a ci mają znajomych jeszcze bardziej na wschód.

I nagle znika 13 tysięcy ton pszenicy. Nikt nie widział nawet wagonu. Policzymy: jeden wagon może mieć 40 ton. Teraz podzielimy te 13 tysięcy ton na wagony. To, kurwa, co to są, pociągi widma? Wyjeżdżają i nie widzą ich celnicy?

Niech ten rolnik uprawia marihuanę, która jest legalna, ma 60 odbiorców, którzy przyjeżdżają i płacą mu do ręki. Nie potrzebuje żadnych pośredników. Nie potrzeba centralnego skupu.

PEJA: To źle. Musi być za to podatek.

WIŚNIA: Podatek płaci sam rolnik, niech będzie akcyza, potraktujmy to jak inne legalne używki.

PEJA: Ja bym to tak wytłumaczył twojej matce, prosta sprawa: Dlaczego mają nie palić legalnie, skoro wszyscy palą nielegalnie?

Zaraz, zaraz. Moja mama odpowiada: „Nie wszyscy palą”.

PEJA: No to ci, którzy nie palą, nie sięgną po to. Bo gdyby chcieli, to już by sięgnęli.

Ma być dozwolone od lat 18?

PEJA: Od 21. Wyobraź sobie, że przychodzi twój syn, ty masz do niego pełne zaufanie, on mówi: „Chciałbym spróbować jointa, choćby z ciekawości, przychodzę do ciebie, ojciec” – i tak dalej. Możesz wpłynąć na to, iść z nim do coffee shopu, wytłumaczyć mu szkodliwość, skutki. Jest chyba różnica, jeśli syn się zerwie z lekcji, odwiedzi jakieś dziwne dzielnice, będzie chodził po blokach narażony na niebezpieczeństwo. A nuż zamiast marihuany ktoś mu powie: „Eee, to jest niemożliwe, chodź przywalimy browna, to jest dopiero odlot!”.

WIŚNIA: Ale jaki dzieciak pójdzie do ojca i powie: „Ja chcę spróbować jointa”. Poszedłeś do ojca i powiedziałeś: „Tato, ja chcę się napić winka albo wódeczkę?”. Nikt tak nie robi.

PEJA: Nie, sięgnąłem po kieliszek. Dostałem raz w ryj, spadłem z krzesła. Przyszedł czas, że mogłem. A jak przyszedłem napizgany do chaty, to na drugi dzień stary mnie obudził i mówi: „Siemanko, alkoholik, może walniemy sobie piwko?”. Legalność pozwoliłaby dzieciakom na świadomy wybór.

Zlinczowano by takiego dyktatora, który zabiera rolnikom, Kościołowi.

WIŚNIA: A słyszałeś tę historię, jakie oni mają ulgi podatkowe i ile wystarczy osób, żeby założyć Kościół? My też tak możemy zrobić. Zbierzemy 30 osób, nazwiemy Rycha biskupem, zarejestrujemy się jako Kościół i korzystając z ulg podatkowych, zaczniemy, kurwa, ściągąć z Zachodu samochody.

PEJA: Jeśli jakiś głos zbiorowy się pojawi, to tu będzie rewolta. Zdziwilibyście się, ile osób na takie rozwiązanie wyraziłoby zgodę. Po chuj

ci żołnierze w ogóle pojechali do Iraku? Jakbyś zobaczył w Krzesinach to lotnisko, gdzie była jakaś zbiórka czy coś... Ja mam ziomka, który jest tam zawodowym żołnierzem. Dla potrzeb telewizji zostało tam odnowione jedno pomieszczenie, a reszta to jest, kurwa, ruina. Żyjemy w kraju, gdzie wszystko jest szyte grubymi nićmi. W PRL-u przynajmniej wszyscy walili w chuj, ale każdy o tym wiedział i było jakieś równouprawnienie na tym gruncie. Teraz jest wszystko na półkach, w salonach najlepsze auta, w perfumeriach są, kurwa, diory i chanele piątki, możesz mieć telewizor, kino domowe, co sobie wymarzysz, tylko żebyś jeszcze mógł godziwie zarobić pieniądze i mógł to kupić.

Może właśnie dlatego wybuchł hip-hop?

PEJA: Może. Wszystko przez pieniądze, który jest potrzebny do przeżycia ludziom. Zapiardalają po ileś godzin, nienawidzą tego, ale chcą odebrać pieniądze i próbować utrzymać egzystencję. Widzę ludzi, którzy przepracowali uczciwie 20–30 lat i oni grzebią w śmietnikach! Ja tak nie chcę, ja nie będę tak pracował nigdy.

W Unii Europejskiej emeryci podróżują. Ale wy nie chcecie do Unii.

PEJA: Nie. Bo to będzie tak: inteligencja, wszyscy, którzy mają jakieś perspektywy, wykształcenie, spierdalają, a tu zostaną ci, którzy mają ograniczone możliwości. Większość polskich emerytów i tak nie podróżuje.

To z kim mamy szansę? Ameryka – nie, Europa – nie. Beznadziejna sytuacja.

PEJA: Sytuacja byłaby, kurwa, dobra wtedy, gdybyśmy mieli bombę atomową, wtedy by się ktoś z nami zaczął liczyć, bo wtedy jako kraj rozwijający się nie bylibyśmy narażeni na pośmiewisko tak jak w przypadku Rosji. Żarty by się skończyły. Wtedy czuliby respekt.

Wtedy może Polskę – jak Irak – spacyfikowaliby Amerykanie.

PEJA: Tak, prawda, tylko oni mogą mieć bombę i wszystkich pacyfikować. Powiem ci tak, jedynym krajem, który użył bomby w konflikcie zbrojnym, jest Ameryka, prawda?

I hip-hop pochodzi z Ameryki!

PEJA: Słuchaj, mam paszport i od 1991 roku wyjeżdżam za granicę. Dużo obserwowałem. Powiedziałem sobie któregoś dnia, że zrobię coś, żeby moje dzieci miały lepiej. Będę dążył ku lepszemu, chociaż los zawsze może mnie sprowadzić do parteru. Każdy jest uzależniony od wielu czynników.

WIŚNIA: Chyba że mieszka na bezludnej wyspie. Wtedy miałbyś wpływ od początku na wszystko.

PEJA: Wtedy byś się zabił, bobyś nie miał komu, kurwa, życia uprzykrzać.

Chcecie stąd wyjechać?

WIŚNIA: A dokąd mamy jechać? Potrafimy rapować po polsku.

PEJA: No, ja spierdalałam na Kretę za tydzień, fakt. Ale wróć...

ROZMAWIAŁ BARTEK CHACIŃSKI



Nie ma wojny partyzanckiej w Iraku – zaklinał się pod koniec czerwca amerykański sekretarz obrony Donald Rumsfeld. – A właśnie, że jest – oświadczył kilka dni później na konferencji prasowej w Pentagonie generał John Abizaid. Nowy szef CENTCOM-u, czyli Centralnego Dowództwa Stanów Zjednoczonych, jako pierwszy odważył się nazwać po imieniu to, z czym mają do czynienia amerykańscy żołnierze w Iraku. Odwagi nigdy mu nie brakowało. Jego wojskowe wyczyny zainspirowały nawet amerykański przemysł filmowy.

Następca Tommy'ego Franksa, który dowodził Amerykanami w Afganistanie i w Iraku, John Abizaid jest z pochodzenia Libańczykiem. Na początku zeszłego wieku jego przodkowie mieszkali jeszcze w wiosce Mlikh w południowym Libanie. W roku 1915 część rodziny postanowiła uciec do Stanów Zjednoczonych przed wojenną klęską głodu.

John Abizaid dorastał w Kalifornii. Najpierw w San Francisco, a po śmierci matki w małym miasteczku Coleville u stóp gór Sierra Nevada. Ojciec mógł być z niego dumny. John uczył się świetnie i błyszczał jako rozgrywający w szkolnej drużynie futbolowej. Wtedy też poznał Kathleen, z którą ożenił się w 1973 roku.

W księdze pamiątkowej z okazji ukończenia szkoły średniej pod swoim zdjęciem wpisał prorocze zdanie: „Łatwo zebrać tysiąc żołnierzy, ale trudno znaleźć jednego generała”, a potem poszedł na prestiżową uczelnię wojskową West Point. Zyskał tam buńczuczny przydomek „Szalony Arab”, chociaż wtedy nie znał jeszcze języka arabskiego. Na jego naukę przyjdzie czas później.

PO PROSTU NAJLEPSZY

W West Point przyszły szef CENTCOM-u zastawił po sobie jak najlepsze wspomnienia. Jego praca o Bałkanach wprawiła wykładowców w taki zachwyt, że zaczęli jej używać jako podręcznika do nauki innych kadetów. Abizaid miał reputację człowieka niesłyszanie błyskotliwego. W albumie rocznika absolwentów West Point z roku 1973 jego fotografię opatrzone podpisem: „»Szalony Arab« przybył z pustyni Zachodu, żeby stać się gwiazdą”.

Najsłynniejsza amerykańska uczelnia wojskowa skorzysta jeszcze z inteligencji swego wychowanka – pod koniec lat 90. zostanie jej 66. komendantem. To nie koniec edukacyjnych jasnych punktów w jego życiu. W dziale „wykształcenie” dopisać trzeba jeszcze magisterium na Harvardzie. – Nigdy go nie zapomnę – wspomina Nadav Safran, profesor Abizaida z tej uczelni. – Jego praca o polityce obronnej Arabii Saudyjskiej jest najlepszą pracą seminaryjną, jaką miałem w swojej ponadtrzydziestoletniej karierze na Harvardzie.



Nowy szef Centralnego Dowództwa armii USA **JOHN ABIZAID** będzie decydował o życiu i śmierci żołnierzy stacjonujących w Iraku. W tym również o losach Polaków. Na szczęście jest inteligentny i odważny

SZALONY ARAB

Z AMERYKI

RAFAL MADAJCZAK

General Tommy Franks przekazuje dowództwo swemu dotychczasowemu zastępcy Johnowi Abizaidowi. Sam odszedł na emeryturę. 7 lipca 2003 r.

FOT. PIERRE DE CHARMIE/REUTERS/FORM



Fot. MINISTRY OF DEFENSE/HO/AP



Fot. US ARMY/AP/EAST NEWS

Od góry: Generał Abizaid z wicepremierem i ministrem obrony Kuwejtu, szefiem Jaberem Al-Mubarak Al-Sabahem (z prawej)

Poniżej: Na pokładzie śmigłowca Hawk w bazie lotniczej w Bagdadzie, lipiec 2003 roku

– Generał Abizaid jest twardy jak kamień i tak bystry, jak to tylko możliwe – mówią koledzy żołnierze

Po ukończeniu West Point John Abizaid dostał przydział do pułku spadochroniarzy w 82. Dywizji Powietrznodesantowej w Fort Bragg, gdzie stacjonuje również słynny oddział komandosów Delta Force. Dowódca Abizaid podczas służby w polu zyskał szacunek żołnierzy.

– Pośród wielu gwiazd John Abizaid był supergwiazdą – wspomina Lawson Magruder II, jego kolega z drugiego batalionu rangerów. Abizaid szybko trafił do tej niewielkiej elitarnej jednostki piechoty i podobnie jak 18 innych jej oficerów z lat 70. został później generałem.

Gdy jednak konflikty izraelsko-arabskie i kryzys naftowy skierowały uwagę świata na Bliski Wschód, Abizaid, ryzykując świetnie zapowiadającą się karierę, wyjechał w roku 1978 na dwuletnie stypendium na Uniwersytet Jordański w Ammanie. Tam nauczył

się arabskiego. Lekcje języka pobierał raczej poza często zamkniętą uczelnią. Korzystając z wolnego czasu, wypuszczał się na pustynię z jordańskimi jednostkami specjalnymi. Nie wiadomo, która strona bardziej na tym skorzystała – Abizaid czy Jordańczycy, dla których Amerykanin mógł być instruktorem. Nim ranger po stypendium wrócił do siebie, zwiedził także sąsiednie kraje, między innymi Irak, gdzie Saddam dopiero walczył o władzę.

AKCJA NA WZGÓRZU ZŁAMANYCH SERC

Armia, w której wykształcenie budziło raczej podejrzenia niż poważanie, wymagała, by żołnierz wykazał się czynem. Okazją stała się inwazja USA na Grenadę w roku 1983. Amerykanów zaniepokoiła gotowość Kuby do przejścia kontroli nad tym wyspiarskim państwem, które po zamachu stanu przybrało wyraźnie prosowiecki kurs. W dwudniowej operacji wzięło udział siedem tysięcy amerykańskich żołnierzy. John Abizaid wylądował na polu walki, skacząc ze spadochronem z wysokości 180 metrów.

Do historii przeszło jednak inne wydarzenie tej kampanii z udziałem „Szalonego Araba”. Dokładniej – do historii kultury masowej. Jako dowódca oddziału rangerów dostał rozkaz zdobycia lotniska bronionego przez Kubańczyków. Drogę blokowały rozbite pojazdy na pasie startowym. Abizaid wymyślił, żeby jeden z sierżantów przebił się przez tę blokadę buldożerem, który stanowił doskonałą osłonę dla żołnierzy. Trzy lata później powtórkę tej akcji można było obejrzeć w kinie, już bez Abizaida, ale za to z Clintem Eastwoodem. Film pod tytułem „Wzgórze Złamanych Serc” („Heartbreak Ridge”) zarobił w Stanach prawie 43 miliony dolarów, ale obecny szef Centralnego Dowództwa nigdy go nie obejrzał.

CUDOTWÓRCA

W latach 80. Abizaid odwiedził kraj swych przodków. W Libanie był oficerem operacyjnym grupy obserwatorów ONZ. Pierwszą wojnę w Zatoce Perskiej w 1991 roku przesiedział jako dowódca batalionu we włoskiej Vi-cenzie. Jednak po zakończeniu konfliktu, kiedy wojska Saddama pacyfikowały powstanie kurdyjskie w północnym Iraku, Abizaid udał się w zapalny rejon w ramach operacji „Zapewnić Dobrobyt”. Miał przegonić żołnierzy Saddama i zapewnić bezpieczeństwo kurdyjskim uchodźcom.

– Nasze zadanie miało polegać na konfrontacji z Irakijczykami, ale zmieniło się w oddzielanie Irakijczyków od uzbrojonych grup kurdyjskich walczących również między sobą – wspominał Abizaid. To doświadczenie uczyniło zeń zwolennika szkolenia amerykańskich żołnierzy do operacji utrzymywania pokoju. Poza tym po raz kolejny zasłużył na pochwały. Generał Anthony Zinni, jeden z jego poprzedników na stanowisku szefa

CENTCOM-u, wspominał, że „Szalony Arab” w Iraku „dokonał cudów”.

PIERWSZY BRAMKARZ

Dostrzegli go najważniejsi, posypała się stanowiska. Został dowódcą „diabłów w workowatych spodniach”, jak nazwał spadochroniarzy 504. pułku niemiecki żołnierz z II wojny światowej. W tym samym pułku Abizaid zaczął służbę. Objął też stanowisko asystenta przewodniczącego Połączonego Kolegium Szefów Sztabów. Biały Dom chciał go ściągnąć do Rady Bezpieczeństwa Narodowego, ale generał nie był zainteresowany. Złóżł dowództwo Pierwszą Dywizją Piechoty, tak zwaną Wielką Czerwoną, najdłuższą w armii USA nieprzerwanie funkcjonującą dywizją. Jej żołnierze walczyli na frontach II wojny światowej, a w roku 1965 jako pierwsi wylądowali w Wietnamie. W roku 1999 John Abizaid zabrał ich do Kosowa.

Rok później wrócił do Pentagonu. W roku 2001 został dyrektorem Połączonych Sztabów. Podobno jest to najtrudniejsze stanowisko w Pentagonie, w samym centrum wydarzeń. Według jednego z poprzedników Abizaida zajęcie to przypomina „granie na pozycji bramkarza, podczas gdy krążki hokejowe latają nieustannie z zawrotną prędkością”.

W praktyce do zadań dyrektora należał ostateczny przegląd informacji, które szły później bezpośrednio do przewodniczącego Połączonego Kolegium Szefów Sztabów. I znowu „Szalony Arab” zwrócił na siebie uwagę najważniejszych, tym razem z administracji Busha. Mówiło się nawet, że jest ulubieńcem sekretarza obrony Donalda Rumsfelda, który wraz z numerem dwa w Pentagonie Paulem Wolfowitzem upatrzył go sobie na następcę szefa sztabu dowództwa wojsk lądowych. Ale generał odmówił. Wolał zostać zastępcą szefa Centralnego Dowództwa, Tommy’ego Franksa.

ULUBIENIEC SPOTYKA RÓWNIACHĘ

Abizaid z dyplomem Harvardu i intelektualnymi aspiracjami stanowił zabawny kontrast z Franksem. Tego ostatniego złośliwy dziennikarz angielskiego „Guardiana” opisał jako „jedynego w swoim rodzaju równiacę z Teksasu, który w wolnym czasie uwielbia wybijać palcami stóp rytm muzyki country i oglądać na DVD komedie z Eddiem Murphym”. Inny dziennikarz tego brytyjskiego dziennika perfidnie przypomniał językowe lapsusy generała, który Sudan nazwał „beznadziejnym przypadkiem”, a Somalię „beznadziejnym przypadkiem z rządem”.

Tommy Franks musiał przez kilka tygodni walczyć z oporem Rumsfelda, który nie chciał wypuścić zdolnego generała Abizaida do CENTCOM-u. Szef Centralnego Dowództwa radził się nawet Wolfowitza, jak podejść sekretarza obrony. – Nie spodoba mu się to. Musisz go przekonać, że Abizaid jest jedynym

człowiekiem w wojskach lądowych, marynarce i lotnictwie, który potrafi wykonać dla ciebie robotę – sugerował zastępca Rumsfelda. W końcu tuż przed rozpoczęciem wojny w Iraku Franks dopiął swego, ale mówiło się, że tylko dzięki powszechnie znanej niechęci sekretarza obrony do przedstawicieli „starej armii”. Abizaid miał być przeciwwagą dla konserwatywnego szefa Centralnego Dowództwa, które obejmuje 25 krajów na Bliskim Wschodzie i południowo-zachodniej Azji.

Ten wybór byłby właściwy, gdyby Abizaid był polskiego pochodzenia – mówił wtedy anonimowo wyższy urzędnik obrony. – Ale to, że był stypendystą w Jordanii i że ma arabskie korzenie, czyni ten wybór jeszcze lepszym.

PRZYWÓDCA NA XXI WIEK

To on planuje – podejrzewał podczas operacji w Iraku Daniel Goure z Lexington Institute, waszyngtońskiego zespołu doradców. – Abizaid przesuwając na szachownicy figury, których ustawienie potem Franks akceptuje.

Wydaje się bardzo spokojny i skromny – stwierdzi emerytowany generał Bill Nash. – Ale jest twardy jak kamień i tak bystry, jak to tylko możliwe.

Głowa Abizaida w tegorocznej operacji obalania Saddama nie była jednak specjalnie eksploatowana. Tylko raz podczas wojny wystąpił

na konferencji prasowej, ale za to efektownie. Stał się z arabskimi dziennikarzami o pokazane w katarskiej telewizji Al-Dżazira zdjęcia amerykańskich żołnierzy pojmanych przez Irakijczyków. Nazwał je „odrażającymi”. To nie mogło się spodobać.

W maju szef Abizaida, „równiacha z Teksasu” odpowiedzialny za operację w Iraku, ogłosił, że odchodzi na emeryturę. Dlaczego? – W dniu ślubu obiecałem żonie, że odejdę z armii – powiedział Franks. Żona wykazała się dużą cierpliwością, bo jej mąż służył w wojsku 36 lat. Nazwisko kandydata na następcę Franksa nasuwało się samo. Na początku lipca w głównej siedzibie CENTCOM-u w Tampa na Florydzie John Abizaid dostał czwartą generalską gwiazdkę i tytuł „przywódcy na XXI wiek” od Rumsfelda oraz sztandar dowódcy od Franksa.

Z tej nominacji cieszył się Abizaid, cieszyli się eksperci, cieszyli się przedstawiciele libańskiego rządu zastrzegający sobie anonimowość, cieszyła się Rada Amerykańskich Muzułmanów.

Donald Rumsfeld też się cieszył, bo nie wiedział, co się wydarzy za 10 dni na pierwszej konferencji prasowej Abizaida w Pentagonie.

Nie zważając na niedawne słowa swojego cywilnego zwierzchnika, że w powojennym Iraku Stany Zjednoczone nie natrafiają na zorganizowany opór czy partyzantkę, nowy szef Central-

nego Dowództwa powiedział: – Myślę, że określenie tych działań jako strategii partyzanckiej jest właściwe z czysto wojskowego punktu widzenia – i dodał, że Amerykanie muszą się do tej taktyki dostosować. Obecny na konferencji asystent Rumsfelda próbował ratować sytuację. Wziął mikrofon i klarował, że dyskusja o tym, czy istnieje zorganizowany opór w Iraku, czy nie, jest jedną z wielu, jakie toczą się w Pentagonie, i tak naprawdę nie ma większego znaczenia. Ale mleko już się rozlało.

Abizaid sprawiedliwie jednak rozdzielał rasy. Oberwało się więc stacjonującym w Iraku żołnierzom, którzy skarżyli się dziennikarzowi telewizji ABC, że chcieliby już wrócić do Ameryki, i opowiadali, jak bardzo nie lubią Donalda Rumsfelda. – Nikt z nas, noszących mundury, nie może wyrażać się lekceważąco na temat sekretarza obrony ani na temat prezydenta. To nasz kodeks zawodowy – upominał „Szalony Arab”.

Johna Abizaida czekają teraz trudne chwile. W Iraku wciąż giną amerykańscy żołnierze, a generał przewiduje, że zbrojny opór będzie w następnych miesiącach tylko narastał. 52-letni „Szalony Arab” nie może liczyć w swej misji na pomoc Allaha – pochodzi z chrześcijańskiej rodziny.

RAFAŁ MADAJCZAK

1 000 000 SŁÓW W KIESZENI

ECTACO



I CZUJESZ SIĘ BEZPIECZNIE ZA GRANICĄ

Partner X5

- zna ponad 1 000 000 słów i idiomów
- tłumaczy tekst mówiony
- łatwo i błyskawicznie tłumaczy zdania i słowa
- posiada rozbudowany organizator
- koryguje Twoją wymowę (funkcja nauczyciela)

Znajdziesz w:

Media Markt, ZUS, APOLLO, VOIBIS COMPUTER

Wszelkie informacje dotyczące urządzeń, nauki języków obcych oraz tłumaczeń dostępne na www.ectaco.pl i pod numerem infolinii

(22) 844 16 64

PACHNĄCA PROMOCJA NA PARTNERA X5

ZAKUP PARTNERA X5 = WYBIERZ SWÓJ MARKOWY ZAPACH

ŚWIECI



Jan Jakub Kolski WENECJA PORNOGRAFICZNA

„Pornografia” w reżyserii Jana Jakuba Kolskiego stanie do rywalizacji o Złotego Lwa na tegorocznym festiwalu w Wenecji. W głównym konkursie film będzie konkurował z najnowszymi obrazami Woody’ego Allena i Bernarda Bertolucciego. – Nie mam kompleksów. Uważam, że moje filmy nie odbiegają poziomem od tego, co robią moi zachodni koledzy – mówi 47-letni reżyser. „Pornografia” jest ekranizacją powieści Witolda Gombrowicza z 1960 roku.

Kolski urodził się i mieszka we Wrocławiu, ale kilka lat dzieciństwa, które spędził u dziadka w Popielawach, zainspirowało jego dorosłą twórczość. Do tej wsi nawiązuje między innymi w „Pogrzebie kartofla”, „Jańciu Wodniku” czy „Historii kina w Popielawach”. W filmach Kolskiego krytycy odnajdują elementy magicznego realizmu, a samą wieś porównują do mitycznego Macondo z powieści Marqueza. Kolski skończył studia operatorskie w Łódzkiej Filmówce. Jego żoną jest aktorka Grażyna Błęcka-Kolska. W lutym tego roku reżyser podpisał się pod listem filmowców w obronie Lwa Rywina, którego firma Heritage Films była współproducentem „Pornografii”.

świecą lub spadają

ŚWIECI



Dorota Kuczkowska NAJLEPSZA JEDYNKA

Odkąd 24-letnia zawodniczka warszawskiej Spójni przesiadła się do kajaka jednoosobowego, radzi sobie coraz lepiej. W rozegranych w Poznaniu zawodach mistrzostw Polski właśnie w kategorii jedynek dwukrotnie pokonała najlepsze polskie kajakarki – Anetę Pastuszek i Elżbietę Urbańczyk. Była prawdziwym czarnym koniem zawodów, zwyciężyła na dystansie 200 i 500 metrów. Sukces pozwoli jej wziąć udział we wrześniowych mistrzostwach świata w USA. Będzie też walczyć w jedyńce o miejsce w kadrze olimpijskiej.

Dorota należała już do kadry narodowej, jednak nie odnosiła większych sukcesów. – To bardzo utalentowana zawodniczka, ale ostatnio odsunęła się od kadry, woli trenować w swoim klubie – mówi Piotr Głazewski, trener kadry narodowej. Jak przyznała Dorota w wywiadzie dla „Super Expressu”, dużo lepiej czuje się sama w kajaku, a w kadrze musiała pływać w większych obsadach. Teraz ćwiczy niemal wyłącznie pod okiem trenera klubowego Andrzeja Świtalskiego, co przyniosło znakomite efekty. Dorota studiuje na warszawskiej AWF, jest na jednym roku z Otylią Jędrzejczak.

ŚWIECI



Jan Krzysztof Bielecki OSZCZĘDZAJ W PEKAO

Dyrektor Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju został mianowany nowym prezesem banku Pekao SA. Jan Krzysztof Bielecki zastąpi na tym stanowisku Marię Wiśniewską – swoją współjurorkę w konkursie Przedsiębiorca Roku organizowanym przez firmę Ernst & Young.

Bielecki ma 52 lata. Ukończył Wydział Transportu Wodnego na Uniwersytecie Gdańskim. W czasach PRL pracował w Ministerstwie Przemysłu Maszynowego i Hutnictwa, ale w stanie wojennym został stamtąd wyrzucony. Został ekspertem zdelegalizowanej Solidarności, pracując jednocześnie jako cykliniarz i kierowca ciężarówki. W roku 1985 założył własną firmę konsultingową Doradca i zatrudnił w niej kilkadziesiąt osób, które straciły wcześniej pracę z powodów politycznych.

Od 1989 do 1993 roku był posłem na Sejm, współtworzył Kongres Liberalno-Demokratyczny. Od 4 stycznia do 5 grudnia 1991 r. był premierem rządu Rzeczypospolitej, później ministrem do spraw integracji europejskiej w rządzie Hanny Suchockiej. Reprezentuje Polskę w EBOiR od roku 1993. Jest żonaty, ma dwoje dorosłych już dzieci. Uwielbia piłkę nożną.

SPADA



Janusz Ocipka USTĄPIŁ

Szef gabinetu politycznego MSWiA podał się do dymisji po ujawnieniu przez „Rzeczpospolitą” informacji na temat możliwości łamania przez niego ustawy antykorupcyjnej. Okazało się, że Janusz Ocipka jednocześnie zajmował posadę ministra – był doradcą ministra Janika – i zasiadał w zarządzie prywatnych spółek. Ocipka tłumaczył, że pracował w ministerstwie na pół etatu i nie wiedział, że narusza przepisy.

Na dodatek przed kilku laty był współwłaścicielem firm handlujących węglem, które naraziły skarb państwa na poważne straty – do dziś są winne państwowemu przedsiębiorstwu ponad milion złotych. W radzie nadzorczej jednej z tych spółek, firmie Ciech-Bud, zasiadał w latach 1994–1995 sam minister Janik.

Janusz Ocipka ma 42 lata, jest z wykształcenia elektronikiem informatykiem, ukończył także kilka studiów ekonomicznych. Od dawna angażował się w działalność polityczną, przez dwie kadencje był radnym, a od 2002 roku z ramienia SLD jest przewodniczącym Rady Powiatu Nowodworskiego. Żonaty, ma troje dzieci.

W najnowszym wydaniu **DOM&WNĘTRZE**
prezent: „HABITANIA” – najlepszy hiszpański magazyn
o urządzeniu wnętrz



HABITANIA



W NUMERZE:



HISZPAŃSKIE PRZEDMIOTY
W POLSKICH SKLEPACH



DOM ARCHITEKTA
HERNANA GOMEZA



ŚRÓDZIEMNOMORSKIE
POTRAWY

w sprzedaży od 14 sierpnia



Samotna,
zdziwaczała,
melancholijna.
OLGA BOZNAŃSKA,
choć sama była
wielką artystką,
całe życie
przyciągała
do siebie tylko
nieudaczników



Olga Boznańska
w swojej paryskiej
pracowni
około 1920 roku

Panna
myszowata



IMIENINY BABUNI (1888-1889) i obok
PORTRET WŁADYSŁAWY
I HELENY CHMIELARCZYKÓWNI (1906)
Dzieci na obrazach Boznańskiej zawsze
miały smutne buzie. Melancholia
w przedstawianiu małych dziewczynek
wynika zapewne ze wspomnień o własnym
smutnym dzieciństwie



Fot. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE REPR. J. KOZINA

Ojciec dziewczynek – inżynier Adam Boznański – nie miał nic przeciwko rozwijaniu zainteresowań córek i przez długie lata, niemal do swojej śmierci,łożył na ich artystyczną edukację.

Zatrzymajmy się jednak na chwilę w krakowskim domu Boznańskich. Wiele bowiem przemawia za tym, że właśnie wychowanie, jakie panny wyniosły z domu, wpłynęło na całe ich dalsze życie.

„W domu państwa Boznańskich atmosfera była szczególnie przeczulona, i to z winy matki, która wprost izolowała córki od otoczenia. Stąd też przy wszystkich zaletach Olgi, jej »złotym sercu«, wcześniej już spotyka się u niej pewne objawy wprost dziwaczne” – pisała w 1949 roku biografka Boznańskiej Helena Blum, powołując się na wspomnie-

że całe życie spędziła samotnie. Była melancholiczką. Będąc nastolatką, uskarżała się w listach do przyjaciółki na monotonię i smutek.

Jako dorosła już artystka Boznańska malowała małe dziewczynki. Te obrazy są przygnębiające. Dziewczynki patrzą smutnymi oczami, czasem ich twarz jest całkiem niewidoczna. Są samotne i pełne lęku, często bezmiennie. Może tak widziała się sama Boznańska?

Być może właśnie na skutek tego wyniesionego z czasów dzieciństwa smutku malarzka z wiekiem coraz bardziej dziwaczała. Kilka razy próbowała ułożyć sobie życie szczęśliwie – bez powodzenia. Wpływała się w toksyczne związki. Bała się ludzi.

MAŁA ŚWINKA

Był rok 1894, gdy niespełna 30-letnia panna Olga Boznańska napotkała Józefa Czajkowskiego. Poznali się w Monachium, gdzie Olga pojechała studiować malarstwo. Przez pierwsze lata swojego zagranicznego pobytu mieszkała w domu dla panien i tylko z nimi utrzymywała kontakty. Sytuacja zmieniła się nieco, gdy malarz wynajął własną pracownię.

„Przy wszystkich zaletach Olgi spotyka się u niej pewne objawy wprost dziwaczne”

Olga wyjechała, ojciec w Krakowie, mysz umarła, znajomi powyjeżdżali, sama jestem. Misiągonię po polach, wyobraźnią oddycham powietrzem naszym i duszą jestem przy Tobie...” – list z Paryża datowany jest na maj sto lat temu. Olę Boznańską właśnie porzucił narzeczony. Skończyła 35 lat, a wybranek był egotykiem o siedem lat młodszym. Jej siostra zaczęła pograżać się w alkoholizmie i narkomanii, a jedynymi oddanymi przyjaciółkami Olgi powoli stawały się myszy.

Poznajmy wielką polską malarzkę: oto Helena Olga Aleksandra Boznańska. Właśnie ukazały się jej biografie odsłaniające mało poznane fakty z życia prywatnego artystki. Jacy ludzie kryją się za dystygowanymi portretami malowanymi jej ręką? Skąd brała się melancholia jej pejzaży, pustka przedstawianych na obrazach wnętrz? Oto Boznańska, jakiej nie znamy.

DOMOWA DUCHOTA

O tym, że Olga Boznańska będzie artystką, wiedzano prawie od zawsze. Jej matka – Eugenia Mondant – z pochodzenia Francuzka, która do Polski zawędrowała jako nauczycielka francuskiego – posiadała dyplom nauczania w szkole podstawowej – specjalizowała się zwłaszcza w rysunkach i szyciu. Ona była pierwszą nauczycielką swoich córek – starszej Olgi i o trzy lata młodszej Izy. I ona odkryła plastyczny talent Oli i muzyczny „Izi”.

nia koleżanek artystki. Rodzice wychowywali dziewczynki pod kloszem. Pierwszym językiem w ich domu był francuski. Od czasu do czasu, gdy schodziło się do domu jakieś towarzystwo – ze względu na panią Eugenię mówiono właśnie w tym języku. Rozmowy toczyły się o sztuce, literaturze, sprawach wyższych – nic z codziennego życia.

Młoda Olga była dość naiwną, egzaltowaną panienką. Wychowana została na ideałach romantyzmu przez matkę przedstawiającą swoim córkom piękny natchniony świat pełen wspaniałomyślnych herosów walczących z podłością i przyziemnością. W myśl tej wizji – wpajanej siostrą Boznańską od wczesnego dzieciństwa – kobiety powinny być wrażliwe, pełne ideałów, skłonne do poświęceń, melancholijne. Nijak się to miało do świata, z którym miały się zmierzyć.

To wychowanie odbiło się szczególnie źle na życiu siostry Olgi – Izy. Zapowiadała się na zdolną pianistkę, ale z powodu chorobliwej nieśmiałości nie była w stanie występować przed publicznością. W końcu rzuciła muzykę i zaczęła studiować chemię. Uzyskała nawet tytuł doktora. Całe życie zmagala się jednak z nerwicą.

Choć w odróżnieniu od niej Olga Boznańska spełniała się artystycznie i osiągnęła – już za życia – międzynarodową sławę, jej charakter ukształtowany w domu sprawiał,

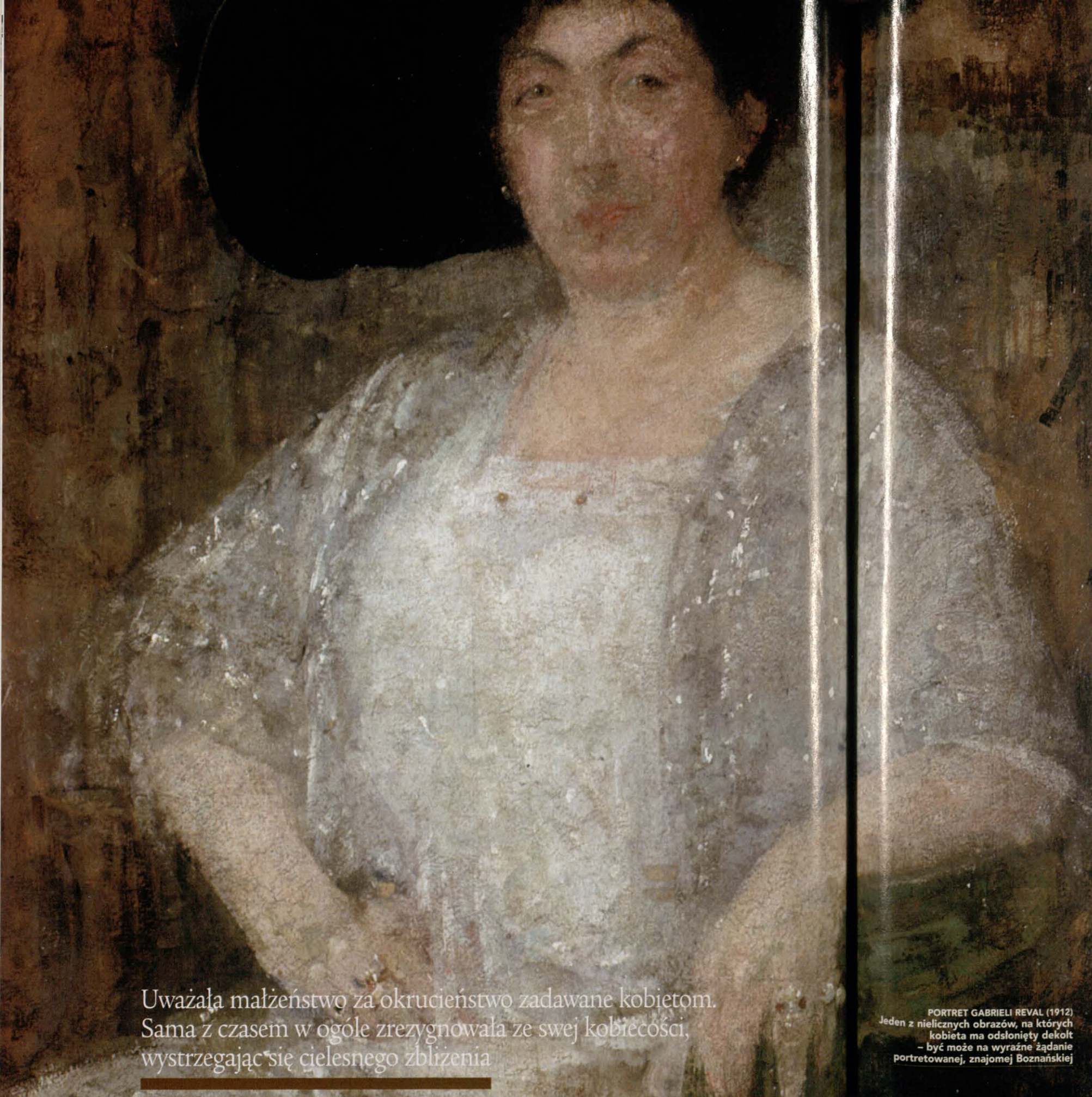
Zaczęło tam bywać nieco więcej gości płci odmiennej. Józef i Olga spotkali się właśnie w atelier, gdzie musiał ich zapoznać któryś ze stałych gości. Młody człowiek także przyjechał tam z Krakowa studiować malarstwo.

Na początku znana już w artystycznym świecie panna nie miała o mężczyźnie zbyt dobrego mniemania. W korespondencji ze swoją przyjaciółką określały go jako „little pig” (prosiaczek) ze względu na jego powszechnie znany „romansowy” sposób prowadzenia się. „Bliższa zażyłość” (cokolwiek to oznacza) Boznańskiej z owym panem nastąpiła, jak podają biografowie, dopiero rok lub dwa później. Niedługo potem Czajkowski wyjechał z Monachium i, na szczęście dla nas, między zakochanymi zaczęły wędrować miłosne listy. One pomagają ustalić, jak wyglądał ten związek.

CAŁUJĘ ŁAPKI

Czajkowskiemu młodszemu od Boznańskiej o lat siedem imponowała samodzielna artystka wystawiająca już wtedy w Monachium, Pradze, Berlinie i Wiedniu.

Wybranek córki nie przypadł jednak do gustu Adamowi Boznańskiemu – ojcu malarzki, który z rodzinnego Krakowa słał do niej strofujące listy. Dlatego pewnie przez jakiś czas ukrywała zaręczyny. Trudno się zresztą dziwić niechęci stojącej mocno na ziemi Boznańskiego. Czajkowski to afektowany



Uważała małżeństwo za okrucieństwo zadawane kobietom. Sama z czasem w ogóle zrezygnowała ze swej kobiecości, wystrzegając się cielesnego zbliżenia

PORTRET GABRIELI REVAL (1912)
Jeden z nielicznych obrazów, na których
kobieta ma odsłonięty dekolt
– być może na wyraźne żądanie
portretowanej, znajomej Boznańskiej

23-latek, zdolny, znerwicowany, niepewny, sfrustrowany.

„We wtorek, kiedy Pani była na spacerze taka smutna, ja byłem na cmentarzu w także niewesołym usposobieniu – pisał w jednym z listów. – I tak silnie myślałem o Małżeństwie moim, że byłem pewny, że Pani choć trochę, ale także musi o mnie myśleć. (...) Są rzeczy święte na świecie, z których nic tego uroku nie zedrże, takim jest dla mnie moje Złote Małżeństwo, bo to nie jest żaden sezon, to jest rzecz bardzo, bardzo głęboka. (...) Odkąd moją Złotą Panią znam, jestem i będę uczciwym. (...) Całuję najdroższe łapki i bardzo, bardzo proszę o troszkę wiary”.

Choć wyznania brzmią naprawdę żarliwie, większość biografów malarki poważnie wątpi w prawdziwość uczucia młodzieńca. Prawdopodobnie był to właśnie „jeden sezon” – fascynacja, którą brał za prawdziwe uczucie. Olga na nieszczęście zakochała się naprawdę. Przy całym swym romantyzmie i dobrej woli musiała jednak przeczuwać, że związek ten nie ma przyszłości. On tęsknił w dalekim Krakowie, ona wracać do „zatęchłej atmosfery tego miasta” ochoty nie miała. Poza tym według przytaczanych przez biografów słów jej znajomych z tamtego okresu uważała małżeństwo za okrucieństwo zadawane kobietom, a do kobiet w ciąży czuła wstręt.

BYŁA TYLKO CZŁOWIEKIEM

Minęły trzy lata tego związku na odległość. Z czasem z listów narzeczonego zaczynało wiać chłodem. Do rozstania doszło w maju 1900 roku. Byli już wtedy w Paryżu. Olga właśnie skończyła 35 lat.

„Szanowna Pani, nie mam nic takiego do powiedzenia, co by Panią rozweselić albo i pocieszyć mogło, dlatego nie przychodzę ni dziś ani kiedykolwiek. Niech zapomni Pani o moim istnieniu i nie żąda ode mnie niczego, bo do niczego nie jestem zdolny”.

Nie brzmiało to miło. Ostatni list Czajkowskiego był dla Boznańskiej wyjątkowo upokorzeniem: „Uważałem Panią za tak starszą ode mnie, że nic podobnego w głowie mi się nigdy nie zrodziło. Gwałtowna tylko potrzeba od dzieciństwa zaznania jakiejś istoty, która by mnie kochała, czego nigdy dotąd nie zaznałem. Jak Pani sama silny nacisk na to kładła, nie chciała Pani być kobietą wobec mnie, a tylko człowiekiem, według Pani słów dwa razy starszym ode mnie i mającym inne absolutnie ideały, sposób myślenia, życia i pojmowania wszystkiego. To było anormalne, chore i z góry skazane na zagładę”.

Czajkowski opuszcza Paryż. Olga zostaje sama ze studiującą tam siostrą Izą, która właśnie przeżywa depresję i coraz częściej topi smutek w alkoholu.

Jeszcze jakiś czas w listach do krakowskich znajomych i rodziny Boznańska będzie pytała o byłego narzeczonego.

Ojca Olgi wyraźnie to irytuje: „Proszę cię, nie pytaj mnie więcej o tego smarkacza Czajkowskiego, nie znam go i koniec – dosyć Ciebie i mnie oszukał w różnych sprawach i okazał brak jakiegokolwiek honoru, jeżeli kiedyś takowy miał”.

ODCIELEŚNIENIE

Wiek 35 lat także dziś zapowiada niewiele dobrego dla samotnych panien. Cóż więc dopiero w XIX wieku. Nic dziwnego, że mniej więcej w tym czasie Boznańska zaczęła ukrywać swoją prawdziwą datę urodzenia, do końca życia odmładzając się o pięć-sześć lat.

Po rozstaniu z Czajkowskim Olga oddała się pracy. Odżywiała się byle jak, popijając bardzo mocną herbatę i paląc masę papierosów. Całe dnie spędzała w pracowni. Bała się ludzi i nie wychodziła w plener. Malowała przeważnie portrety. Tylko we wczesnym okresie artystka próbowała malować akty i korzystała z płatnych modeli. Potem zarzuciła ten pomysł i pokrywała płótno podobiznami ludzi zapiętych pod szyję na ostatni guzik.

Nie bez powodu portretowani przez artystkę ludzie są tacy bezcieleśni. Strój skrywa dokładnie kształt ich ciała. Niektórzy krytycy dopatrują się tu ukrytego stosunku malarki do własnej cielesności. To może uzasadniać gorzkie słowa z listu Czajkowskiego: „Nie chciała Pani być kobietą wobec mnie, a tylko człowiekiem”.

Na niemal wszystkich autoportretach oraz na portretach malowanych jej przez innych artystów (także na fotografiach) widać jedynie twarz i ręce Olgi. Powoli, ale skutecznie artystka zaczęła się „odcieleśniać”. Z czasem w ogóle zrezygnowała ze swej kobiecości. Ciało „ukryła za staroświeckimi sukniami”. Wystrzegając się cielesnego zbliżenia, spowiła się zasłoną dziwactw.

Uwagę z ludzi przeniosła na zwierzęta. Do jej ulubionych należały myszy. Mówiła, że wymagają opieki, bo powszechnie stanowią przedmiot nienawiści i ludzkiej agresji. Odwiedzających ją gości uprzedzała, by słodząc herbatę, nie połknęli mrówek mieszkających w cukiernicy. Przyciągała do siebie jedynie osoby, które – jak pisała – „sama pragnęła do siebie przyciągnąć”. Korzystali na tym na równi nieudacznicy życiowi i biedacy oraz zwykli oszuści.

MALUTKA KANALIA

Tym ostatnim był niewątpliwie Bogdan Fałęński. Niewiele o nim wiadomo. Był to prawdopodobnie krewny poety Felicjana Fałęńskiego – znanego w środowisku warszawskich literatów. Jego rodzina miała majątek pod Wilnem, on sam zaś amatorsko parał się malarstwem. Utrzymywały go matka i dwie siostry, z czego on skwapliwie i bez oporów korzystał. Birbant i podróżnik. Bywał w Wiedniu, Monachium, Lozannie, Madrycie,



Olga Boznańska
z ulubionym
pieskiem Kiki

Choć o jej śmierci krążyły w Paryżu rozliczne historie, zgasła bardzo spokojnie

Warszawie, Florencji. Stał stamtąd Oldze „ty-siące buziaków”. Dużo młodszy od Olgi, przystojny, jak pisze biografka Boznańskiej – „une petite canaille” – malutka kanalia.

W listach zwał Olę „Dzieciukiem” lub „Cipusiem” (!). Używał wobec niej retoryki prawdziwie ojcowskiej i kilku mentorskich frazesów, sprawiając złudzenie, że obchodzą go jej duchowe rozterki.

Olga była zazdrosna o jego znajomości z paniami. Zdawała się też oczarowana jego osobowością. Przynajmniej na tyle, by w razie potrzeby ratować go jakąś małą sumką. A jemu o nic innego nie szło.

„Cipuś drogi, myślałem, że Ty jedna mogła-bys mi w tym pomóc i do Ciebie jednej rze-czywiście mam tę śmiałość (...). Jeśli więc Cipuś masz do mnie urazę za to, to nic od Ciebie nie chcę. Jeśli zaś tłumaczysz to sobie i nadal jestem Tobie bliskim – w takim razie pożycz mi Cipuś 300 frs., które ze 150 frs., które już jestem winien, jak będę mógł, jak najprędzej oddam”.

Dodajmy, że listy tej treści Faleński pisywał często – czasem w bardziej, a czasem w mniej zawołowanej formie, domagając się pienię-

dzy. Olga dawała. Raz nawet kupiła mu futro. Z tajemniczych przyczyn na jego wady pozo-stawała całkowicie ślepa, nie bacząc na ostrzeżenia znajomych ani rodziny.

Faleński zresztą boleśnie znosił te „obra-zy”. Raz napisał do Izy Boznańskiej: „Doszło do mnie, że Pani rozповіда, że jestem na utrzymaniu siostry Pani, Panny Olgi. Ot, do czego doprowadził Panią alkohol! Stała się Pani najgorszą ze zbrodniarzy, najgorszą ze złodziei! Ukraść pieniądze, odebrać życie na-wet, nie może się równać kradzeniem tego, co jest najświętsze – honoru!”.

Po sześciu latach otwarcie i szczerze wy-znał Oldze... że mu się znudziło. Zwłaszcza że panna Boznańska w zamian za wsparcie fi-nansowe starała się sprawować kontrolę nad życiem uczuciowym pana Faleńskiego. W połowie 1907 roku Boznańska znów zo-stała sama. Faleński oświadczył, że jej nigdy nie kochał, kochać nie będzie i zbyt jest dla niej młody. Inni adoratorzy – jak poważny, choć także o 10 lat młodszy Franciszek Mą-czyński – zrażeni jej absurdalnym „związ-kiem” z Faleńskim zrezygnowali z zabiegania o pannę Olę. Potem było jeszcze kilka unie-

sień, kilka przyjaźni, które z czasem rozmyły się zupełnie.

Zresztą Olga niespecjalnie zabiega-ła o znajomości. Spotykała się tylko z tymi, którzy odwiedzali ją w jej pra-cowni, sama zaś nie wychodziła do ludzi niemal wcale.

PLAKAŁY TYLKO MYSZY

W 1892 roku Olga Boznańska straciła matkę. Choć od wielu lat dręczyły ją suchoty, Eugenia Boznań-ska zmarła nagle. Przez kolejne lata panny Boznańskie pozostawały na odległość pod kuratelą ojca. O so-bie nie myślał prawie wcale – prowa-dził interesy Olgi, sprzedawał jej ob-razy, pertraktował z galeriami. Za-równo jej, jak i Izie bardzo pomagał finansowo i emocjonalnie. Wspierał w nieszczęśliwych miłościach, trosz-czył się o zdrowie, o to, jak żyją, co jedzą. Był niczym port na wzburzo-nym morzu, do którego córki zawsze mogły zawinąć. Tak było do roku 1904, gdy poważnie zachorował. Dwa lata później zmarł.

Oldze została tylko siostra. Łączyła je silna więź i – pewnie dlatego – kłó-ciły się ze sobą zażarcie. Od czasu do czasu Iza zamykała się w domu na tydzień lub dłużej, wpadała w alko-holowe ciągi. Któregoś razu – było to w roku 1939 – już z domu nie wyszła. Popełniła samobójstwo. Zachwiało to równowagę psychiczną Olgi.

Malarka została całkiem sama i zdziwaczała na dobre. Klótliva, po-dejrzliwa, wszędzie wietrząca złodziei żyła samotnie w strasznych warun-kach w swej paryskiej pracowni. Zmarła 26 października 1940 roku w Szpitalu Sióstr Miłosierdzia przy Boulevard Saint Marcel. Odeszła tak, jak żyła – samotnie. I choć o jej śmierci krążyły w Paryżu rozliczne hi-storie – mówiono na przykład, że nie-przytomna wyszła z domu i zginęła w mieście – zgasła bardzo spokojnie. Śmierć wielkiej artystki odczuły wte-dy tylko osierocone przez nią myszy.

OLGA WOŹNIAK

Na podstawie: „Portret za mgłą. Opo-wieść o Oldze Boznańskiej” Maria Roz-tworowska, Terra Nova, 2003, „Poza ka-nonem. Sztuka polskich artystek 1880-1939” Joanna Sosnowska, Instytut Sztu-ki Polskiej Akademii Nauk, 2003.

Fragmenty listów cytuję za Marią Roz-tworowską.

Dziękujemy Muzeum Narodowemu w Krakowie i w Warszawie za udostępnie-nie zbiorów.



DZIEWCZYNA Z CHRYZANTEMAMI (1894)
pochodzi z kolekcji Muzeum Narodowego
w Krakowie, gdzie znajdują się
największe zbiory obrazów Boznańskiej

Fot. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE



GOLF DLA NIESNOBÓW

Za partię golfa w poważnym klubie trzeba zapłacić kilkaset złotych. Profesjonalny sprzęt kosztuje tyle, ile nieduży samochód. Dlatego wynaleziono turbogolfa

KONRAD DULKOWSKI
FOT. ROBERT KRZANOWSKI / 7 PICTURES

Potężny zamach, świst powietrza, głośny stuk – metalowy kij uderza w golfową piłkę. Klasyczna sylwetka golfisty zamarłego po strzale. Tylko zamiast tradycyjnie białego stroju – kolorowa koszulka, luźne spodnie. Zamiast trawy – szutrowa droga, pokryte rdzą resztki maszyn i ruiny starej fabryki.

Piłka leci w kierunku okna opuszczonego budynku. Brzęk tłuczonej szyby wywołuje robotnika ze stojącego opodal barakowozu.

– Co, żesz...! – urywa zaskoczony widokiem.

– Ten budynek już chyba jest niczyj, prawda? – pytają grzecznie trzej gracze. – To my sobie tutaj troszkę popykamy, dobra?

Ustawiają piłkę. Kij w garść, przyłożenie, zamach... i nie ma kolejnej szyby w oknie. Tak mniej więcej wygląda partia turbogolfa.

W RUINACH FABRYK

Grają we trzech: Wojtek – grafik prowadzący własną agencję reklamową, Franek – architekt i designer – oraz Piotr – lekarz hepatolog z zespołu transplantacyjnego Centrum Zdrowia Dziecka. Rok temu jako pierwsi Polacy wygrali międzynarodowy turniej turbogolfa w Berlinie.

Zapowiedź zawodów znaleźli na internetowej stronie organizacji Natural Born Golfers. Piotr i Franek mieli już za sobą przeszłość graczy w golfa tradycyjnego, ale gra w mieście, pośród budynków, to było dla nich coś nowego. Wojtek na turnieju miał w ręku kij po raz drugi w życiu. Franek jako jedyny z ich trójki zetknął się wcześniej z turbogolfem – w Niemczech obserwował rozgrywkę w porcie wśród sprzętu rybackiego i zwojów lin. Podstawowa zasada jest identyczna jak w golfie tradycyjnym – za pomocą kija trafić piłką w określony cel. Tyle tylko że nie gra się na specjalnie przyszytej trawie, lecz w bardzo urozmaiconym terenie. Najbardziej do gry w turbogolfa nadają się opuszczone tereny fabryczne.

Jedziemy na obrzeża Warszawy, daleki Żerań. Dziurawą drogą, pomiędzy resztkami połamanych ogrodzeń i wybujałych chwastów. Niełatwo tutaj trafić.

– Sporo jeździmy, żeby znaleźć takie fajne miejscówki – tłumaczy Wojtek.

Pole do turbogolfa to betonowy plac z górującym nad nim wrakiem starego dźwigu. Niedaleko stoi opustoszały piętrowy budynek, w oknach gdzieś ocalały jeszcze szyby – idealny cel do strzału golfową piłką.

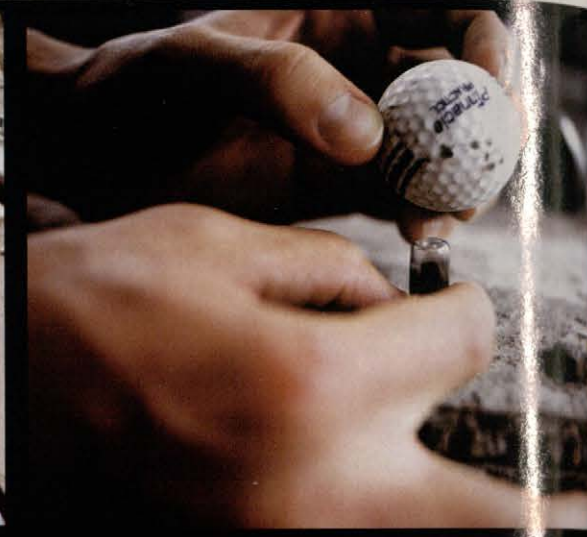
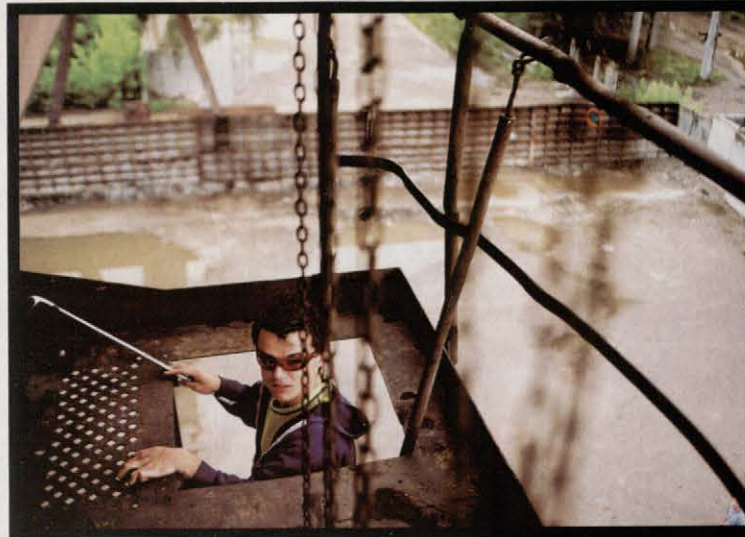
– Jest nawet przeszkoda wodna – śmieje się Franek, wskazując przecinający teren kanał.

Wypakowują z bagażnika torby z kijami, sprawdzają, ile mają zapasowych piłek. Pora na rozgrywkę.

– U podstaw turbogolfa leżą chyba powody ekonomiczne – mówi Piotr. – Golf nie jest tanim sportem. Trzeba płacić składkę za członkostwo w klubie, a jak nie, to albo nie wpuszczają cię na pole, albo każda gra kosztuje majątek.

Najbliżej Warszawy jest klub golfowy w Rajszewie. Składka członkowska wynosi kilka tysięcy dolarów

W opuszczonych ruinach fabryki na partyjkę golfa umawiają się architekt, lekarz i grafik



Ideą turbogolfa jest dobra zabawa. Na prawdziwym polu nie wolno wrzeszczeć z radości po trafieniu ani ciągnąć za sobą skrzynki piwa

Tee – podstawka pod golfową piłkę – w wersji turbo jest bardziej odporna na uderzenie i bez trudu można ją umieścić w szczelinie między płytami chodnika

rocznie, jedno okrążenie wszystkich dołków – od 240 do 300 złotych.

ŻEBY BYŁO WESOŁO

Podstawową ideą turbogolfa jest dobra zabawa. Graczom nie odpowiadała sztywna etykieta i snobistyczna atmosfera klubów golfowych. Na prawdziwym polu obowiązuje koszulka z kołnierzykiem, długie spodnie i specjalne obuwie o podeszwach z plastikowymi kolcami. Trzeba zachowywać się godnie i dostojnie, na pewno nie wolno wrzeszczeć z radości po trafieniu ani ciągnąć za sobą skrzynki piwa.

– To sztucznie stworzony sport elitarny, na który stać jedynie zamożne osoby. Szczególnie w Polsce golfowe spotkania zbyt często przeistaczają się w rewię samochodów i markowego sprzętu – uważają turbogolfiści. – W przerwach: rozmowy o ostatnio sfinalizowanych kontraktach, rozważania, czy warto urlop spędzić na Hawajach, bo Majorka już niemożliwa. W tym wszystkim gubi się najważniejsze: prawdziwą radość z gry.

W rozgrywce turbogolfa nikt się nie przejmuje, czy ktoś dotknął kijem piłki, czy nie dotknął, czy robi swing prawidłowo, czy nie. Każdy macha, jak potrafi, nawet liczenie uderzeń schodzi na dalszy plan. To spotkanie towarzyskie: musi być miło, a zbyt poważnie traktowana rywalizacja psuje często dobry nastrój.

Klub Natural Born Golfers – organizatorzy berlińskiego turnieju – nie zapomniał, z kim ma do czynienia, i stanął na wysokości zadania. Za zawodnikami jeździł sound system z didżejem, piwo lało się strumieniami i nikt na serio nie zawracał sobie głowy sportową rywalizacją. Trafisz, nie trafisz, ważne, żeby było wesoło. Dodatkowe noty można było otrzymać za styl.

– Na barce jeden z uczestników rozebrał się do naga, a po uderzeniu wyskoczył za burtę – opowiadają jeden przez drugiego. – Niestety, prosto w płamę oleju.

Piotr zaskarbił sobie przychylność jury, gdy strzelając z dachu samochodu, wpadł do kosza na śmieci.

URODZENI GOLFIŚCI

Nieprzypadkowo turniej odbywa się w Berlinie, bo dyscyplinę wymyślili Niemcy. Natural Born Golfers twierdzą, że wszystko zaczęło się od niejakiego Torste-



Najprostszy metalowy kij kosztuje 50 złotych. Niewielka strata, jeśli się złamie

na, scenografa telewizyjnego, który z powodu swej pracy często musiał nocować w hotelach, gdzie urozmaicał sobie życie imprezami. W czasie jednej z nich wyciągnął komplet kijów. Szampański nastrój – z naciskiem na „szampański” – wyzwolił fantazję i hotelowy korytarz zamieniono w pole golfowe. O efektach rozgrywki kronikarze wstydliwie milczą. Był to koniec 1992 roku.

Już następnego dnia Torsten wyszukał ciekawsze miejsce na rozgrywki – plac pomiędzy opuszczonymi biurami w dzielnicy Hamburga Nord City. Skrzyknął znajomych, mówiąc, że zamierza stworzyć całkiem nową odmianę golfa. Szybko znalazło się kilka osób, które zapragnęły tego samego – w końcu nie co dzień trafia się okazja uczestniczenia w pionierskim przedsięwzięciu.

Opuszczone biurowce Nord City były milczącymi świadkami stawiania pierwszych kroków przez adeptów trudnej sztuki turbogolfa.

W BARKE Z WIEŻOWCA

Nie ma jednego regulaminu rozgrywek, zasady ustala się na bieżąco przed spotkaniem. Niezbędnego natchnienia dostarcza sama okolica. Dołkiem może być wszystko – okno nieużywanego budynku, stara opona, resztki maszyny – co tylko wpadnie w oko.

– W Berlinie zaczynaliśmy od strzelania z dachu ośmiopiętrowego wieżowca w barkę płynącą po kanale – opowiada Piotr. – Potem z barki w stary samochód i Wojtek trafił w przednią szybę. Następnie z dachu terenowego samochodu w styropianowe logo sponsora, a na koniec przez ruchliwą ulicę w otwarte drzwi pubu. Ten dołek zaliczało się już lekką piłką treningową, ale i tak kierowcy ostro hamowali na widok golfisty, który składa się do uderzenia w ich kierunku.

W Berlinie chodziło o trafienie jednym strzałem w ustalony punkt, ale zdarzają się też zawody o bardziej tradycyjnych regułach. Wtedy się liczy, ile uderzeń potrzebuje gracz, by dojść do dołka umieszczonego na przykład na piętrze opuszczonej fabryki.

Jak na golfistów przystało, nieśpiesznie idziemy do kolejnego dołka wypatrzonego przez Wojtkę. Przelazimy przez płot z tabliczką „wstęp wzbroniony”, potem pniemy się na zardzewiałą konstrukcję kilkumetrowego dźwigu.

– Ale czad, ale fajnie! – gracze cieszą się jak dzieci, wybijając piłkę dalekim lobem.

Z dołu stróż każe natychmiast złączyć, bo wezwie policję. Golfiści puszczają jego groźby mimo uszu. Kolejne piłki lecą daleko na betonowy plac. Najbardziej rozsądny Piotr postanawia zejść i uspokoić dozorcę, nim rzeczywiście nie sprowadzi umundurowanej pomocy.

– Z boisk na Sadybie przepędzają nas piłkarze, bo niby niszczyliśmy murawę! – oburza się Wojtek. – Jakby oni sami tego nie robili futbolowymi butami!

Jeszcze tego samego dnia jacyś dziwni osobnicy będą nas przepędzać z „prywatnej drogi” obok wysypiska, strasząc rottweilerami.

ŚWIECĄCE PIŁKI

Do gry w turbogolfa nie jest konieczny komplet sprzętu o wartości niewielkiego samochodu.

– Na uparte go wystarczy jeden metalowy kij – mówi Wojtek. – Na bazarze można taki dostać za 50 złotych i nie szkoda, kiedy się złamie w trakcie



Międzynarodowy turniej turbogolfa w Berlinie, rok 2000. Liczy się styl gry. Trafisz, nie trafisz, ważne, żeby było wesoło

Fot. JENS KÖTZSCH/OSTROKREUZ/EPIC PICTURES (3)

Stajemy na szczycie ogromnego silosu. Rzut okiem w dół przez ażurowy podest i poziom adrenaliny gwałtownie wzrasta

gry. A o to dość łatwo, szczególnie w mieście, gdy podczas uderzenia krzesze się iskry z bruku.

Producenci już jednak zwiertzyli lukę na rynku. Franek prezentuje tee, czyli podstawkę pod golfową piłkę specjalnie zaprojektowaną do gry w mieście. Jest znacznie bardziej odporna na uderzenie, a jednocześnie tak wąska, że można ją wbić w ziemię między płytami chodnika. Normalnie za tee służą przygodnie znalezione przedmioty – korek od butelki czy niezidentyfikowana metalowa część wyciągnięta z rozbitej skrzynki transformatorowej.

Wojtek z dumą obnosi swoją torbę na kije. Zgodnie z turbogolfową antysnobistyczną modą wykonano ją z plastikowego worka na śmieci.

AKROBACJA TURBOGOLFOWA

Penetrowanie poindustrialnych terenów sprawia frajdę nie mniejszą niż sama gra. Pniemy się po metalowych schodkach na szczyt dwóch ogromnych silosów po drugiej stronie kanału. Rzut okiem w dół przez ażurową konstrukcję podestów podnosi poziom adrenaliny.

– Dobra, kto dobije na drugi brzeg kanału?!

Wojtek przymierza się do uderzenia. Oczyszcza przedpole, starannie układa piłkę. Zamach, głośny stuk. Biały punkt wzbija się wysoko, maleje w oddali. I ląduje w wodzie.

– Piłki pływają? – pytam zaciekawiony.

– Tak – odpowiada Wojtek.

– Nie! – zaprzecza Piotr.

Spoglądam w wodę. Po golfowym pocisku zostały tylko kręgi na powierzchni. Jednak nie pływają.

Piłki to największy wydatek. W relacji z pierwszego meczu nocnego rozegranego fosforyzującymi piłkami w Hamburgu kładziono szczególny nacisk na informację, że w trakcie spotkania nie zgubiono ani jednej piłki.

– Są już specjalne piłeczki z zamontowaną w środku świecą diodą – opowiada Franek – Zmienia się tylko wkład zasilający i można grać w pochmurny dzień lub wręcz w nocy.

Nowa piłka kosztuje 10 złotych, więc dla odbudowania zapasów jeżdżą w okolice pola golfowego w Rajszewie. Drogę dojazdową do klubu oblegają tak zwani grzybiarze, czyli okoliczni mieszkańcy, którzy przeczesują pole – szczególnie przeszkody wodne – w poszukiwaniu zagubionych piłek. Potem można kupić od nich torbę z 25 sztukami za 50 złotych.

– A klub te same piłki z odzysku sprzedaje po pięć złotych sztuka – mówi z przekąsem Franek.

Polscy turbogolfiści nie są jeszcze zorganizowani, Wojtek zapowiada jednak, że zamierzają stworzyć pierwszy klub zrzeszający miłośników nowej dyscypliny.

– Jest już kilka grup w Warszawie, we Wrocławiu. W Trójmieście grają na wydmach.

W wydaniu ekstremalnym golf nie wydaje się już nudnym sportem dla panów z brzuszkiem, którzy przy partyjce załatwiają interesy.

– Tak się tylko wydaje, że to proste, ale trening na strzelnicy golfowej to spory wysiłek – broni Franek tradycjonalistów.

– Nie gadaj! – przerywa Piotr. – Jaki tam wysiłek! Bo Tigerowi Woodsowi strzeliło w krzyżu, to cały artykuł o tym napisali? Nie można porównać treningu golfisty do wysiłku tenisisty czy koszykarza.

Ostatnia piłka wpada do wody, wszystkie inne

już poginęły w krzakach. Jeszcze kilka strzałów różnymi przedmiotami zalezionymi na miejscu. Korek od butelki – za lekki. Kamień rozpada się na kawałki po uderzeniu kijem. Pusta puszcza po piwie napęczniała żywirem gnie się wpół i spada zaledwie kilka metrów dalej.

Słońce zachodzi, zbieramy się do powrotu. Trzeba będzie przyjechać z nowymi piłkami.

KONRAD DULKOWSKI

Artykuł opublikowany jest również w Wirtualnej Polsce w serwisie www.wiadomosci.wp.pl





Sobota, godzina 23.48.
Opustoszała ulica
na peryferiach miasta



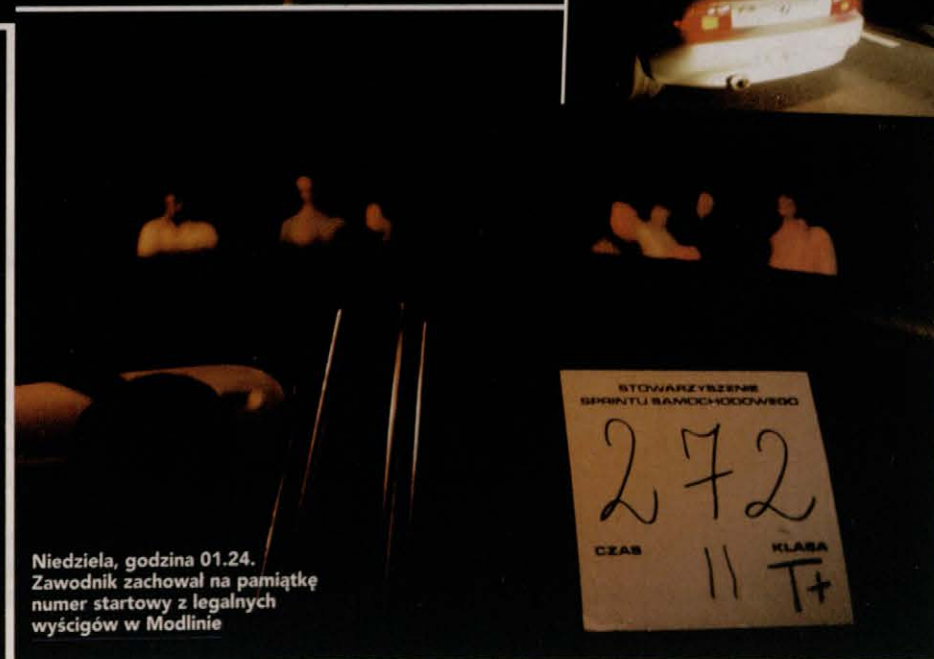
Sobota, godzina 23.59

SZYBCY, ALE GRZECZNI

Opuszczone place i parkingi nocami zamieniają się w tory wyścigowe. Młodzi ludzie w swych autach rozpędzonych do 200 kilometrów na godzinę chcą się przekonać, kto szybciej przejedzie ćwierć mili



Niedziela, godzina 00.16



Niedziela, godzina 01.24.
Zawodnik zachował na pamiątkę
numer startowy z legalnych
wyścigów w Modlinie



„Raz, dwa, trzy!” – starter gwałtownie opuszcza ręce. Jego krzyk ginie we wściekłym ryku podrasowanych silników. Pisk opon i dwa pojazdy wystrzeliwiają przed siebie. Jada łeb w łeb, zabawnie przysiadając podczas zmiany biegów. Kto wygrał, dowiadujemy się przez krótkofalówkę od sądnego stojącego 400 metrów dalej. Tym razem kierowca subaru musiał uznać wyższość rywala w alfa romeo.

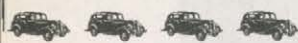
402,336 METRA

– Dresiarzy albo innych buraków nie zabieramy – lojalnie ostrzega mnie przez telefon Maciek, mój kontakt w środowisku nocnych ścigantów. Nie chce powiedzieć, gdzie odbywają się wyścigi, mówi tylko, gdzie mam się stawić.

Noc, odludzie, wydeptana polana tuż przy trasie szybkiego ruchu. Wyznaczona godzina zjazdu – 22.30 – dawno minęła, ale nikt się jeszcze nie pojawił. Nagle z potoku aut na trasie odrywa się sportowe bmw i parkuje obok mnie. Po kilku sekundach wjeżdża audi, potem następne; jeszcze subaru, honda, toyota... Po chwili na trawie i chodniku stoi ze 30 samochodów. Powitania i techniczne dyskusje. Wreszcie znajdują Macia. Ktoś zwraca uwagę, że zrobiło się późno. Pada komenda „Jedziemy!” i sznur szybkich samochodów w nieladzie włącza się do ruchu. – Jedź za nami – słyszę.

Łatwo powiedzieć. Dołączam w środku stawki. Choć moja prędkość zasługuje na niezły mandat, co chwila ktoś mnie wyprzedza. Na szczęście wyścigowców jest tak wielu, że nie

MAX SUSKI
FOT. DLA „PRZEKROJU”
PIOTR BERNAS/AGENCJA GAZETA



gubię drogi. Na chodniku stoi radiowóz. Na szczęście pusty – mało brakowało, a z upojnego wieczoru byłby nicy.

Docieramy na miejsce: nieużywany odcinek dwupasmowej drogi dojazdowej do sklepów i magazynów. Doskonale oświetlony, prosty, z nową nawierzchnią. Piesi nie chodzą tędy nawet w dzień, a o tej porze – grubo po 23 – nie ma żadnego ruchu. Parkujemy na poboczu. Jeden z kierowców zostaje sędzią – bierze krótkofalówkę i odchodzi na odległość zbliżoną do ćwierć mili (402,336 metra), najpopularniejszą w sprintach równoległych. Za chwilę daje sygnał, że można startować. Pierwsza para ustawia się na linii wyznaczonej przez znak zakazu zatrzymywania. Wyścig może się zacząć.

NIE TACY WŚCIEKLI

Moda na nielegalne wyścigi samochodowe dotarła do Polski niespełna dwa lata temu, wraz z kinowym przebo-

rury wydechowe; część ma przerobiony przód nadwozia, żeby zmieścić pod maską dodatkowe urządzenia. Ale nie maluje płomieni na karoserii i nie dokleja olbrzymich żyzdeł spojlerów. To byłby obciach.

– Starałem się jak najdłużej, żeby mój samochód był cichociemny – opowiada Maciek. – Ale musiałem w końcu gdzieś upchnąć intercooler, więc wyciąłem dziurę w zderzaku. A ten spojler z przodu nie służy do zgarniania asfaltu, tylko do lepszego chłodzenia – tłumaczy obecność wielkiego jęzora pod przednim zderzakiem swego mitsubishi.

ZŁOIC DUPE DRECHOWI

Piotr, fotograf, z którym przyjechałem, postanawia zaryzykować życie i zrobić efektowne zdjęcie. Kładzie się na asfalcie kilka metrów za linią startu. Rozpędzające się auta powinny minąć go o kilka centymetrów, ale nie dają rady,

nie malują płomieni na karoserii. To byłby obciach. Ich samochody wyglądają tak zwyczajnie, jak tylko się da

felga, a „wygar” to moc silnika). – Czasem na światłach spotykam się z jakimś dressem, który myśli, że ma superwózek – opowiada z przejęciem Maciek. – Potem, jak wyskoczy, to ledwo go widzę w lusterku. Uwierzę, że to, nie ma, jak złoic dupę drechowi!

STOJĄC, ODSTRASZAJĄ

Na linii mety prędkościomierz wskazuje około 200 kilometrów na godzinę – znacznie więcej, niż pozwalają przepisy ruchu drogowego. To właściwie jedyny, ale niepodważalny powód nielegalności wyścigów. Policja zaczęła więc tropić ścigaczy. – Rzeczywiście, w pobliżu rozlewni coła-coi było kilka prób palenia gum, ale zaczęliśmy wysyłać tam patrole. Stoją do drugiej w nocy i odstraszaają – mówi komisarz Dobrzyński z komendy dzielnicowej Warszawa Białoleka. – Problem generalnie istnieje – przyznaje szef komisariatu na warszawskim Targówku. – Czasem na parkingach centrów handlowych zjeżdżały się duże grupy samochodów. Ochroniarze z nocnej zmiany bali się do nich wychodzić. Dzwonili po nas. Zawsze załatwialiśmy sprawę spokojnie, po prostu do znudzenia legitymując tych kierowców. Ale teraz już nie dopuszczamy do wyścigów – zapewnia.

– Zdarza się, że przyjeżdżają policjanci i mówią na przykład, że tutaj nie można parkować – opowiada dziewczyna jednego ze sprinterów. – Zawsze jest bardzo miło. A my potem przenosimy się w inne miejsce.

ROZŚMIESZANIE SILNIKA

Dyscyplina – jeśli można tak nazwać wyścig na ćwierć mili – powoli się cywilizuje. Powstało Stowarzyszenie Sprintu Samochodowego, które organizuje na lotnisku wojskowym w Modlinie legalne Wyścigowe Równoległe Mistrzostwa Polski. Można tam zmierzyć czas. Najlepsi na pokonanie 400 metrów potrzebują mniej niż 12 sekund.

Właściciele wyścigowych cacek w miarę zasobności portfela windują w górę moc silników. Montują turbosprężarki i chłodnice doładowanego powietrza – intercoolery – ponieważ zimniejsze powietrze jest gęstsze, a więc można go więcej wtłoczyć do cylindra. Wyposażają silniki w dodatkowe zasilanie podtlenkiem azotu, czyli gazem rozśmieszającym, który najsprawniej wypełnia cylindry tlenem. Żeby taki dokarmiony silnik nie pękł, stosuje się specjalne kute tłoki, wzmocnione pierścienie, panewki i uszczelki.



Nawet przy dużych prędkościach auto wyposażone w instalację podtlenku azotu potrafi efektownie odskoczyć i zostawić ośmieszzonego przeciwnika daleko w tyle

W auto można włożyć każdą sumę pieniędzy. Prosty zestaw zasilania podtlenkiem azotu można mieć już za dwa tysiące, ale niektóre auta wymagają komputerowych urządzeń sterujących. – Do vipera z 10-cylindrowym silnikiem podtlenek w sumie może kosztować ponad 30 tysięcy – ocenia Maciek. Kolejne pieniądze wydaje się na dodatkowe pompy paliwowe, wtryski, wydajniejsze układy wydechowe, felgi czy szerokie opony.

WYŁĄCZ KLIMĘ

Marek, właściciel srebrnego audi, sprowadza właśnie z zagranicy zestaw zasilający. Najtaniej wypada kupowanie części w USA. – Na szczęście w Stanach tuning jest bardziej popularny. W Europie za byle śrubę trzeba płacić tysiąc euro – narzeka. W tej chwili samochód Marka ma 485 koni mocy. Za parę tygodni będzie miał 630.

Za kierownicą siada kolega Marka. – Uważaj, ten samochód nie ma ABS-u! – ostrzega właściciel z powagą, zupełnie jakby chodziło o brak hamulców. – I klimę wyłącz – radzi. No tak, klimatyzacja zabiera kilka cennych koni mechanicznych. Rady nic nie pomagają, audi przegrywa z toyotą o kilka długości. Reszta się wyłosliwia:

– Kierowca dupa, to i szybki samochód nie pomoże. Może nie zauważył, że go wystartowali?

– Nie, on chciał najpierw sprawdzić po numerze rejestracyjnym, z kim się ściga!

Marek ma 30 lat. Jest maklerem. Ma żonę i dziecko, stać go na utrzymanie dwóch sportowych wozów. – Zona nie przepada za szybką jazdą, ale toleruje moje wygłupy – mówi.

Niektórzy wydają na auto wszystkie pieniądze, jak Robert. Ma 26 lat i pracuje w firmie telekomunikacyjnej. – Nie mam rodziny, ale mam dziewczynę, która mnie przeklina – przyznaje. Szybką jazdą pasjonuje się od dziecka. Najpierw podkra- dał ojcu „malucha”, potem szalał starym golfem. Teraz w zderzaku jego 13-letniego audi coupé ziele dziura – trzeba było ją wyciąć, żeby pomieścić intercooler. Pod maską są jeszcze dwie chłodnice. – On ma tych chłodnic od pyty – komentują koledzy.

Dochodzi druga w nocy, wyścigowcy zbierają się do domu. W kilkanaście minut ulica pustoszeje. Mitsubishi Mačka znowu wylądowuje na tydzień w garażu. Na co dzień jego właściciel jeździ rodzinnym kombi. Dieslem.

MAX SUSKI

Cywilizowani streetracerzy nie szaleją po ulicach. Ale żeby się pościgać, muszą kombinować i ukrywać się przed drogówką



Trzeba sporo odwagi, żeby stojąc naprzeciwko ryczących samochodów, dać znak do startu i wytrwać, gdy rozpędzone przelatują tuż obok

jem „Szybcy i wściekli”. Akcja filmu toczy się w Los Angeles, gdzie młodzi ludzie o zabazgranych życiorysach pasjami ścigają się parami na odcinku ćwierć mili. Zwyczajna zgarnia umówioną wcześniej dołą, może liczyć na ładniejszą laskę lub po prostu zyskuje respekt kolegów. Film budzi emocje, jak wynika z entuzjastycznych komentarzy internautów. Recenzje typu „zajebisty” czy „wyjebany w kosmos” należą do bardziej wstrząsających. Nieprawdopodobieństwo zdarzeń, płytkość intrygi i żenujące dialogi nie są ważne. Liczy się spływająca z ekranu adrenalina, „wypasione fury”, ryk silników i kontekst seksualny w postaci panienek wiszących na szyjach zawodników. Rzeczywistość – przynajmniej w Polsce – jest nieco inna.

Samochody, nawet te wzmocnione, na pierwszy rzut oka nie różnią się od seryjnych odpowiedników. Niektóre mają zmienione koła, przyciemniane szyby i grubsze, błyszczące

gdyby któreś zbyt gwałtownie szarpnięte minimalnie zjechało z toru jazdy. Piotr podczołguje się trochę bliżej samochodów – miną go z mniejszą prędkością. Start, znajomy pisk opon, poszły! Fotograf zniknął na chwilę między wyją- cymi potworami, ale zaraz wstaje z asfaltu w jednym kawalku. Trzyma się tylko za uszy: – Ale jazgot! – krzyczy.

Poza warkotem silników spotkanie w niczym nie przypomina dresiarzkiej atmosfery „Szybkich i wściekłych”. – Nikt tu nie jeździ jak jakiś świr. – Tu przyjeżdżają wybrane auta i wybrani ludzie – tłumaczy jeden z zawodników. – Co innego tam, gdzie ścigają się dresiarze. Raz pojechałem z takimi, to tylko pilnowałem, żeby mi radia nie ukradli. Sprowadzają z Niemiec jakieś powypadkowe auta, dolepiają spojler i jeżdżą potem z tymi plastikami. Na niczym się nie znają, jedne, co wiedzą, to numer kaptura czy fajne fele i czy fura ma duży wygar – tłumaczy z pogardą („kapeć” to opona, „fele” to

SKOCZEK VON HOPKE

Nie wstydź się, że inni będą patrzeć. Wstań z koca, idź, zapłać panu hopkowemu dwa złote za pięć minut i skacz. Satisfakcja gwarantowana.

Jedni mówią na nią „skoczek plażowy”, inni, pozbawieni wyobraźni, zwą ją „poduchą do skakania”. Czasem nazywa się ją trampoliną, ale każdy widzi, że trampolina to to nie jest. To zwyczajnie jest hopka. Od słów: „Chodźmy na hopkę” pochodzi zresztą koślawka próba zniemczenia tej uciechy. Czasem słyzy się bowiem i taki okrzyk: „O, tam jest hopke! Chodźmy!”.

Najlepiej skacze się we dwójkę. Przy odrobinie wysiłku da się zsynchronizować skoki tak, by jedna osoba wybijała drugą. Wtedy

racie fotograficznym. To rzadka okazja do sfotografowania się w locie, a miny skaczących to dopiero jest coś! Przed wejściem na hopkę należy koniecznie:

1. Spędzić skaczącą na niej dzieciarnię.
2. Poprosić pana hopkowego o dopomaganie hopki. Tylko na twardej hopce można zaznać prawdziwie wysokich lotów i wybicia „z pupy”. Próby wykonywania zaawansowanych akrobacji na sflaczalej hopce to gwarantowane zwichnięcia i potłuczenia.

Z naszego rozeznania jedną z najtwardszych i najlepszych hopek jest hopka na plaży w Ryni nad Zalewem Żegrzyńskim. W Sopocie polecamy hopkę koło dawnych kąpielisk Północnych. Hopka południowa jest zwykle za miękka. Wśród miłośników hopek zasłużoną sławą cieszą się też hopki w Jastrzębiej Górze, Mielnie i Ustce. Nasze rozważania nad hopką kończymy cytatem z bloku pewnej „koteczki”: „Poszłyśmy na plażę,

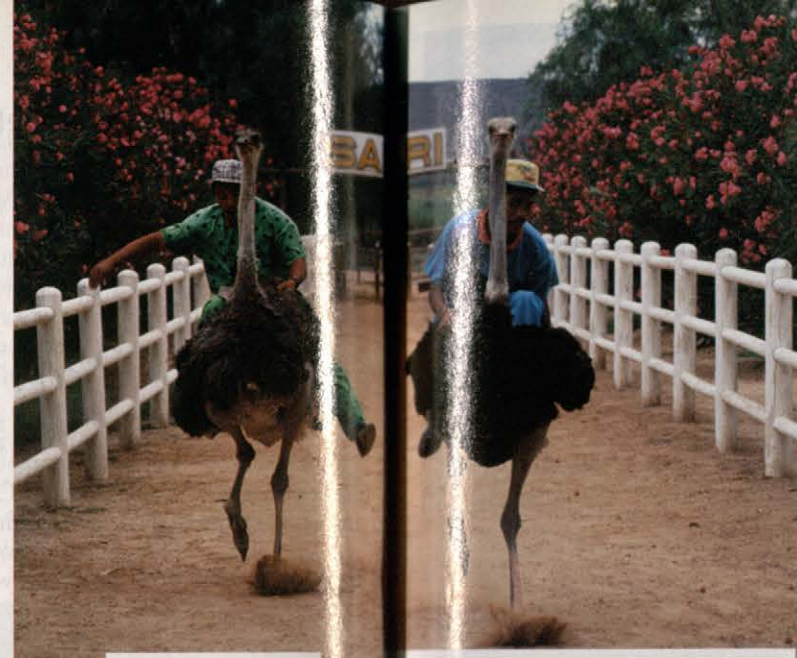


Fot. KONRAD KONSTANTYNOWICZ/ZEEROJEDEN.COM

można polecieć naprawdę wysoko. A z takiego wysokiego wybicia łatwo potem zrobić wybicie „z pupy”. Wybicie „z pupy” to już sztuka, którą nawet pan hopkowy pochwali pomrukiem uznania. Ale uważamy z panami hopkowymi. Jak Polska długa i szeroka, każdy pan hopkowy namawia do salta. My radzimy początkującym, by odłożyli takie próby na później. Zwykle skakanie wystarczy. Dobrze skacze się też, trzymając drugą osobę za ręce. Gdy reszta rodziny lub paczki przyjaciół gramoli się za wami na hopkę, uważajcie! Lepiej niech część chętnych rozłoży się na brzegach. Takie leżenie na wstrząsanej cudzymi skokami hopce też jest bardzo przyjemne. To dobra opcja dla leniuchów i osób z kiepską kondycją – na przykład palaczy. Nie zapomnijcie też o apa-

wypiliśmy winko, które było ohydne i kwaśne, ale się wypilo. Przechodziliśmy przez ten tłum ludków czekających na wejście do klubu. My poszłyśmy w drugą stronę plaży i tam kolesie zaproponowali przyłączenie się do skakania na trampolinie;), bekowo było i kręcąc się trochę. Aż tak bardzo nie chciało nam się rzygać... koles do mnie z tekstem wypada: czy ja jestem modelką, bo tak wyglądam i taką mam fryzurę itp??? A ja zaczęłam się śmiać;) i powiedziałam, że modelki są ładniejsze i mają ładniejsze fryzury itp. itd...”. Pisownia oryginalna. Musimy też dodać, że wedle naszego doświadczenia hopka nie wywołuje żadnych sensacji ze strony układu pokarmowego. Zatem – na hopkę! ●

MARCEL ANDINO VELEZ



Fot. CORBIS FREE (2)

STRUSIE RODEO

Teren powinien być równy, pozbawiony kamieni i pników. Jeździec musi mieć bowiem zapewnione miękkie lądowanie – mówi Krzysztof, hodowca i wielbiciel strusi.

Strusie są płochliwe i delikatne. Do jazdy służą więc starsze, wierzęta płci męskiej, które przekroczyły piąty rok życia i ważą ponad 120 kilogramów. A przede wszystkim – jak mówi Krzysztof – mają więcej oleju w głowie. Choć i tak niedużo, bo strusi mózdzek jest nie większy od włoskiego orzecha – dodaje.

Jeśli już mamy wyczyszczony i ogrodzony plac, powoli zbliżamy się do niczego niepokojącego zwierzęcia. Szybkim ruchem zakładamy mu worek na głowę, by się nie stresował, przystawiamy do niego drążek i siadamy na grzbiecie. – Najlepiej trzymać się skrzydeł – objaśnia hodowca. Kiedy ściągniemy mu worek, strus zaczyna galop. Biegnie z prędkością 20–30 kilometrów na godzinę.

Jeżdżenie w Polsce na strusiach jest nielegalne. – Chodzi o ochronę zwierząt, o znęcanie się nad delikatnymi ptakami – tłumaczy niechętnie właściciel strusiej fermi. – Zaraz by się przypięło Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami.

Hodowcy jednak często przyznają, że nie mogli się oprzeć pokusie.

– Niezła zabawa – opowiada jeden z nich. – Mam nawet u siebie specjalny tor, żeby strus nigdzie nie skręcał, tylko biegł prosto przed siebie. (saj)



CACKO KOMUNIZMU

Członkiem elitarnego klubu Cartoon Trabant można zostać już za sto złotych – tyle kosztuje najtańszy trabant. Klub zrzeszający około 400 właścicieli „mydelniczek” istnieje w Polsce od ponad dwóch lat. Najmłodszy członek ma kilkanaście, a najstarszy – pan Kazimierz – ponad 60 lat. – To prawdziwy fan trabantów – opowiada jeden z szefów klubu Łukasz z Wrocławia. – Nie toleruje innych samochodów. Jego maszyna ma 42 lata. Nawet żonie, ku jej przerażeniu, ostatnio kupił trabanta.

Klubowicze kilka razy w roku spotykają się na zlotach. – Oprócz picia piwa najważniejszą częścią każdej imprezy są różne zawody – mówi Łukasz. – Pchanie tra-



Fot. ACTION PRESS/FREE (2), PRILAPAP, ULLSTEIN BILD/BE&W (2), WSKRZYŹCZAK/REPORTER

FRUWAJĄC PO FALACH

Narty wodne to już właściwie przeżytek. Dzisiaj korzysta się z deski, której siłą napędową jest latawiec.

– Kiedy zawieje trochę silniejszy wiatr, latawiec może unieść stukilogramowego mężczyznę kilkanaście metrów ponad fale i rzucić go na plażę albo w morze – mówi Igor Czernik, który prowadzi kursy pływania z latawcem na Półwyspie Helskim i w Rewie.

– Najlepiej pływać w pobliżu piaszczystych szerokich plaż, z daleka od szlaków wodnych. To zabawa nie dla tych, którzy cały rok siedzą za biurkiem. Trzeba mieć trochę siły i przynajmniej minimum sprawności.

Moda przyszła do nas z Francji cztery lata temu. Współczesny latawiec wykonany jest z syntetycznej, lekkiej i trwałej tkaniny. Nawet jeśli spadnie, łatwo go oderwać od powierzchni wody.

Kitesurfingu – zdaniem instruktora – można się nauczyć w ciągu tygodnia. Dla niektórych latawiec staje się sposobem na życie: „Po miesiącu pływania z latawcem sprzedałem wszystko, opuściłem rodzinny dom na Florydzie i wyruszyłem na Hawaje szukać szczęścia – pisze młody Amerykanin Flash Marcus Austin. – Tam spotkałem miejscowego kite’owego guru i wszystko potoczyło się błyskawicznie. Mieszkam, jem, oddycham dzięki kitesurfingowi”. (saj)



Fot. JANEK PICTURES (2), RAPAL, STRZECIŃSKI/FREE (2), TAV/FFM

banta na czas, najwolniejszy przejazd albo rajd między drzewami.

Trabant Łukasza ma stroboskopowe światła i alufelgi. Zbyszek z dwóch samochodów zrobił jeden – limuzynę. Ten ekskluzywny pojazd wyposażony jest w barek i wideo oraz wysokiej klasy sprzęt grający. Ostatnio zażądał i podziw klubowiczów wzbudził całkowicie nowy model trabanta – bez przodu. Zamiast maski właściciel zamontował mu bagażnik.

– Nasze trabanty są bezcenne – mówi Łukasz. Ale po chwili namysłu dodaje: – Kolega oddałby może swoją limuzynę za 40 tysięcy złotych. (saj)



DENNY HOKEJ

Jak zacząć? Potrzebny jest 25-metrowy basen oraz 12 zawodników podzielonych na dwa zespoły. Do tego krążek o wadze 1,3 kilograma i kije do przesuwania go po dnie boiska-basenu. Gra się przez pół godziny z jedną trzminutową przerwą.

Ta wymyślona w Anglii przy filiżance herbaty dyscyplina sportu ma już prawie 50

lat. Pierwsze mistrzostwa świata w UWH (underwater hockey) rozegrane zostały w 1988 roku. Rok temu w Calgary w Kanadzie wygrali Australijczycy. Grają już między innymi w Stanach, Wielkiej Brytanii, Brazylii, Namibii, Zimbabwie, Niemczech i na Węgrzech (budapeszteńska drużyna ciągle szuka basenu). Do następnych mistrzostw w Nowej Zelandii zostało jeszcze wystarczająco dużo czasu (marzec 2004), żeby przygotować polską reprezentację.

Polski ślad to internetowa wzmianka o podwodnym hokeju jako „ulubionej grze” członków sekcji pletwonurków Politechniki Wrocławskiej oraz wypowiedź „patriota” ze sportowego forum dyskusyjnego www.sfd.pl: „To jest superzabawa. Widziałem coś takiego na TV i na żywo próbowałem to zrobić. Tyle że kondycja trzeba mieć niesamowitą. Po pięciu minutach tak płuća bołą, że nie da się wytrzymać”. (raf)

WALKA O SER

Każdego roku w Cooper's Hill grupa śmiarków goni po najbardziej stromym zboczku Anglii duże, obłe kawały sera Double Gloucester. Kto złapie ser, może go sobie wziąć. Problem jest jednak ze złapaniem – uczestnicy tak zapamiętują się w pościgu, że zabawa staje się niebezpieczna. Zawody z 1998 roku zakończyły się małą rzezią: do szpitala trafiło 18 osób. Od tego czasu organizatorzy muszą wynajmować firmę do ochrony kilkutysięcznego tłumu gapiów oraz prywatne służby medyczne do pomocy rannym.

Doroczna impreza ma długą tradycję – ponoć wiąże się ona z Fenicjanami, którzy tysiąc lat przed naszą erą odwiedzili tereny Wielkiej Brytanii w celach handlowych. Inne teorie mówią o Rzymianach jako pierwszej nacji, która staczała ze stromych zboczy swój ekwipunek. Z pewnością to tradycja przyciąga ochotników z całego świata, w tym z Korei czy Stanów Zjednoczonych. Wymagań nie ma żadnych – wystarczy się stawić i być gotowym na każde poświęcenie dla kawałka przedniego sera o wadze siedmiu funtów. (pmp)



POIGRAĆ Z DELFINAMI

Są inteligentne i chętne do zabawy – pływając z delfinami to marzenie, które udaje się spełnić tylko nielicznym.

„Podpłynął pod moje stopy. Wyraźnie czekał, aż do niego zanurkuje. Jednak bez maski nie dałem rady zanurzyć się zbyt głęboko. Było mi głupio, że nie mogłem sprostać jego oczekiwaniom. Po kilku moich nieudanych próbach zanurzenia się dotknął mojej lewej stopy. Gwałtownie ją wycofałem, ze strachu. On wyczuł mój lęk i bardzo powoli, niemal w zwolnionym tempie, wynurzył się metr ponad powierzchnię wody. Poczulem, że to najpiękniejsza chwila w moim życiu” – pisze Ja-



son Smith, któremu udało się pływać z dzikim delfinem wśród raf koralowych wokół wysp Bahama. Delfiny bardzo lubią się bawić. Na wolności „zaczepiają” wszystkie napotkane stworzenia – nawet żółwie i ptaki. Potrafią także rozmawiać. Bezdźwięcznie naśladują dźwięki ludzkiej mowy i śmiech. Mają bardzo rozwinięty zmysł słuchu. Dzięki echolokacji potrafią znaleźć i rozróżnić niewielkie przedmioty. Urodzone w niewoli, w delfinariach, nie tracą poczucia humoru i chętnie nurkują za rzuconą im piłką. – Z ich oblicza nigdy nie znika uśmiech – twierdzą naukowcy. (saj)



SŁOŃ ZASŁANIA BRAMKĘ

Co może być bardziej ekscytującego od gry w polo? Trudno zrozumieć to pytanie mieszkańcom kontynentalnej Europy, ale pewien Szkot 20 lat temu odpowiedział z pełną wagą: polo na słoniach.

Szkot nazywał się James Manclark, był graczem polo i mistrzem Wielkiej Brytanii w bobslejach. Pomyśl wpadł mu do głowy, gdy przebywał w Szwajcarii i popijał drinki w towarzystwie Anglika przybyłego z Nepalu. Tak wyglądały początki Światowego Związku Polo na Słoniach (WEPA), organizatora mistrzostw świata w tej dyscyplinie. Co roku przy Królewskim Parku Narodowym Chitwan w Nepalu spotykają się drużyny z całego świata. Obok właściwych mistrzostw równolegle odbywa się turniej amatorów.

Reguły gry są proste. Na boisku o rozmiarach zbliżonych do piłkarskiego walczą ze sobą drużyny liczące po cztery słonie każda. Mecz trwa 20 minut. Gra ciągle dociera się w szczególności, na przykład od jakiegoś czasu zaobronione jest używanie słonia w charakterze bramkarza. Gracze nakłaniali bowiem zwierzęta, by kładły się w świetle bramki, które jest zwykle nieco mniejsze od leżącego słonia, i piłka już się nie mieściła.

Mistrzowie świata amatorów z drużyny Tickle and the Ivories, którzy szukają



teraz nowych zawodników, zapewniają, że od przyszłego gracza wymaga się tylko ogólnej sprawności fizycznej. Nie trzeba umieć kierować słoniem, bo tym zajmują się jeźdźcy – mahoutowie. Zawodnik musi tylko machać kijem.

Co pocieszające, własny słon też nie jest konieczny. Żeby zostać zawodnikiem drużyny mistrzów świata, trzeba jednak mieć na bilet do Singapuru, bo tam przyjmowane są zapisy. Dla początkujących rada zawodnika Raja Kallana: – Żeby grać dobrze, słon, gracz i mahout muszą się stopić w jeden umysł. (raf)



Ciąg dalszy zamieszania wokół festiwalu Krzysztofa Pendereckiego. Kompozytor w bezprecedensowym geście zabronił Filharmonii Krakowskiej wykonywania swych utworów, kiedy ta odmówiła zorganizowania jego festiwalu. Filharmonia tłumaczy decyzję prosto: nie ma funduszy. Lecz Penderecki uznał odmowę za afront. Oto list z oficjalnym stanowiskiem dyrektor krakowskiej filharmonii

DO REDAKTORA
NACZELNEGO „PRZEKROJU”

Pozwalam sobie przesłać na Pana ręce pismo, które wystosowałam do Prof. Pendereckiego (faks, list). Dotąd milczałam, ponieważ nie sądziłam, że sam Prof. Penderecki nagłośni fakt zakazu grania swoich Dziel przez Filharmonię Krakowską. Może widzielibyście Państwo sens wydrukowania mojego listu? Z wyrazami szacunku

DR ANNA OBERC

Dyrektor Naczelny Filharmonii
im. K. Szymanowskiego
w Krakowie

Pan Profesor Krzysztof
Penderecki

Wielce Szanowny Panie Profesorze.
Z wielkim smutkiem przyjął Pan Profesora faks z dnia 19 lipca 2003 r. Nie podjęłam się odpowiedzialności formalnej, prawnej i finansowej.
1. Organizatorem Festiwalu była Dyrekcja i Pracownicy Biura Festiwalowego Kraków 2000 podlegli Prezydentowi Miasta. Prezydent nie wydał zarządzenia mówiącego, że Organizatorem ma być ktoś inny.
2. Instytucje kulturalne obowiązuje Ustawa o Zamówieniach Publicznych. Wszystkie przetargi powyżej sumy 30 000 euro muszą być zamieszczone w Biuletynie Zamówień Publicznych, nie wolno zamieścić ogłoszenia, nie mając pokrycia w środkach finansowych na swoim koncie. Rzeczą dotyczyła: a) przetargów na hotele dla Chińskiej Filharmonii – koszt minimum 150 000 złotych – i hoteli dla orkiestry i chóru NDR – koszt jeszcze większy, b) przetargów na usługi poligraficzne, c) przetargów na transport lokalny.
3. Środki finansowe przeznaczone na realizację Festiwalu to kwota 1 450 000 złotych (według Dyrektora Artystycznego Elżbiety Pendereckiej niewystarczające, potrzebne było około 2 000 000 złotych).

Pieniądze były przyznane na Biuro Festiwalowe Kraków 2000. Żeby mogły „przejs” na konto Filharmonii, musiałabym wystąpić z wnioskiem, dokładnymi kosztorysami do Marszałka. Wniosek zatwierdza Zarząd Województwa Małopolskiego, przesyła do Ministerstwa Kultury, tam jest zaopiniowany, znowu przesłany do Marszałka, znowu do Ministerstwa i znowu do Marszałka. Przy najlepszej woli wszystkich urzędników sprawa trwa trzy miesiące i wcale nie oznacza pieniędzy na koncercie Filharmonii. Propozycja została mi złożona 3 lipca 2003 r. – telefonicznie – przez Dyrektora Artystycznego Elżbietę Penderecką. Ministerstwo Kultury przyznało na festiwal 700 000 złotych. Pani Elżbieta Penderecka zrezygnowała z pomocy miasta (400 000 złotych miasto + 150 000 złotych Biuro Kraków 2000). Jak mogłam się podjąć odpowiedzialności finansowej za Festiwal, dysponując kwotą około 700 000 złotych, gdy nie wystarczało według Pani Elżbiety Pendereckiej na Festiwal 1 450 000 złotych?

UNIVERSAL, NIE BMG

Błędnie napisaliśmy, że wytwórnia BMG nic nie zrobiła w sprawie grupy Die Toten Hosen na Przystanku Woodstock (słowa Jurka Owsiaaka z wywiadu

w 30. numerze „Przekroju”). W istocie polskim dystrybutorem płyt Die Toten Hosen jest obecnie wytwórnia Universal.

BACH

W 31. numerze „P” wydrukowaliśmy błędny zapis nazwiska Pani Danuty Hojarskiej. Za pomyłkę serdecznie przepraszamy.

REDAKCJA

Glusi razem!

Chcemy przekonać młodych ludzi, że nawet jeśli są niesłyszący, niedosłyszący, mogą żyć normalnie i realizować swoje cele. Chcemy, by wyszli z ukrycia i stworzyli aktywne, zintegrowane środowisko. Dlatego organizujemy II Ogólnopolskie Forum Młodzieży z Wadą Słuchu. Termin: od 18 do 21 września. Miejsce: Nałęczów. Zapraszamy młodzież w wieku od 18 do 28 lat. Przyjeźdź, jeśli chcesz pobyć wśród swoich, zrobić coś dla innych i siebie. No i dobrze się bawić. Kontakt: Poradnia Specjalistyczna Polskiego Związku Głuchych w Radomiu. Telefon/faks: (0-prefiks-48) 362 84 74, 362 50 02; oraz w Internecie pod adresem <http://republika.pl/poradniapzgradom/forum.html> W imieniu organizatorów

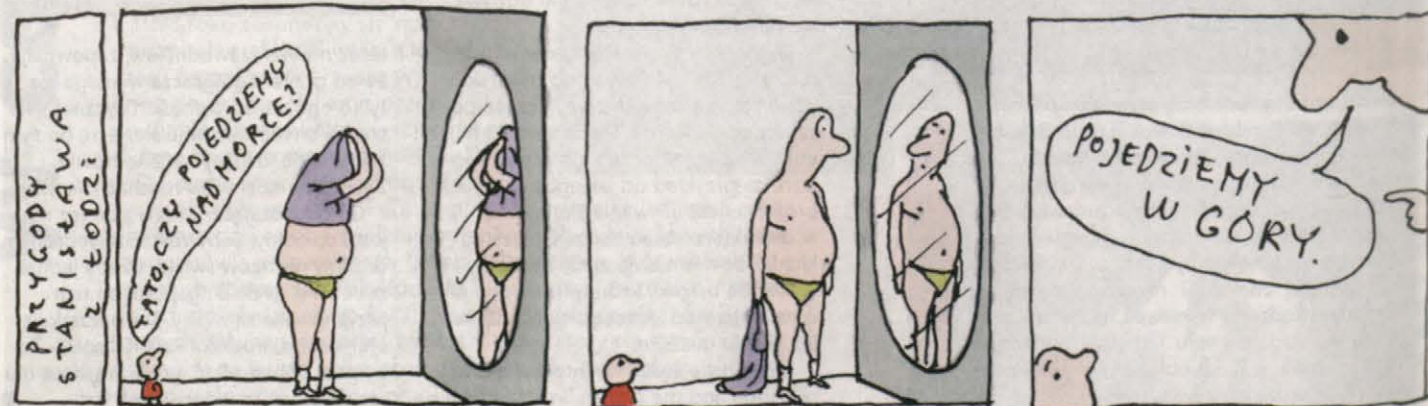
BEATA SZAST,
PSYCHOLOG



BAJKI ROBOTÓW

Kraftwerk, słynni pionierzy muzyki elektronicznej z Düsseldorfu, zamilkli w 1986 roku. Pięć lat później ogłosili wydanie nowej płyty, ale okazała się tylko zbiorem remiksów starych nagrań. Potem zapowiadali nowe wydawnictwo w roku 1999 – ale pojawił się ledwie singiel z przeróbką ich kilkusekundowego tematu skomponowanego na Expo 2000. Potem drugi – z remiksami tego tematu, z którego wycisnęli już, ile się dało. Dalej rok po roku ich nowa płyta tkwiła w planach wydawnictwa EMI, ale z roku na rok premierę przesuwano. Kiedy w lipcu nagle ogłosili, że nowe nagrania wyjdą na początku sierpnia, potraktowano to jak kolejne bajki. Nawet lista utworów nie była znana. Lecz nagle – z klauzulą szczególnej tajemnicy – płyta trafiła do redakcji „Przekroju”. Potwierdzamy: to wreszcie nowe nagrania Kraftwerk. Recenzja już u nas – na stronie 102.

tydzień



Czekamy na Państwa listy.

Nasz e-mail: redakcja@przekroj.pl Nasz adres: ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa.

FORMAT POLSKI

Podbijaliśmy już Amerykę polską szynką, wódką i czekoladą. Teraz przyszedł czas na elitarny magazyn o modzie. Tylko co może Amerykanów interesować w polskim stylu?



Kiedy będziecie spacerować nowojorską Piątą Aleją, nie zdziwicie się, gdy nagle wpadnie wam w oczy dziwnie znajoma okładka pisma. To nie fatamorgana ani nie skutek pomyłki działu dystrybucji Ruchu. Warszawski magazyn „A4” (czytaj: „a cztery”) wdziera się na amerykańskie salony, po których kręcą się zwany trendów, kreatorzy mody i artyści.

Wdziera się jednak spokojnie, skromnie, wręcz cichaczem, bo w skromnej liczbie pięciu tysięcy egzemplarzy. Więcej nie będzie, choćby ustawiały się tasiemcowe kolejki. „A4” jest i ma pozostać elitarnie, snobistycznie, pożądane.

– W Nowym Jorku wszyscy znają brytyjski „The Face”. A wiesz, ile go tam sprzedają? Ledwie 20 tysięcy w całych Stanach! – tłumaczy Mikołaj Komar, redaktor naczelny „A4”. – Nie jest ważne, ile się sprzedaje, ale kto to czyta.

Jestem z Polski

Ojciec Mikołaja był jednym ze szczyściarzy, którym udało się wylosować Zieloną Kartę dającą prawo stałego pobytu w Stanach. Mikołaj nie zamierzał się wy-

prowadzać z Polski, ale – by podtrzymać ważność karty – musiał raz w roku pojawić się za oceanem, żeby dostać pieczętkę w paszporcie. Z tych niejako przypadkowych podróży zrodził się w jego głowie przebiegły plan.

Postanowił wprowadzić do zawałonych kolorowymi gazetami amerykańskich kiosków coś polskiego. W pewne zimowe popołudnie 2002 roku zapukał do redakcji kilku największych amerykańskich miesięczników poświęconych modzie i trendom. Ponieważ przyjechał z dziwnego kraju, był bardzo młody (ma dopiero 26 lat), a już był redaktorem naczelnym magazynu „Fluid”, szefem artystowskiego magazynu „Issue” wydał się szalenie interesujący. – „Fluid” bardzo się im spodobał – opowiada Mikołaj. – Wysłaliśmy tam dwa numery, częściowo przetłuma-



Po lewej: Dyrektor wydawniczy „A4” Iwona Czempieńska, dalej Mikołaj Komar (naczelnik) i Kasia Wilk (zastępca), na dole: Jakub Jezierski (grafik prowadzący)

„Fluid” pojawił się pod koniec 2000 roku. Przyciągał nietypowym, kwadratowym formatem. Szybko stał się modny w kręgach artystowskich, był czymś w rodzaju odmłodzonej wersji popularnej „Machiny”. W środku więcej obrazków niż tekstu; dużo designu, architektury. „Fluid” jako jeden z pierwszych promował zespół Futro, pokazywał fotografie Jana Smagi, Artura Wesołowskiego, Mikołaja Długosza; rysunki Wilhelma Sasnala.

Polska egzotyka

Polskiemu wydawcy „Fluidu” nie zależało na rynku amerykańskim, więc Mikołaj odszedł z zamiarem stworzenia własnego magazynu. Kontakty już miał, ludzi też – pociągnął za sobą większość starej redakcji. Potrzebował pieniędzy. Budżet na pierwsze wydania „A4” znalazła Iwona Czempieńska, oficjalny wydawca magazynu, prywatnie córka założyciela jednostki GROM. – Twarda, silna laska – mówi o niej Mikołaj.

– Poznaliśmy się rok temu na plaży – opowiada Iwona. – Bardzo mi się spodobał pomysł wydawania międzynarodowego pisma. Najpierw chcieliśmy zrobić coś na miejscu, ale ludzie z Issue Media nas sami nakręcili, żeby już! Przekonywali, że wszystko, co przychodzi ze wschodu Europy, jest tam egzotyczne, ciekawe i modne wśród kolekcjonerów.

W końcu powstał magazyn – jak głosi oficjalny komunikat – dla ludzi potrzebujących produktu „zaspokajającego podstawową potrzebę odrębności”. – To ma być magazyn „mody prawdziwej” – tłumaczy Mikołaj. – Mody na życie, na kulturę. Bardziej album modowy niż gazeta.

Target „A4” to grupa wiekowa przekraczająca 25 lat. To zasadniczo odróżnia magazyn od typowo młodzieżowego „Fluidu”. Teraz „A4” musi osiągnąć to, co udało się zrobić z „Fluidem”: Mikołaj twierdzi, że choć w Stanach wyszły tylko dwa numery, nowojorska śmietanka artystyczna dobrze wie, co to jest „Fluid”.

Nie powtarzać „Maksa”

Mikołaj nie ukrywa, że na wygląd „A4” mają wpływ zachodnie magazyny trendowe typu „I-D”, „Dutch” czy „Nylon”. Autorem szaty graficznej jest Jakub Jezierski, który jeszcze we „Fluidzie” zaliczył nagrodę w konkursie projektowania dwutygodnika „Media i Marketing Polska”.

Podczas przeglądania „A4” rzuca się w oczy porządna robota edytorska, miły w kontakcie papier. W środku czysto, jasno, dużo niczym niezadrukowanego białego tła. Nie ma wyraźnej, łatwej do opamiętania struktury, rubrykowania. Zdjęcia młodych ludzi popalających papierosy i ta-

żących po torach kolejowych; pokryte graffiti mury i fabryczne kominy na tle zachodu słońca; sesja z targaną tajemniczymi niepokojami długowłosą dziewczyną.

Biorę do ręki pierwszy z brzegu „Nylon”. Choć jest inaczej, odważniej „lamanym”, odczuwam lekkie déjà vu. Nie chodzi o kopiowanie pomysłów, ale tak jakoś się składa, że sesje mody nie mogą się obejść bez smutnych dziewczyn o intelektualnie rozchylonych ustach.

Szczyć się małym nakładem

W „A4” kilkanaście stron zajmują reklamy: drogie marki ubraniowe, perfumy, komórki. Mikołaj przysięga, że wszystkie poszły za pieniądze. Strona kosztuje 12 tysięcy złotych.

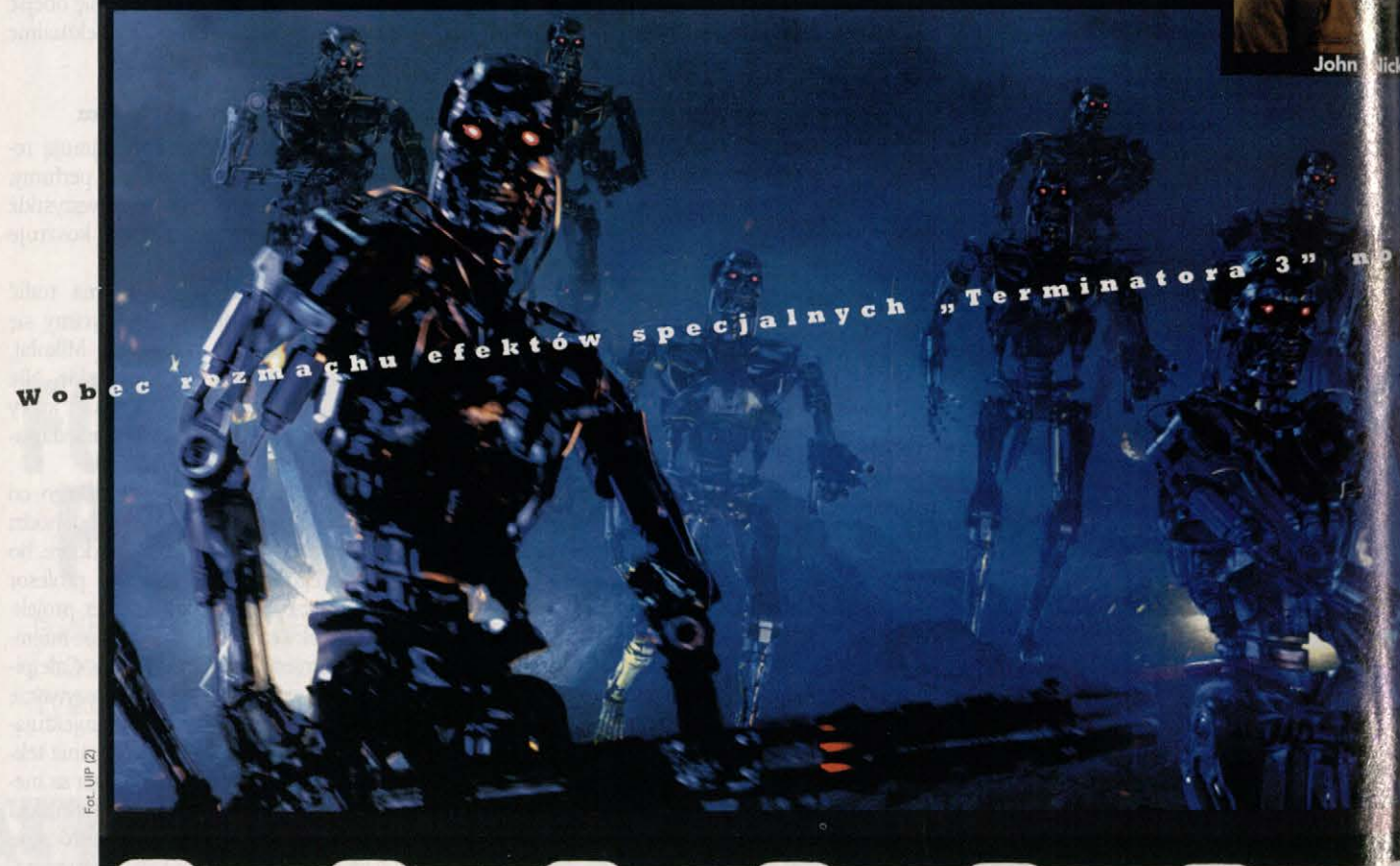
Do czytelników w Polsce ma trafić 10 tysięcy egzemplarzy. – Szczyć się małym nakładem – przekonuje Mikołaj. – To ma być pismo kolekcjonerskie. Nie chcemy powtórzyć błędu „Maksa”, który drukowano w stu tysiącach, a sprzedawało się góra paręnaście procent.

– „A4” jest z pewnością inne od tego, co mamy na rynku. Świadomie odchodzi od typowego magazynu, a to jest dobre, bo nie powiela sztampy – twierdzi profesor Maciej Buszewicz, grafik i designer, projektant książek i czasopism. – Ale choć interesujące, to nieco niekonsekwentne. Całe pismo jest „cool”, stara się być rzeczywiście chłodne, a jednocześnie osobę projektującą korci, żeby się pobawić. Wplatanie tekstu w obraz w materiale „Nostalgia za nieustającym wernisażem” czy wycinanka „Balety” to są ciekawe zabiegi, ale kłócą się z „chłodem” reszty pisma. Nie rozumiem, dlaczego tytuły pisane są dwiema różnymi czcionkami. Trochę dziwne jest też nagłe przejście na inny papier, ilustracje w tamtej części wydają mi się niezrozumiałe. Za to rozkładówka z Coco Chanel jest świetna. A tekstowo magazyn jest bardzo fajny.

Czy „A4” odniesie sukces komercyjny? – Kampanie reklamowe są przeważnie planowane terytorialnie i pod tym względem podział nakładu jest niedobry, bo oznacza zmniejszenie zasięgu – twierdzi Tomasz Bytner, client service director w domu mediowym MindShare Polska. – Z drugiej strony rozgłos spowodowany nietypową dystrybucją lub obietnica dotarcia do konkretnych kręgów ludzi mogą być dla niektórych istotne.

Iwona i Mikołaj dzięki kanałom dystrybucji „Issue” chcą wprowadzić „A4” także do sprzedaży w Japonii, Hongkongu, w modnych miastach europejskich. Jeśli się uda, może kiedyś ich pismo będzie tak rozpoznawalne jak Papierz i Lech Wąłęsa.

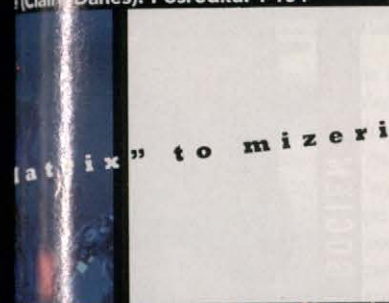
MAX SUSKI

trafiony
zatonionyZAMIENIĆ
MIASTO
W CIASTO

Wobec rozmachu efektów specjalnych „Terminatora 3” nowa „Matrix” to mizeria



John Nick Stahl (Claire Danes). Pośrodku: T-101



„Terminator 3: Bunt maszyn” to świetne kino akcji.

Widz nie ziewa z nudów, a przy tym film jest zaskakująco... zabawny

Pierwsza i podstawowa rzecz: w narzucającym się porównaniu drugiej części „Matrix” i trzeciej części „Terminatora” ten ostatni film wypada o kilka nieb lepiej. Tu nikt nie wymaga, by padające z ekranu bzdury o buncie maszyn traktować jako coś więcej niż tylko zabawę. Mamy się bawić i się bawimy – Arnold Schwarzenegger ujmuje wdziękiem, pokazując, że ma do siebie dystans, którego wiele gwiazd Hollywood mogłoby mu pozazdrościć, jest sporo naprawdę przyzwoitego i inteligentnego humoru, no i przede wszystkim widz nie ziewa z nudów! Bo „Terminator 3” jest tym, czym ma być – kinem akcji, a nie bombastycznie nadętym bełkotem udrapowanym na „pełną głębi filozoficzną wizję przyszłości plus frytki z ketchupem oraz cola wliczone w cenę”.

Jeśli ktoś pamięta (ja nie, ale przeczytałem) – w „Terminatorze 2: Ostatecznej rozgrywce” małe John Connor i jego mamusia Sarah powstrzymują wrzące automaty zorganizowane w sieć Skynet przed zrobieniem ludzkości ostatecznego kuku. W „T3” John Connor (Nick Stahl) już podrośł i ma 22 lata. Ponieważ nie chce, żeby go mordercze roboty wytropiły, żyje bez kart kredytowych, telefonu i pracy. Tak jak 20 procent Polaków, którzy powinni być zatem wdzięczni przewidującej polityce społecznej rządu Leszka Millera – w wypadku ewentualnego buntu maszyn będą przecież nie do odnalezienia.

Nazistowskie marzenie

Powróćmy jednak do Ameryki. Connor się ukrywa i wie, co robi, bo Skynet nasyła na niego T-X (Kristanne Loken),

cyborga, a właściwie cyborginię będącą kilerem doskonałym. Owey blond Terminatrix wyglądającej niczym przedmiot pożądania z nazistowskich marzeń sennych (długie nogi, twarz bez wyrazu, karabin plazmowy wyrastający z dłoni) przeciwstawić się musi T-101 (Arnold Schwarzenegger), model już mocno przechodzony, ale zaprogramowany na ochronę Connora. Walka tych dwojga zajmuje cały film, ale jest na tyle widowiskowa, że chce się ją oglądać. Finałowy pojedynek w łazience to majstersztyk nie tylko techniczny, lecz także choreograficzny – zmagania cyborgów są brutalną bijatyką, zarazem jednak przypominają namiętny, hydrauliczny akt płciowy, przy którym sławny „seks stulecia” – z którego tak dumny był Michael Douglas w „Nagim instynkcie” – jest zimny jak synowie Saddama.

wojskowej. Tam mają się mnożyć, czekając na lepsze czasy i czwartą część „Terminatora”.

Stutonowy dźwig w akcji

Tymczasem część trzecia sprawiła mi sporą satysfakcję i jako widzowi (stawiam dość ostre wymagania komediom, a tu – w kinie akcji – śmiałem się szczerze wiele razy, rozkoszując się inteligentnie pomyślanym żartem), i jako człowiekowi robiącemu filmy. Kampania marketingowa „Matrix: Reaktywacji” bardzo nagłaśniała mistrzostwo pościgowej sekwencji samochodowej na specjalnie zbudowanej do tego autostradzie. Naprawdę tamte wysiłki wydają mi się mizerne przy rozmachu efektów specjalnych w „T3”. Tu również jest wielki pościg:

Przed ostatnią pożogą

Do finału jednak droga daleka i wyboista. Najpierw T-101 będzie musiał uratować jeszcze panią weterynarz Kate Brewster (Claire Danes), nie tylko dlatego, że była koleżanką Connora z podstawówki, lecz także dlatego, że ma być matką jego dzieci (to znaczy Connora, nie T-101). Nie chodzi oczywiście o jakiś tam sobie akt reprodukcyjny. Po to T-101 by się nie fatygował. Chodzi o reprodukcyjny akt założycielski numer dwa, niezwykle ważny w dziejach ludzkości, która – wzięwszy się z kilku sztychów łędźwi Adama zadanych własnemu zębrowi – kończy właśnie w wyniku buntu maszyn kierowanych przez sieć Skynet swoją krzykliwą historię. Świat ogarnia pożoga, a T-101 uwozi Connora i Kate w góry i ukrywa w bazie

niedobra Terminatrix goni Connora i T-101 stutonowym dźwigiem, zamieniając miasto w ciasto. Dla tej sekwencji również zbudowano kilkusetmetrową ulicę (na terenie zakładów Boeinga w Downey), a finał owej galopady – w którym dźwig i wiszący na nim Arnold Sch. uderzają w szklany budynek – rejestrowany był przez 14 kamer, ponieważ tę orgię zniszczenia można było nakręcić tylko raz. Podziwiając niesamowity efekt finałny, zazdroszczę reżyserom amerykańskim umiejętności oraz – a może przede wszystkim – gigantycznych pieniędzy i technicznych możliwości, które pozwalają robić takie kino. Pocieszam się, że w tej zazdrości towarzyszą mi reżyserzy z całego świata.

ANDRZEJ SARAMONOWICZ

HISTORIA JAK SPRĘŻYNA

Fabula „Terminatorów” to podróże w czasie, które za każdym razem wyglądają inaczej

Na końcu „Terminatora 2” ginął chip komputerowy, dzięki któremu miały kiedyś powstać inteligentne roboty. W trójce roboty jednak są. Dlaczego? Twórcy filmu zastosowali kolejną – trzecią już – teorię podróży w czasie. Pierwsza teoria głosi, że historia jest absolutnie niezmienna. Taki jest też pierwszy „Terminator”: dwaj przybysze z przyszłości (zły robot, który ma zabić Johna Connora, i dobry człowiek, który ma go bronić) nie mogą zmienić historii, bo z ich perspektywy miała już ona miejsce.

Drugi „Terminator” proponuje coś innego. Każda anomalia (przybycie istot z przyszłości) zmienia naszą teraźniejszość i przyszłość. Świat toczy się odtąd innym torem historii, a przybysze zostają uwięzieni w nowym dla nich continuum, bez możliwości powrotu. Gdyby mogli powrócić do przyszłości, to trafiliby w zupełnie inną rzeczywistość zmienioną przez ich działania.

Scenarzyści „Buntu maszyn” mówią jeszcze inaczej: historia przypomina naprężoną sprężynę. Można próbować na nią wpłynąć i spowodować chwilowe odkształcenia, ale i tak z czasem wszystko wróci do starego kształtu. Jeśli wojna miała wybuchnąć, to kiedyś wreszcie wybuchnie, jeśli mimo pierwotnej porażki ludzie mają się zorganizować i ostatecznie zwyciężyć, to możemy być pewni, że i to nastąpi. To bardzo wygodna teoria, która nie dość, że tłumaczy, skąd się wzięły kolejne roboty po optymistycznej puentie „T2”, to jeszcze pozwala twórcom potencjalnych kolejnych filmów na utrzymywanie widzów w ciągłym niepokoju.

Wszak historia zawsze może się potoczyć trochę inaczej niż dotychczasowe prognozy! (KS)

JONATHAN MOSTOW

42-LETNI AMERYKAŃSKI REŻYSER I SCENARZYSTA, ABSOLWENT HARVARDU, ZNANY W ŚWIECIE FILMU JAKO TWÓRCA „INCYDENTU” (1997) Z KURTEM RUSSELEM I KLAUSTROFOBICZNEGO „U-571” (2000) – HISTORIA O ŁÓDZI PODWODNEJ Z II WOJNY ŚWIATOWEJ. KIEDY JAMES CAMERON ZREZYGNOWAŁ Z KONTYNUOWANIA SAMEMU SERII „TERMINATOR”, PRODUCENCI „T3” POSTANOWILI ZAUFAC MOSTOWI JAKO REŻYSEROWI „W PRZEDSIĘWZIECIU WIELKICH SUKCESÓW”. CENI SIĘ GO W HOLLYWOOD ZA TO, ŻE W KOMERCYJNYCH, WYSOKOBUDŻETOWYCH PRODUKCJACH NIE ZAPOMINA O PSYCHOLOGII BOHATERÓW. TERAZ PAMIĘTANY BĘDZIE JAKO TEN, KTÓRY WSZCZEPIL ELEMENTY PSYCHOLOGII ROBOTOWI T-101 GRANEMU PRZEZ ARNOLDA SCHWARZENEGGERA. (BC)



„TERMINATOR 3: BUNT MASZYN”, REŻ. JONATHAN MOSTOW, USA 2003, od 8 sierpnia



CIEMNOŚĆ, GŁUCHOŚĆ, PODKARPACKOŚĆ

Lepiej pić oryginalną whisky niż jej podróbkę robioną na Podkarpaciu

„CIEMNOŚĆ”, REŻ. JAUME BALAGUERO, Hiszpania/USA, Vision

Szukający natchnienia pisarz Jack Torrance (Jack Nicholson) dostaje propozycję pilnowania pustego hotelu położonego wysoko w górach. Trafia tam z żoną i synkiem. Synek jeździ po hotelu na rowerku i miewa dziwne wizje – w korytarzach ukazują mu się dziewczynki, czasem w czystych sukienkach, czasem w morzu krwi. Tymczasem Jack nie tylko nie odnajduje pisarskiej weny, lecz także popada w obłęd i w finale goni rodzinę z siekierą.

To oczywiście nie jest opis „Ciemności”, tylko „Lśnienie” Stanleya Kubricka, genialnego horroru według po-

wieści Stephena Kinga. Ale celowo go przytaczam. Namawiam gorąco, by – jeśli przyjdzie Państwu ochota na „Ciemność” – przeczekać tę chwilę słabości i pognać do wypożyczalni właśnie po „Lśnienie”. Tak jak namawiałbym, by pić oryginalnego Ballantine’a, a nie jego podróbkę robioną na Podkarpaciu na bazie spirytusu Royal.

– Ciemność widzę, widzę ciemność! – krzyczał w „Seksmisji” Maksymilian Paradyś. A recenzent „Przekroju” krzyczy: – „Ciemność” widziałem i starczy! Państwo nie muszą tego robić.

ANDRZEJ SARAMONOWICZ

INTYMNOŚĆ (DVD)

Naładowany śmiałą erotyką opis rodzenia się i rozpadu związków

REŻ. PATRICE CHEREAU, Francja/Wielka Brytania 2002, SPInka

Pewnego dnia wstajesz, bierzesz kilka niezbędnych drobiazgów, wychodzisz i zamykasz za sobą drzwi do żony, męża, dziecka, przyjaciół... Autobiograficzna powieść Brytyjczyka Hanifa Kureshiego, która zainspirowała francuskiego reżysera Patrice’a Chereau, zatrzymuje się na chwilę przed odejściem. Chereau chwytając za to, co się dzieje „po”, gdy Jay (rewelacyjny Mark Rylance) w obskurnym mieszkaniu przyjmuje raz w tygodniu kobietę (nagrodzona w Berlinie Kerry Fox). Nie znają swoich imion ani życiorysów, uprawiają za to ze sobą intensywny seks. Złoty Niedźwiedź Berlińskie powędrował do „Intymności” nie tylko z powodu „wyrazistych” scen erotycznych. Chereau kreśli przenikliwy portret człowieka, który tworzy i niszczy związki z innymi ludźmi. Dodatków na płycie niewiele, ale trzeba zobaczyć dwie usunięte z filmu sekwencje.

BARTOSZ ŻURAWIECKI



Kerry Fox i Mark Rylance bardzo intymnie

JESTEM BOGIEM



Dla Jima Carreya dużo się zmieniło od czasu, kiedy zagrał główną rolę w filmie „Ace Ventura – Psi detektyw”. Z 350 tysięcy dolarów, jakie wtedy otrzymał, jego stawki wzrosły do 12 milionów (za dobrze ocenianą rolę w „Truman Show”, 1998) i 20 milionów za „Cienowika z księżycą” (1999). Po kilku chudych latach nowa komedia „Bruce Wszchemogący” to dla niego powrót do formy i popularności. Wracając tu zarazem do ulubionego tematu – znów jest człowiekiem, którego życie zmieniają niewidzialne, nadprzyrodzone siły. 41-letni Jim Carrey gra dziennikarza telewizyjnego, który dostaje możliwość zostania Bogiem i odkrywa trud codziennej pracy na tym wymagającym stanowisku. W Ameryce film zarobił w pierwszym roku więcej niż „Terminator 3”. W polskich kinach – od 14 sierpnia.

Zakończono właśnie zdjęcia do kolejnego filmu z Carreym, „Eternal Sunshine of the Spotless Mind”. Wspólnie z Kate Winslet zagrają w nim skłóconą parę, która decyduje się operacyjnie usunąć sobie złe wspomnienia o swoim związku. Członka ekipy przeprowadzającej operację zagra Elijah Wood znany jako Frodo z „Władcy Pierścieni”.

IDIOCI (DVD)



„Idioci” to prowokacyjnie niechlujny obraz znudzonych japiszonów

Powtórka von Triera, który kręci, pisze i... śpiewa

REŻ. LARS VON TRIER, Dania 1998, Gutek Film i Mayfly

Ciekawe, na ile żywa wśród kinomanów jest pamięć Dogmy – manifestu duńskich twórców, o którym tokowano bez przerwy parę lat temu. Prawdodawcy „ślubów czystości” – Lars von Trier i Thomas Vinterberg – nie potraktowali ich na szczęście nazbyt dogmatycznie i dziś robią nieco inne filmy, odstępując wymyślone przez siebie zasady innym. Cokolwiek sądzić o kręconych z ręki produkcjach Dogmy, nie ulega wątpliwości, że „Idioci”, prowokacyjnie niechlujny obraz znudzonych japiszonów udających przed zdrowym społeczeństwem niepełnosprawnych umysłowo, to dzieło wybitne.

O dogmowej stronie swej osobowości reżyser mówi w dwóch wywiadach – jednym na płycie, drugim – w dołączonym do niej wydawnictwie. Prawdziwym rarytatem jest jednak teledysk piosenki „You Are Lady” w wykonaniu von Triera (cienko, ale śpiewa) i wyjącego The Idiot All Stars. Szkoda tylko, że nie ma na DVD świetnego dokumentu Jespera Jargila o kręceniu „Idiotów” zatytułowanego, jakże trafnie, „Upokorzeni”.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

MĄDRE KOBIETY NA EKRANY!

Kino zaczyna prawdziwe łowy na ciekawe kobiece bohaterki historyczne

Po sukcesach filmów o Virginii Woolf („Godziny”), Fridzie („Frida”) i Almie („Muza”) – wkrótce w naszych kinach) reżyserzy gorączkowo poszukują kolejnych wielkich kobiecych bohaterek. Już zakończyły się zdjęcia do „Teda i Sylvii” Christine Jeffs, filmu o ostatnich miesiącach życia amerykańskiej poetki Sylvii Plath (pełniła samobójstwo, mając 31 lat). Główną rolę zagrała Gwyneth Paltrow. Z kolei Angelina Jolie w „Aleksandrze Wielkim” (realizowanym przez Olivera Stone’a) wcieli się w rolę... matki Aleksandra – Olimpii. Ale ma szansę zostać nie tylko cesarzową, lecz także carycą – ma w planach rolę Katarzyny II w amerykańskim filmie o słynnej carycy. Jolie jako Katarzyna? To jeszcze nic w porównaniu z pomysłem obsadzenia Renée Zellweger w „The Piece of My Heart” Gary’ego Feldera – biograficznej opowieści o słynnej wokalistce Janis Joplin. Wprawdzie Joplin i Zellweger łączą tylko to, że obie pochodzą z Teksasu, ale producentom to nie przeszkadza. Poza tym aktorka utrzymuje, że nawiązała kontakt z duchem Joplin i ten przekonuje ją, iż świetnie nadaje się do tej roli. (MASA)

Czy one są do siebie podobne? Obok postaci historycznych aktorki, które je zagrają



Sylvia Plath

Gwyneth Paltrow

Katarzyna II

Angelina Jolie

Janis Joplin

Renée Zellweger

Fotografia to Twoja pasja?

Zapraszamy do konkursu na najlepsze zdjęcie ilustrujące hasło „Connecting People”. Najciekawsze interpretacje zostaną nagrodzone.

Fotograficy profesjonalni
Nagroda główna: sprzęt fotograficzny o wartości 10 000 PLN oraz roczna prenumerata „Przekroju”.

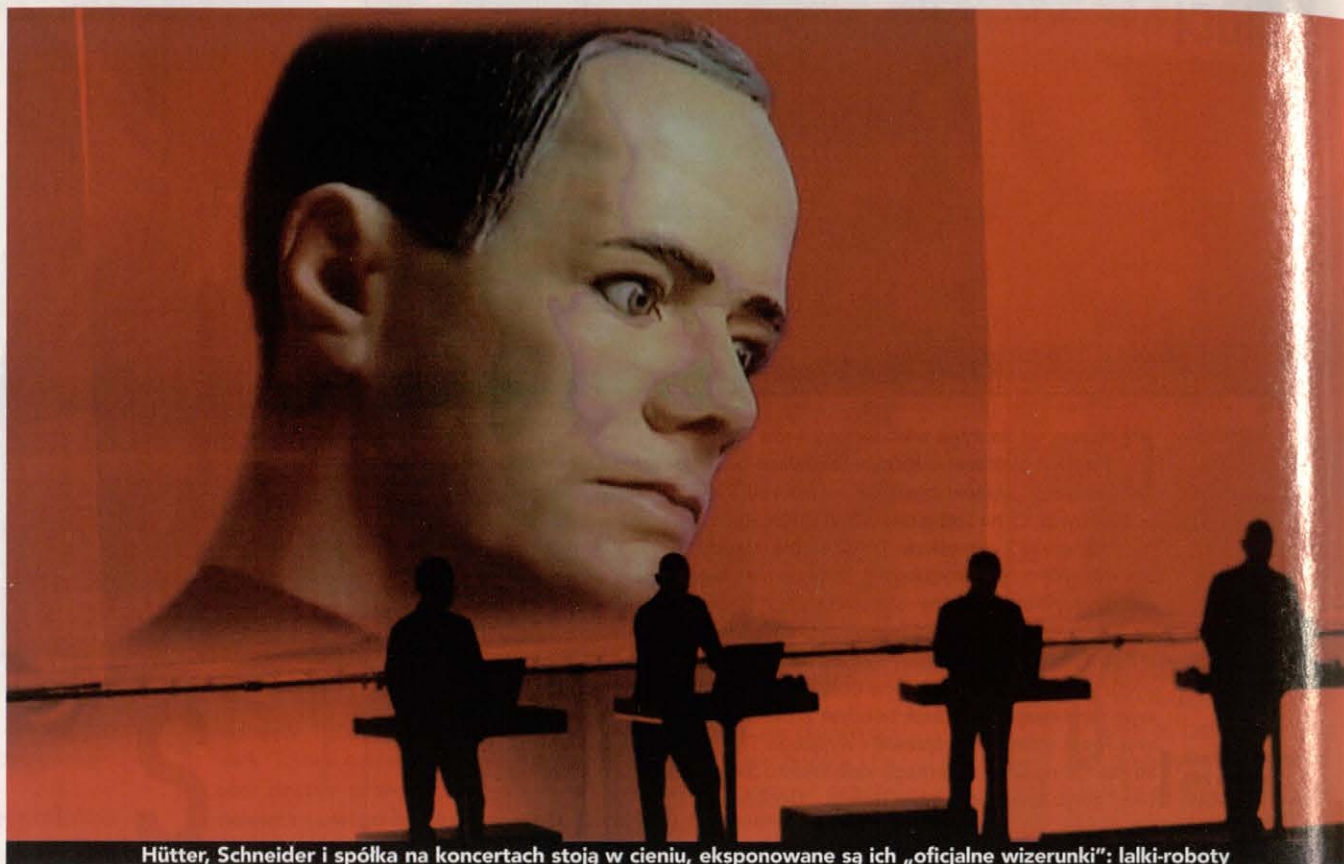
Fotograficy amatorzy
Nagroda główna: półroczny staż u jednego z najlepszych, polskich fotografików Jacka Poremby oraz roczna prenumerata „Przekroju”.

10 kolejnych miejsc nagrodzonych zostanie telefonami Nokia z wbudowanym aparatem fotograficznym oraz półroczną prenumeratą „Przekroju”. Wszystkie nagrodzone zdjęcia zostaną opublikowane w kalendarzu na rok 2004 oraz wezmą udział w wystawie otwartej dla publiczności. Termin nadsyłania prac do 15 września 2003. Rozstrzygnięcie konkursu 10 października 2003.

Regulamin konkursu dostępny jest w redakcji Przekroju oraz na stronach www.przekroj.pl i www.nokia.com.pl

PRZEKROJ

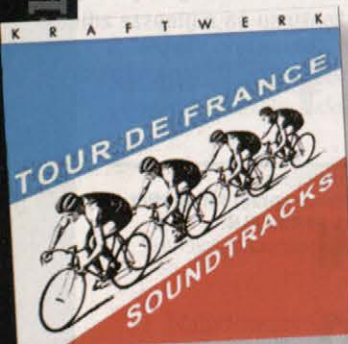
NOKIA
CONNECTING PEOPLE



Hütter, Schneider i spółka na koncertach stoją w cieniu, eksponowane są ich „oficjalne wizerunki”: lalki-roboty

POWRÓT DO SIŁOWNI

Są ojcami disco, techno, a nawet hip-hopu. Po latach milczenia Kraftwerk wydał nowy album – muzykę do nienakręconego filmu



KRAFTWERK, „TOUR DE FRANCE SOUNDTRACKS” (EMI 2003)

Jak mówi lider Kraftwerk Ralf Hütter, scenariusz do filmu o wyścigu kolarskim dookoła Francji zespół napisał 20 lat temu. Wtedy powstała tylko tytułowa piosenka. Dziś, po latach, otrzymujemy wreszcie gotowy materiał – chyba najdłuższą oczekiwaną płytę w dziejach popkultury.

Gdyby „Soundtracks” wyszły w latach 80., okrzyknięto by je rewelacją. Teraz jest to po prostu świetnie skomponowana i zreali-

zowana muzyka elektroniczna, eksplorująca znane bywalcom klubów rytmy (pierwsze 20 minut płyty to chłodny, acz hipnotyczny house). Fani nie będą zawiedzeni, „Vitamin” czy „La Forme” dorównują największym klasykom Kraftwerk. Muzyka brzmi znakomicie, nie śmierdzi nudą, chociaż kolejnej tanecznej rewolucji nie będzie.

O nowych nagraniach Kraftwerk mówiło się od lat. Ostatnia pełnowymiaro-

wa płyta z premierowym materiałem zespołu ukazała się 17 lat temu. Nowy album wydali w setne urodziny wyścigu Tour de France. Nic dziwnego, bo Florian Schneider i Ralf Hütter są absolutnymi maniakami kolarstwa. Hütter nawet wystartował w jednym z wyścigów – bez sukcesów, ale i bez hańby. Pasja ta jednak zaprowadziła go do szpitala, gdy w tym samym roku uległ groźnemu wypadkowi i przez dwa dni nie wychodził ze śpiączki. Opóźniło to znacznie prace nad przygotowywanymi wówczas nagraniami.

„Electric Cafe”, która powstała po nieszcześliwym wypadku, była właśnie tą ostatnią premierową płytą w katalogu Kraftwerk – aż do tegorocznego „Tour de France Soundtracks”. Czy nowy album to tylko bezczelny recykling tuszujący przedłużającą się od lat niemoc twórczą? Na pewno nie. Owszem, przeróbka pamiętnej piosenki „Tour de France” z charakterystycznym ciężkim, rytmicznym oddechem wieńczy tę

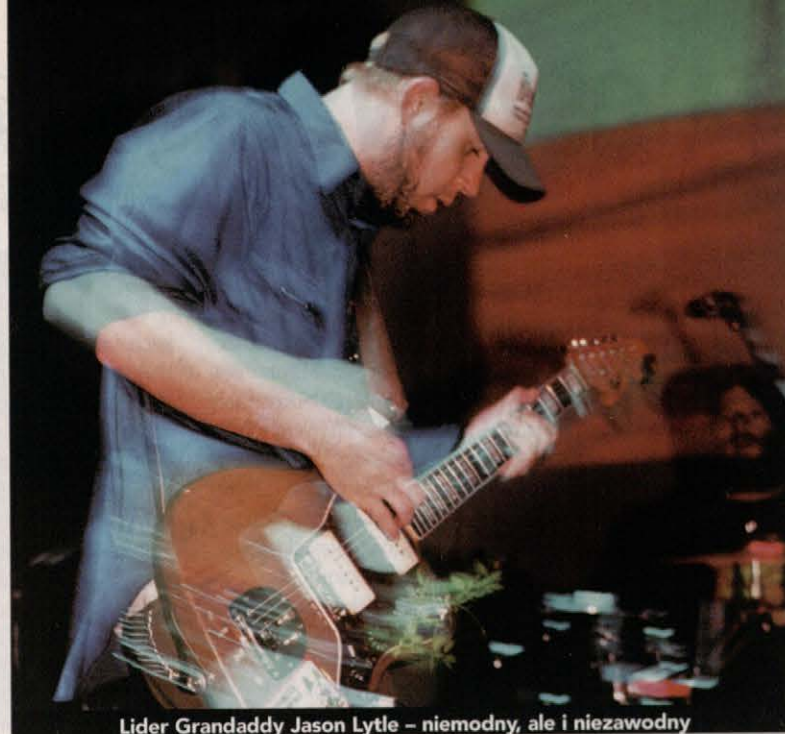
płytę. Jednak pozostałe 50 minut muzyki to premiery.

Co robili przez 17 lat? Skomponowali na przykład dzingiel na wystawę Expo 2000 w Hanowerze. Za cztery sekundy muzyki zgarnęli rekordowe 400 tysięcy marek. Poza tym dawali z rzadka koncerty. Ani Hütter, ani Schneider nigdy nie lubili wywiadów, ich studio w Düsseldorfie podobno pozbawione jest nawet telefonu, nie mówiąc o faksie czy e-mailu. Na temat bieżącej działalności zespołu – o ile taka była – nie do publicznej opinii nie docierało. Ralf informował tylko: – Cały czas pracujemy. Jak będzie coś ciekawego do zaprezentowania, to pokażemy. Nie buntujemy, szuflady mamy puste, nie chowamy niczego na potem. Pracujemy po 10 godzin dziennie, wliczając weekendy.

Dziś Kraftwerk (po niemiecku: siłownia) znów pracuje. Ale Florian i Ralf za pytani, czy zdecydują się wreszcie na jakieś typowe działania promocyjne, odpowiedzieli: – Chcemy być lubiani za to, co jest dziełem naszych umiejętności. Jeśli ktoś ma nas szanować, to tak, jak szanuje się dobrego dentystę.

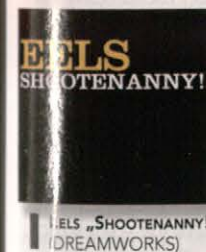
FILIP ŁOBODZIŃSKI

Nikt przy zdrowych zmysłach nie wydaje płyty w wakacje? Pora więc na szaleńców. Od lipca w Polsce świetne płyty dwóch zespołów: Granddaddy i Eels

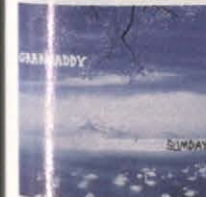


Lider Granddaddy Jason Lytle – niemodny, ale i niezawodny

NIE BÓJCIE SIĘ ROCKA Z BRODĄ!



EELS „SHOOTENANNY!” (DREAMWORKS)



GRANDDADDY „SUNDAY” (BMG)

Oto dwie amerykańskie formacje, dla których tradycja gitarowych piosenek to świętość. Kolejne świętości to melodia i inteligentny tekst. Obie grupy przybierają pozę outsiderów i nie interesują się muzycznym marketingiem.

Muzykom Granddaddy zapuszczanie bród i pozowanie do zdjęć w strojach służb oczyszczania miasta nie przyniesie szybkiej sławy. Szkoda – szczególnie dla tych, którzy przez to nie dotrą do prostych piosenek grupy, w stylu pomiędzy R.E.M. a Flaming Lips. Granddaddy od siedmiu lat tworzą uroczę płyty, których – jak tej – od początku do końca wysłucha z przyjemnością i znanca gatunku, i przypadkowy odbiorca. „I’m on standby” – śpiewają w jednej z piosenek. W wolnym tłumaczeniu: „Wrzuciłem na luz”. Muzycznie taka jest właśnie sytuacja grupy. Są jak pociąg, który zjechał na bocznice, może nawet jak dreźna. Archaiczni, powolni, ale niezawodni. Żadnej presji.

Presji nie czuje również Mark Everett, syn słynnego fizyka Hugh Everetta III, też wychowany na amerykańskim rocku i też outsider. Po pierwsze, nie został naukowcem. Po drugie, nie wykorzystał nawet znanego nazwiska taty, tworzy pod pseudonimem „E”. To już piąta płyta jego zespołu Eels, w istocie jednoosobowego projektu z udziałem różnych muzyków. Everett odnosił sukcesy komercyjne, dopóki miał studencki image. Teraz obrósł w ironię i... zapuścił brodę. Wśród jego bluesowo-rockowych kompozycji dalej jednak znajdują się przeboje („Somebody Loves You”, „Love Of The Loveless”).

Zamiast – jak Brytyjczycy – do The Beatles Amerykanie sięgają do własnych źródeł piosenki: The Beach Boys czy Neila Younga. Ta droga przynosi sukces, ale powoli. Trzeba cierpliwości, jak przy zapuszczaniu brody.

BARTEK CHACIŃSKI

BEYONCE

O tym, jak ta piękna 21-latką z Houston stała się pierwszą gwiazdą amerykańskiego show-biznesu, pisaliśmy w „Przekroju” przed dwoma tygodniami. Oto dowód. Jako członkini tria Destiny’s Child osiągnęła wszystko, co było do zdobycia na polu grupowej wokalistyki w rytmie soul. Dziś udanie, choć bez fajerwerków, Beyonce prezentuje się w roli solistki. Nie popisuje się głosem, bo dawno udowodniła, że śpiewa rewelacyjnie. Nie pozuje na wampa, bo subtelny seksapil wysłała z mlekiem matki. Z dyskretną pomocą Missy Elliott, Jay-Z czy Luthera Vandrossa młoda gwiazda tym razem postawiła na zmysłowy, nastrojowy repertuar. Podobnie jak nagrania jej macierzystej formacji – perfekcyjnie wyprodukowany. Jak wszystko, czego Beyonce się dotknie, skazany na pierwsze miejsca list przebojów.

BARTEK WINCZEWSKI



„DANGEROUSLY IN LOVE” (COLUMBIA)

Najpierw zakochał się w Polce i przeprowadził do Krakowa. Został dyrektorem artystycznym Krakowskiej Orkiestry Kameralnej, a w wolnych chwilach wiernym kibicem Cracovii. Teraz wielką miłością światowej sławy skrzypka Nigela Kennedy’ego stała się nasza tradycja muzyczna, którą od lat pięknie pielęgnuje trio Kroke. Brytyjski skrzypek zwany współczesnym



Paganini nagral z Kroke płytę „East Meets East”. Wystąpią też razem na wspólnym koncercie 7 sierpnia w Sopocie. Klasycznie wyszkolony pod okiem Yehudi Menuhina Kennedy pracował już z Pauliem McCartneyem i Kate Bush, grywał utwory Stephana Grappellego i Jimiego Hendriksa. – To ambitny i wręcz uduchowiony zespół. Muzycznie są świetni – mówi o swoich przyjaciółch z Kroke. Owoc wspólnej pracy krakowskich klezmerów i Nigela to podróż po muzyce Europy Środkowej, północnej Afryki i Środkowego Wschodu.

(JS)

Koncerty

9.08 Püdeli – Kołobrzeg, Amfiteatr 9.08 Creamfields Festival – Kołobrzeg, lotnisko Bagicz 9.08 Tworzywo

Sztuczne (Fisz + DJ Mad) – Darłowo, plener 9.08 Nippy Noya (Indonezja) – Warszawa, Jazz na Starówce 15.08 Międzynarodowe

Prezentacje Muzyczne Ambient – Gorlice, CK 15.08 VII Międzynarodowy Festiwal Muzyki Gospel „Camp Meeting” – Osiek

BIAŁOSZEWSKI forever

To nie jest recenzja. To tekst agitacyjny. Mówi on: **czytajcie Białoszewskiego**. Jego wiersze w wieku XXI są równie świetne jak w wieku XX. Kto o tym zapomniał, niech zajrzy do nowego wyboru poezji

Duży, największy z dotychczasowych, wybór wierszy Mirona Białoszewskiego. W 20. rocznicę śmierci. I to w eleganckiej serii „Złota kolekcja poezji polskiej” chwalenie wydawanej przez Państwowy Instytut Wydawniczy. Wspaniale. Tylko czytać. Ale Białoszewski? Białoszewski jest, zdaje się, odfajkowany. Oczywiście specjaliści będą jeszcze latami badać jego filozofie, strategie, filiacje. Będą się spierać o jego religijność albo niereligijność. Ale wszystko to przecież normalnych czytelników poezji nie interesuje i odsuwa się od nich coraz dalej, odgrodzone okładkami uczonych rozpraw i drobnym drukiem przypisów.

A poza tym o Białoszewskim właściwie wszystko się już wie. Nawet w szkole trochę o nim uczył. Był to, ma się rozumieć, poeta wybitny i osobny. Może najosobliwszy z wybitnych. Piewca rupieci, wron, wind, bab z bloku. Kronikarz własnych leżeń i łażeń. Miał wyjątkowy dryg do pisania i poczucie humoru. Jak mało kto majstrował przy języku. Łapał go za słowo, przejęczył się. Bywało, że koślawił gramatykę i składnię. Pisał tak, „jak się mówi”, a jednak zawsze po swojemu. Po trosze dziwak. Ale licencjonowany. Wiadomo.

Otóż nie całkiem. Bo jeśli poprzestaje się na takich uświęconych formu-

kach, zamiast po prostu czytać wiersze Białoszewskiego, powoli zapomina się (jeśli się kiedykolwiek wiedziało), do czego zdolna jest poezja, ile może w siebie wchłonąć, jak wiele poszczególnego i wspólnego doświadczenia może i przetworzyć. Ile zmieścić w sobie świąta i różnych przygód języka. Zapomina się, jak – niemal od niechcenia – potrafi narażać u Białoszewskiego przedzierzgać się z farsy w tragedię i na odwrot.

Miron Białoszewski był wielkim poetą. I bardzo go brakuje dzisiaj, kiedy w dobrym tonie jest raczej solennosc i raczej nieszczęsny tak zwany styl wysoki. A przecież wiwatując na cześć Białoszewskiego, niczego się nie odbiera naszym ulubionym, eksportowym, „starym” i trochę młodszym mistrzom. Bez obaw, w polszczyźnie wystarczy miejsca i dla wielkości Białoszewskiego, i – powiedzmy – wielkości Czesława Miłosza. Oraz najróżniejszych ich spadkobierców w języku. Jeśli się o tym zapomni, będzie jak w zwyczaj – laurowo, pocziwie i nudno.

Czytajcie więc Białoszewskiego. Na kolei i na wrywki. To jest czysta radość. Czysta radość, że był.

MARCIN SENDECKI

MIRON BIAŁOSZEWSKI „WIERSE”, PIW, Warszawa 2003



Fot. J. SOBIELEWSKI/FOTUM (3)

● ATENY WE KRWI

Doskonały thriller nie tylko dla intelektualistów

Proszę się nie obawiać, „Jaskinia filozofów” to nie filozoficzny esej, ale kryminał, którego akcja toczy się w starożytnych Atenach, w czasach świetności platońskiej Akademii. Do Heraklesa Pontora słynnego z rozwiązywania najtrudniejszych nawet zagadek zgłasza się nauczyciel z Akademii, prosząc, by wyjaśnił tragiczną śmierć jednego z uczniów. Bohater musi zmierzyć się z kolejnymi zbrodniami i zbadać tajemnice krwawych misteriów. Im dłużej mu towarzyszymy, tym wątlejszy okazuje się pokutujący wciąż mit o harmonijnym, sielskim życiu

klasycznych Greków. Ale to nie wszystko. Historię Heraklesa poznajemy dzięki współczesnemu filologowi. Bada on opowiadający o tych wypadkach manuskrypt i z przerażeniem odkrywa, że tajemniczy tekst to powieść z kluczem, która sprowadza z otchłani wieków śmierć podobną do tej, którą opisuje. Przypisy filologa otwierają więc jeszcze bardziej mroczną historię i stawiają czytelnika przed podwójną zagadką. Niezmiernie rzadko w literaturze popularnej zdarza się obcować z tak inteligentnie skonstruowaną narracją. Książka Somozy to kryminał pełną gębą, a jednocześnie przewrotna zabawa intelektualna. A jeśli ktoś zechce przy okazji sięgnąć po prawdziwe piśma Platona, tym lepiej.

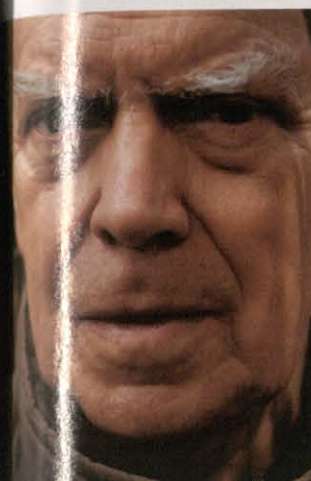
TOMASZ KŁEŚ



JOSÉ CARLOS SOMOZA „JASKINIA FILOZOFÓW”, przeł. Agnieszka Rurarcz, Muza, Warszawa 2003

NAGRODA I NAGRODA

Ogłoszono nominacje do literackiej Nagrody im. Józefa Mackiewicza



Fot. RAFAŁ MASZOWSKI

Siedem tysięcy dolarów i złoty medal otrzyma laureat drugiej edycji literackiej Nagrody im. Józefa Mackiewicza. Firmują ją pisarze i intelektualiści kojarzeni z centroprawicą. W jury zasiadają między innymi: Włodzimierz Odojewski, Marek Nowakowski, Kazimierz Orłoś i Ryszard Legutko.

Nie jest sekretem, że „Mackiewicz” jest swego rodzaju odpowiedzią na nagrodę NIKE przyznawaną pod auspicjami „Gazety Wyborczej”. Zachodzi więc między nimi interesująca symetria – niemal żadna z książek nominowanych do jednej nagrody

w oczywisty sposób nie pojawia się na liście nominacji do drugiej. No cóż, jak zauważył już Pascal, „Prawda z tej strony Pirenejów, błąd z tamtej”... Co smutniejsze, kontrowersja jest w głównej mierze polityczna, a może nawet towarzyska, bo tym, co – paradoksalnie? – łączy obie nagrody, jest niechęć do rzeczy eksperymentalnych, ryzykownych, estetycznie nieopatrzonej.

Są jednak nieliczne przypadki książek mimo wszystko nominowanych podwójnie. Rok temu były to niebudzące emocji „Wspomnienia wojenne” Karoliny Lancorońskiej. W tym roku może być znacznie bardziej gorąco. Podwójnej nominacji doczekały się: skrajnie oceniana biografia Zbigniewa Herberta pióra Joanny Siedleckiej (raczej bez szans na NIKE) i powszechnie uznany

za świetny tom wierszy Jarosława Marka Rymkiewicza (na zdjęciu) „Zachód słońca w Milanówku”, skądinąd jedyna wybitna artystycznie książka na liście nagrody Mackiewicza.

Tom Rymkiewicza powinien też (jeśli zachowane zostaną jakiekolwiek kryteria estetyczne) co najmniej wejść do finałowej siódemki NIKE. A jeśli, o czym przebąkuje się tu i ówdzie, hołubieni przez „Gazetę” nobliści zdecydować się wycofać swoje tomy z decydującej finałowej rozgrywki, „Zachód słońca...” może nawet sięgnąć po główną nagrodę. Nie jest więc wykluczone, że poeta z Milanówka zgarnie – jak najsluszniej zresztą – oba trofea. Niemożliwe? Dowiemy się w październiku.

MARCIN SENDECKI

ISMIESZNO, ISTRASZNO, czyli o tragediach śmiesznych bądź ponurych

Jest wiadomo, czas nierówno bywa łaskaw dla dzieł przeszłości. Chyba że autor jest co najmniej antem albo Szekspirem. Ale jak się już było takim Oscarem Wilde'em, mogło się skończyć różnie. Wilde, Irlandczyk, poeta, prozaik i dramaturg, salony dandys, idol literackiej Europy końca XIX wieku, pisywał rozmaite rzeczy, niektóre tragiczne, niektóre śmieszne. Słynny „Portret Doriana Graya” do dziś czytają wszyscy, ale kto słyszał o takiej „Salome”, tragedii na scenie? Kiedyś ją grywano, potem napisał do niej cudowną muzykę Ryszard Strauss i tyle tego. Albo kto słyszał o „Tragedii florenckiej”? Faktycznie, słyszał na przykład Antoni Libera, znakomity tłumacz i miłośnik Irlandczyków z Becktem na czele. Ale po co mu było zadawać sobie tyle trudu, żeby przełożyć doskonale martwe dwie sztuki nie całkiem jeszcze martwego duchowo autora? „Salome” (to o tej, co zażądała od taty Heroda głowy świętego Jana) jest nadęta, nudna jak pies i śmieszna całkiem mimowiednie. Lepiej – bo przynajmniej krócej – z „Tragedią florencką”, pastiszem Szekspira, o starszym panu, co zabił zalotnika swojej żony, a ona za to rzuciła mu się w ramiona. Ale na wakacje polecałbym raczej lekturę naprawdę bardzo zabawnego Wilde'a – dwie opowiadki grozy umieszczone w tomie „Upiór rodu Canterville'ów”. Były pisane na luzie i na luzie się je czyta. Kto lubi horrory z nutką przewrotnego humoru – ma jak znalazł.

TADEUSZ NYCZEK

OSCAR WILDE „DWIE SCENY MIŁOSNE: SALOME. TRAGEDIA FLORENCKA”, przeł. Antoni Libera, PIW, Warszawa 2003; „UPIÓR RODU CANTERVILLE'ÓW”, przeł. Maria Przymanowska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2003



Fot. CORBIS/FREE

KOLUMNY OPRACOWAŁ
PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZFALANGI CZARNEGO
PORZĄDKU„FALANGI CZARNEGO
PORZĄDKU”,
SCENARIUSZ
PIERRE CHRISTIN,
RYSUNKI ENKI BILAL,
EGMONT POLSKA,
WARSZAWA 2003

RZEŹ EMERYTÓW

Dzięki takim historiom jak szokujące w wymowie „Falangi czarnego porządku” powieści obrazkowe zyskały poważanie na Zachodzie

Weterani Brygad Międzynarodowych wojny domowej (1936–1939) w Hiszpanii wyrównujący po latach rachunki z dawnymi frankistowskimi siepaczami! Dziś ten scenariusz wydaje się niemożliwy, ale 24 lata temu, kiedy „Falangi czarnego porządku” Bilala i Christina ukazywały się we Francji, potencjalni bohaterowie tej opowieści mieli dopiero po sześćdziesiąt parę lat i dźwiganie pistoletów maszynowych leżało jeszcze w zakresie ich możliwości fizycznych.

Komiksy Enki Bilala wydawane są w Polsce dopiero od dwóch lat. „Falangi...” są na razie najstarszym z nich i najbardziej konwencjonalnym w swym realizmie. Zapamiętamy zeń, oprócz typowych dla stylu

Bilala twarzy, architekturę Barcelony (zwłaszcza budynki wzniesione przez Gaudiego) czy Rzymu i przestarzałe dziś samochody (także fiat 126 na włoskiej drodze).

Zanim „Falangi...” się u nas ukazały, mogliśmy zapoznać się już z innym, późniejszym albumem z cyklu „Legendy naszych czasów” – „Polowanie”. Oglądaliśmy w nim spotkanie starych (skądinąd Bilal lubuje się w rysowaniu obwisłych ciał starszych) komunistów – realistyczną narrację przeplatały w nim senne fantasmagorie. A jeszcze wcześniej zaczęły ukazywać się u nas zeszyty autorskiej „Trylogii Nikopola” Bilala – od „Targów nieśmiertelnych” poczynając, gdzie totalitarny Paryż przyszłości nawiedzały statki kosmiczne pilotowane



Fot. SOPHIE BASSOULS/CORBIS SYGMA/FREE

ENKI BILAL
NAJWIĘKASZY CHYBA WSPÓŁCZESNY
EUROPEJSKI RYSOWNIK KOMIKSÓW
URODZIŁ SIĘ 52 LATA TEMU W BELGRADZIE
JAKO ENES BILAL Z OJCA BOŚNIAKA
I MATKI CZESZKI. OD 10. ROKU ŻYCIA
MIESZKA WE FRANCJI. JEGO KARIERA
ROZPOCZĘŁA SIĘ W 1971 ROKU OD
ZWYCIĘSTWA W KONKURSIE NA KOMIKS
OGŁOSZONYM PRZEZ TYGODNIK
„PILOTE”. WSPÓŁPRACUJĄC Z TYM
PISEM, POZNAŁ SCENARZYSTĘ
PIERRE'A CHRISTINA I WKRÓTCE ZOSTAŁ
NOWYM RYSOWNIKIEM JEGO CYKLU
POLITICAL FICTION „LEGENDY NASZYCH
CZASÓW”. NAJBARDZIEJ ZNANA PRACA
BILALA WEDŁUG WŁASNEGO
SCENARIUSZA JEST „TRYLOGIA
NIKOPOLA”. W SUMIE OPUBLIKOWAŁ
PONAD 20 ALBUMÓW (Z CZEGO
W POLSCE UKAZAŁO SIĘ DOTYCHCZAS
SZESĆ). WYREŻYSEROWAŁ TAKŻE DWA
PEŁNOMETRAŻOWE FILMY SF WEDŁUG
WŁASNYCH SCENARIUSZY:
„BUNKER PALACE HÔTEL” (1989),
„TYKHO MOON” (1997)

przez bogów żywcem wziętych z egipskich mitologii. Narracja w nich przeplatana była wycinkami z gazet, do jednego z albumów dołączono nawet faksymile nadzwyczajnego wydania dziennika z przyszłości.

Wreszcie z minimalnym posłizgiem ukazał się w Polsce „Sen potwora” – album otwierający kolejną futurystyczną trylogię francuskiego twórcy. Bilal odszedł w nim jeszcze dalej od klasycznego komiksu, rezygnując z kreski na rzecz malarskich pastelów i wyprowadzając dialogi poza kadry.

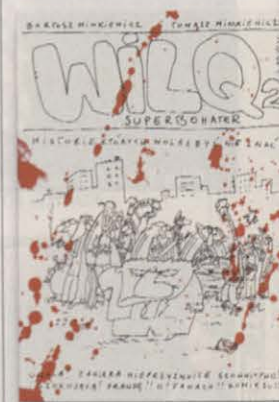
Ale czytając (i oglądając) dopiero dziś „Falangi czarnego porządku”, znajdujemy i w nich początki późniejszych dróg Bilala. W 1979 roku osiągnął pod względem formy szczytową pozycję w komiksie realistycznym. Współpraca z Christinem uwrażliwiła go na politykę. Nie chodzi tu tylko o to, że komiks – a właściwie powieść obrazkowa – dzięki takim dokonaniom zyskał we frankońskim obszarze kulturowym miano samodzielnego gatunku i należy mu poważanie. „Falangi czarnego porządku” czy „Polowanie” opowiadają historie w samej rzeczy tragiczne, w których koszt pozornego zwycięstwa okazuje się wyższy niż jego rzeczywista wartość. Wydaje się, że realizacje takie spowodowały go do przeciwstawienia Christinowi własnych, jeszcze bardziej ponurych wizji.

O ile bowiem w znanych nam „Legendach naszych czasów” sympatia stała po stronie romantycznych, idealistycznie nastawionych bohaterów, nawet jeśli byli oni komunistami, o tyle w nowszych, autorskich dziełach Bilal prorokował będzie zwycięstwo tajnych korporacji, sekt i totalitarnych reżimów. Ludzie bardziej niż kiedyś staną się jedynie pionkami w ich grach.

Są wreszcie komiksy Bilala i Christina ciekawe dla nas również ze względu na polonika. Akcja „Polowania” rozgrywa się w zamkniętym ośrodku partyjnym w Bieszczadach. W „Falangach czarnego porządku” jedną z bohaterów dawnych Brygad Międzynarodowych jest Polka Maria Wiśniewska. Stawiając album Bilala i Christina obok „Komu bije dzwon” Hemingwaya, przypomnijmy sobie też o tym, jak w III RP wzięto się do odbierania uprawnień kombatanckich polskim weteranom wojny w Hiszpanii, hurtem kwalifikując ich jako komunistów.

„30 DNI NOCY”,
SCENARIUSZ
STEVE NILES,
RYSUNKI
BEN TEMPLESMITH,
MANDRAGORA,
WROCŁAW 2003POLARNY
HORROR

Wnajbardziej wysuniętej na północ osadzie Alaski rozpoczyna się noc polarna. Kto skorzysta z tej okazji wyzerki życia? Oczywiście wampiry, których tutaj nie wystraszy już żadne światło! Odwieczna żądza krwi wygrywa ze współczesną telefonią komórkową, odcinając w tym dziele młodej amerykańsko-australijskiej spółki miasteczko od świata. W warstwie graficznej obcujemy nie z tradycyjną kreską, lecz z ekspresyjnym komiksem malarskim. Kadry składają się głównie z pierwszego planu, dalsze są rutynowo mgliste, co dosyć logicznie wynika z okoliczności przyrody (noc + śnieżyca). Mamy do czynienia zatem z artystycznym studium grozy, w którym graficzny eksperyment trafnie oddaje zimne dreszcze akcji. Ach, te ostre skrwawione zęby...

„WILQ
SUPERBOHATER 2”,
SCENARIUSZ
I RYSUNKI
BARTOSZ I TOMASZ
MINKIEWICZOWIE,
BM VISION 2003PROSTO
Z SZALETU

Trzeba mieć zdrowo zabetonowane w głowie, żeby zachwycać się tym pastiszem awantur superbohaterów. Podobnie jak słynne już „Osiedle Swoboda” Śledzia, cykl „Wilq” reprezentuje komiksowy underground blockerski wylansowany przez niezależny magazyn „Produkt”. O ile jednak Śledziu wypracował swoisty osiedlowy etos i oryginalny styl graficzny, o tyle Wilq jest jedynie wulgarnym chamem („żydowski szit” i „europedal” to lżejsza amunicja w jego słowniku). W drugim zeszycie czarno-białej serii osiedlowy superman zajmuje się np. ściganiem penisorek poduchy elektrycznej, a na dodatek jego głupawe przygody rysowane są przez Bartosza M. cienką kreską prymitywną do bólu, pozbawioną jakichkolwiek walorów estetycznych. Najbliższym dlań kontekstem kulturowym są rysunki w szkolnych toaletach.

**PÓŁ SERIO**

Komedia, której początkiem był telewizyjny program upstrzony zabawnymi scenkami pełnymi przewrotnie potraktowanych cytatów z kina i literatury. Autorzy filmu „wyjęli” scenki z telewizyjnych archiwów i dopisali do nich ramę: historię reżyserów szukających kasy na film. Główne role brawurowo zagrali m.in. Maria Seweryn, Edyta Olszówka i Rafał Królikowski. Ten ostatni zawiaduje zresztą „Pół serio” spektakularny powrót do kina. Nie dość, że wrócił w świetnym stylu, to przy okazji dał popis talentu komediowego, o który dotąd nikt go nie posądzał. Teraz, nieszczęsny, za to pokutuje – gra wyłącznie w komediach.

REŻ. TOMASZ KONECKI,
ANDRZEJ SARAMONOWICZ
TVP2, 20.00

**SOK Z ŻUKA**

Upiorna komedia o zmarłych małżonkach, którzy dalej mieszkają w swoim domu, już jako duchy. Dom przechodzi w ręce niesympatycznej rodziny japiszowników. Starzy właściciele bez skutku próbują ich wystraszyć, ściągając więc ducha-egzorcystę (Michael Keaton, a obok niego m.in. Winona Ryder, Alec Baldwin i Geena Davis). Współpracę z Keatonem reżyser kontynuował rok później, obsadzając go w roli „Batmana”.

REŻ. TIM BURTON
TVN, 22.05

**JĘZYK MOTYLI**

Dramat nominowany aż w 13 kategoriach do najbardziej prestiżowej hiszpańskiej nagrody filmowej – Goy. Melancholijny film opowiada o dorastaniu, a skoro jego akcję umiejscowiono w 1936 (roku wybuchu wojny domowej w Hiszpanii), łatwo się domyślić, że będzie to dorastanie w cieniu śmierci. Autorem nastrojowej muzyki jest Alejandro Amenabar, ten sam, który wyreżyserował słynny horror „Inni”.

REŻ. JOSÉ LUIS CUERDA
POLSAT, 11.00



Film Tima Burtona zachwyca połączeniem cukierkowej słodkości z estetyką horroru. PIĄTEK 8.08, TVN, 22.05

**KOLA**

Obyczajowy, oscarowy film kultowego (nie ma w tym słowie cienia przesady) czeskiego reżysera Jana Sveraka. Sverakowi (a właściwie Sverakom – autorem scenariusza i odtwórcą głównej roli jest bowiem ojciec reżysera) udało się połączyć hollywoodzki rozmach i sentymentalizm z czeskim poczuciem humoru i wnikliwością. Tytułowy Kola to kilkuletni Rosjanin, którym musi się zająć podstarzały Louka grający w cmentarnej orkiestrze. Nie ma tu wielkich słów, bohaterów, a wielka historia dzieje się tylko w tle, ale „Kola” mówi więcej o życiu w Europie Środkowej niż wszyscy ludzie z marmuru i żelaza razem wzięci.

REŻ. JAN SVERAK
TVP1, 22.55

**HUMAN TRAFFIC**

Obyczajowy, pierwsza chyba filmowa próba opisanie fenomenu klubbingu, i to u jego źródła, w kolebce klubowego życia – Wielkiej Brytanii. 25-letni reżyser z wybitnym znanstwem portretuje ludzi, dla których życie zaczyna się w piątkowe popołudnie, gdy wyrwa się z nudnej pracy, by oddać się szaleńczej zabawie podrasowanej alkoholem i dragami, pulsującą w rytm muzyki Orbital czy Fatboy Slima. Życie z tygodnia na tydzień, nocne narkotyczno-erotyczne ekstazy i niedzielne śniadanka u rodziców – tak wygląda „Gorączka piątkowej nocy” pokolenia clubbingu.

REŻ. JUSTIN KERRIGAN
TV4, 23.30

**KRWAWA NIEDZIELA**

Dramat. 30 lat po krwawych wydarzeniach Paul Greengrass z precyzją dokumentalisty zrekonstruował bitwę uliczną, do jakiej doszło w irlandzkim mieście Derry. Angielscy żołnierze otworzyli tam ogień do bezbronnym demonstrantom i zabili 14 osób. Przez lata prawda o Derry była przez brytyjskie rządy skrytowanie.

REŻ. PAUL GREENGRASS
CANAL+, 21.00

**GRY WOJENNE**

Thriller, który – jak pisała prasa – „łączy najgłębsze lęki z najśmielszymi fantazjami”. Chodzi o lęk przed zaawansowaną techniką mogącą wyknąć się spod kontroli. Gdy film powstał (rok 1983), w domach masowo zaczęły pojawiać się komputery, i to ich szatańskiej siły się tak bano. John Badham rozwija tu ponurą wizję, w której młody hacker włamuje się do rządowych komputerów i symuluje radziecki atak jądrowy. Maszyna w takiej sytuacji działa automatycznie – planuje wojсковą operację. Los świata wiisi na włosku. Hakerem zagrał Matthew Broderick i był to jego kinowy debiut.

REŻ. JOHN BADHAM
POLSAT, 21.05

**ELIMINACJE PUCHARU UEFA**

Ruszą rozgrywki europejskich pucharów. Dzień po spotkaniu polskiej Wisły z lotewskim Ventpilslem swoje pierwsze mecze rozegrają Groclin i Dospel. Na zdobycie pucharu co prawda za bardzo nie liczymy, ale żyjemy piłkarzom z Plocka, Grodziska i Kłocowa, aby zagrali przynajmniej tak dobrze jak Wisła Kraków, która w zeszłym sezonie odpadła dopiero w czwartej rundzie.

TVP2, 16.50

**GRY WOJENNE**

Thriller, który – jak pisała prasa – „łączy najgłębsze lęki z najśmielszymi fantazjami”. Chodzi o lęk przed zaawansowaną techniką mogącą wyknąć się spod kontroli. Gdy film powstał (rok 1983), w domach masowo zaczęły pojawiać się komputery, i to ich szatańskiej siły się tak bano. John Badham rozwija tu ponurą wizję, w której młody hacker włamuje się do rządowych komputerów i symuluje radziecki atak jądrowy. Maszyna w takiej sytuacji działa automatycznie – planuje wojсковą operację. Los świata wiisi na włosku. Hakerem zagrał Matthew Broderick i był to jego kinowy debiut.

REŻ. JOHN BADHAM
POLSAT, 21.05

**JEZIORO BODEŃSKIE**

Psychologiczny, ekranizacja „Karnawału” Stanisława Dygata, rzecz o odwiecznych zrachunkach z polskością. Ich arena jest obóz jeniecki (rzecz dzieje się w latach 40.) nad tytułowym jeziorem. Bohater filmu próbuje zrzuć z siebie garb bohaterszczyzny, marnoprogii, romantyzmu i obnażyć prawdziwą twarz Polski. Za stylowe, świetnie zagrane (w rolach głównych m.in. Krzysztof Pieczyński, Gustaw Holoubek, Joanna Szczepkowska) „Jezioro Bodeńskie” Janusz Zaorski otrzymał Złotego Lamparta na festiwalu w Locarno.

REŻ. JANUSZ ZAORSKI
TVP1, 23.50

**ELIMINACJE PUCHARU UEFA**

Ruszą rozgrywki europejskich pucharów. Dzień po spotkaniu polskiej Wisły z lotewskim Ventpilslem swoje pierwsze mecze rozegrają Groclin i Dospel. Na zdobycie pucharu co prawda za bardzo nie liczymy, ale żyjemy piłkarzom z Plocka, Grodziska i Kłocowa, aby zagrali przynajmniej tak dobrze jak Wisła Kraków, która w zeszłym sezonie odpadła dopiero w czwartej rundzie.

TVP2, 16.50

**GRY WOJENNE**

Thriller, który – jak pisała prasa – „łączy najgłębsze lęki z najśmielszymi fantazjami”. Chodzi o lęk przed zaawansowaną techniką mogącą wyknąć się spod kontroli. Gdy film powstał (rok 1983), w domach masowo zaczęły pojawiać się komputery, i to ich szatańskiej siły się tak bano. John Badham rozwija tu ponurą wizję, w której młody hacker włamuje się do rządowych komputerów i symuluje radziecki atak jądrowy. Maszyna w takiej sytuacji działa automatycznie – planuje wojсковą operację. Los świata wiisi na włosku. Hakerem zagrał Matthew Broderick i był to jego kinowy debiut.

REŻ. JOHN BADHAM
POLSAT, 21.05

**JEZIORO BODEŃSKIE**

Psychologiczny, ekranizacja „Karnawału” Stanisława Dygata, rzecz o odwiecznych zrachunkach z polskością. Ich arena jest obóz jeniecki (rzecz dzieje się w latach 40.) nad tytułowym jeziorem. Bohater filmu próbuje zrzuć z siebie garb bohaterszczyzny, marnoprogii, romantyzmu i obnażyć prawdziwą twarz Polski. Za stylowe, świetnie zagrane (w rolach głównych m.in. Krzysztof Pieczyński, Gustaw Holoubek, Joanna Szczepkowska) „Jezioro Bodeńskie” Janusz Zaorski otrzymał Złotego Lamparta na festiwalu w Locarno.

REŻ. JANUSZ ZAORSKI
TVP1, 23.50

**ELIMINACJE PUCHARU UEFA**

Ruszą rozgrywki europejskich pucharów. Dzień po spotkaniu polskiej Wisły z lotewskim Ventpilslem swoje pierwsze mecze rozegrają Groclin i Dospel. Na zdobycie pucharu co prawda za bardzo nie liczymy, ale żyjemy piłkarzom z Plocka, Grodziska i Kłocowa, aby zagrali przynajmniej tak dobrze jak Wisła Kraków, która w zeszłym sezonie odpadła dopiero w czwartej rundzie.

TVP2, 16.50

**GRY WOJENNE**

Thriller, który – jak pisała prasa – „łączy najgłębsze lęki z najśmielszymi fantazjami”. Chodzi o lęk przed zaawansowaną techniką mogącą wyknąć się spod kontroli. Gdy film powstał (rok 1983), w domach masowo zaczęły pojawiać się komputery, i to ich szatańskiej siły się tak bano. John Badham rozwija tu ponurą wizję, w której młody hacker włamuje się do rządowych komputerów i symuluje radziecki atak jądrowy. Maszyna w takiej sytuacji działa automatycznie – planuje wojсковą operację. Los świata wiisi na włosku. Hakerem zagrał Matthew Broderick i był to jego kinowy debiut.

REŻ. JOHN BADHAM
POLSAT, 21.05

**JEZIORO BODEŃSKIE**

Psychologiczny, ekranizacja „Karnawału” Stanisława Dygata, rzecz o odwiecznych zrachunkach z polskością. Ich arena jest obóz jeniecki (rzecz dzieje się w latach 40.) nad tytułowym jeziorem. Bohater filmu próbuje zrzuć z siebie garb bohaterszczyzny, marnoprogii, romantyzmu i obnażyć prawdziwą twarz Polski. Za stylowe, świetnie zagrane (w rolach głównych m.in. Krzysztof Pieczyński, Gustaw Holoubek, Joanna Szczepkowska) „Jezioro Bodeńskie” Janusz Zaorski otrzymał Złotego Lamparta na festiwalu w Locarno.

REŻ. JANUSZ ZAORSKI
TVP1, 23.50

**ELIMINACJE PUCHARU UEFA**

Ruszą rozgrywki europejskich pucharów. Dzień po spotkaniu polskiej Wisły z lotewskim Ventpilslem swoje pierwsze mecze rozegrają Groclin i Dospel. Na zdobycie pucharu co prawda za bardzo nie liczymy, ale żyjemy piłkarzom z Plocka, Grodziska i Kłocowa, aby zagrali przynajmniej tak dobrze jak Wisła Kraków, która w zeszłym sezonie odpadła dopiero w czwartej rundzie.

TVP2, 16.50

**GRY WOJENNE**

Thriller, który – jak pisała prasa – „łączy najgłębsze lęki z najśmielszymi fantazjami”. Chodzi o lęk przed zaawansowaną techniką mogącą wyknąć się spod kontroli. Gdy film powstał (rok 1983), w domach masowo zaczęły pojawiać się komputery, i to ich szatańskiej siły się tak bano. John Badham rozwija tu ponurą wizję, w której młody hacker włamuje się do rządowych komputerów i symuluje radziecki atak jądrowy. Maszyna w takiej sytuacji działa automatycznie – planuje wojсковą operację. Los świata wiisi na włosku. Hakerem zagrał Matthew Broderick i był to jego kinowy debiut.

REŻ. JOHN BADHAM
POLSAT, 21.05

**JEZIORO BODEŃSKIE**

Psychologiczny, ekranizacja „Karnawału” Stanisława Dygata, rzecz o odwiecznych zrachunkach z polskością. Ich arena jest obóz jeniecki (rzecz dzieje się w latach 40.) nad tytułowym jeziorem. Bohater filmu próbuje zrzuć z siebie garb bohaterszczyzny, marnoprogii, romantyzmu i obnażyć prawdziwą twarz Polski. Za stylowe, świetnie zagrane (w rolach głównych m.in. Krzysztof Pieczyński, Gustaw Holoubek, Joanna Szczepkowska) „Jezioro Bodeńskie” Janusz Zaorski otrzymał Złotego Lamparta na festiwalu w Locarno.

REŻ. JANUSZ ZAORSKI
TVP1, 23.50

**ELIMINACJE PUCHARU UEFA**

Ruszą rozgrywki europejskich pucharów. Dzień po spotkaniu polskiej Wisły z lotewskim Ventpilslem swoje pierwsze mecze rozegrają Groclin i Dospel. Na zdobycie pucharu co prawda za bardzo nie liczymy, ale żyjemy piłkarzom z Plocka, Grodziska i Kłocowa, aby zagrali przynajmniej tak dobrze jak Wisła Kraków, która w zeszłym sezonie odpadła dopiero w czwartej rundzie.

TVP2, 16.50

**GRY WOJENNE**

Thriller, który – jak pisała prasa – „łączy najgłębsze lęki z najśmielszymi fantazjami”. Chodzi o lęk przed zaawansowaną techniką mogącą wyknąć się spod kontroli. Gdy film powstał (rok 1983), w domach masowo zaczęły pojawiać się komputery, i to ich szatańskiej siły się tak bano. John Badham rozwija tu ponurą wizję, w której młody hacker włamuje się do rządowych komputerów i symuluje radziecki atak jądrowy. Maszyna w takiej sytuacji działa automatycznie – planuje wojсковą operację. Los świata wiisi na włosku. Hakerem zagrał Matthew Broderick i był to jego kinowy debiut.

REŻ. JOHN BADHAM
POLSAT, 21.05

**JEZIORO BODEŃSKIE**

Psychologiczny, ekranizacja „Karnawału” Stanisława Dygata, rzecz o odwiecznych zrachunkach z polskością. Ich arena jest obóz jeniecki (rzecz dzieje się w latach 40.) nad tytułowym jeziorem. Bohater filmu próbuje zrzuć z siebie garb bohaterszczyzny, marnoprogii, romantyzmu i obnażyć prawdziwą twarz Polski. Za stylowe, świetnie zagrane (w rolach głównych m.in. Krzysztof Pieczyński, Gustaw Holoubek, Joanna Szczepkowska) „Jezioro Bodeńskie” Janusz Zaorski otrzymał Złotego Lamparta na festiwalu w Locarno.

REŻ. JANUSZ ZAORSKI
TVP1, 23.50

**ELIMINACJE PUCHARU UEFA**

Ruszą rozgrywki europejskich pucharów. Dzień po spotkaniu polskiej Wisły z lotewskim Ventpilslem swoje pierwsze mecze rozegrają Groclin i Dospel. Na zdobycie pucharu co prawda za bardzo nie liczymy, ale żyjemy piłkarzom z Plocka, Grodziska i Kłocowa, aby zagrali przynajmniej tak dobrze jak Wisła Kraków, która w zeszłym sezonie odpadła dopiero w czwartej rundzie.

TVP2, 16.50

**GRY WOJENNE**

Thriller, który – jak pisała prasa – „łączy najgłębsze lęki z najśmielszymi fantazjami”. Chodzi o lęk przed zaawansowaną techniką mogącą wyknąć się spod kontroli. Gdy film powstał (rok 1983), w domach masowo zaczęły pojawiać się komputery, i to ich szatańskiej siły się tak bano. John Badham rozwija tu ponurą wizję, w której młody hacker włamuje się do rządowych komputerów i symuluje radziecki atak jądrowy. Maszyna w takiej sytuacji działa automatycznie – planuje wojсковą operację. Los świata wiisi na włosku. Hakerem zagrał Matthew Broderick i był to jego kinowy debiut.

REŻ. JOHN BADHAM
POLSAT, 21.05

**JEZIORO BODEŃSKIE**

Psychologiczny, ekranizacja „Karnawału” Stanisława Dygata, rzecz o odwiecznych zrachunkach z polskością. Ich arena jest obóz jeniecki (rzecz dzieje się w latach 40.) nad tytułowym jeziorem. Bohater filmu próbuje zrzuć z siebie garb bohaterszczyzny, marnoprogii, romantyzmu i obnażyć prawdziwą twarz Polski. Za stylowe, świetnie zagrane (w rolach głównych m.in. Krzysztof Pieczyński, Gustaw Holoubek, Joanna Szczepkowska) „Jezioro Bodeńskie” Janusz Zaorski otrzymał Złotego Lamparta na festiwalu w Locarno.

REŻ. JANUSZ ZAORSKI
TVP1, 23.50

**ELIMINACJE PUCHARU UEFA**

Ruszą rozgrywki europejskich pucharów. Dzień po spotkaniu polskiej Wisły z lotewskim Ventpilslem swoje pierwsze mecze rozegrają Groclin i Dospel. Na zdobycie pucharu co prawda za bardzo nie liczymy, ale żyjemy piłkarzom z Plocka, Grodziska i Kłocowa, aby zagrali przynajmniej tak dobrze jak Wisła Kraków, która w zeszłym sezonie odpadła dopiero w czwartej rundzie.

TVP2, 16.50

**GRY WOJENNE**

Thriller, który – jak pisała prasa – „łączy najgłębsze lęki z najśmielszymi fantazjami”. Chodzi o lęk przed zaawansowaną techniką mogącą wyknąć się spod kontroli. Gdy film powstał (rok 1983), w domach masowo zaczęły pojawiać się komputery, i to ich szatańskiej siły się tak bano. John Badham rozwija tu ponurą wizję, w której młody hacker włamuje się do rządowych komputerów i symuluje radziecki atak jądrowy. Maszyna w takiej sytuacji działa automatycznie – planuje wojсковą operację. Los świata wiisi na włosku. Hakerem zagrał Matthew Broderick i był to jego kinowy debiut.

REŻ. JOHN BADHAM
POLSAT, 21.05

**JEZIORO BODEŃSKIE**

Psychologiczny, ekranizacja „Karnawału” Stanisława Dygata, rzecz o odwiecznych zrachunkach z polskością. Ich arena jest obóz jeniecki (rzecz dzieje się w latach 40.) nad tytułowym jeziorem. Bohater filmu próbuje zrzuć z siebie garb bohaterszczyzny, marnoprogii, romantyzmu i obnażyć prawdziwą twarz Polski. Za stylowe, świetnie zagrane (w rolach głównych m.in. Krzysztof Pieczyński, Gustaw Holoubek, Joanna Szczepkowska) „Jezioro Bodeńskie” Janusz Zaorski otrzymał Złotego Lamparta na festiwalu w Locarno.

REŻ. JANUSZ ZAORSKI
TVP1, 23.50

**ELIMINACJE PUCHARU UEFA**

Ruszą rozgrywki europejskich pucharów. Dzień po spotkaniu polskiej Wisły z lotewskim Ventpilslem swoje pierwsze mecze rozegrają Groclin i Dospel. Na zdobycie pucharu co prawda za bardzo nie liczymy, ale żyjemy piłkarzom z Plocka, Grodziska i Kłocowa, aby zagrali przynajmniej tak dobrze jak Wisła Kraków, która w zeszłym sezonie odpadła dopiero w czwartej rundzie.

TVP2, 16.50

**GRY WOJENNE**

Thriller, który – jak pisała prasa – „łączy najgłębsze lęki z najśmielszymi fantazjami”. Chodzi o lęk przed zaawansowaną techniką mogącą wyknąć się spod kontroli. Gdy film powstał (rok 1983), w domach masowo zaczęły pojawiać się komputery, i to ich szatańskiej siły się tak bano. John Badham rozwija tu ponurą wizję, w której młody hacker włamuje się do rządowych komputerów i symuluje radziecki atak jądrowy. Maszyna w takiej sytuacji działa automatycznie – planuje wojсковą operację. Los świata wiisi na włosku. Hakerem zagrał Matthew Broderick i był to jego kinowy debiut.

REŻ. JOHN BADHAM
POLSAT, 21.05

**JEZIORO BODEŃSKIE**

Psychologiczny, ekranizacja „Karnawału” Stanisława Dygata, rzecz o odwiecznych zrachunkach z polskością. Ich arena jest obóz jeniecki (rzecz dzieje się w latach 40.) nad tytułowym jeziorem. Bohater filmu próbuje zrzuć z siebie garb bohaterszczyzny, marnoprogii, romantyzmu i obnażyć prawdziwą twarz Polski. Za stylowe, świetnie zagrane (w rolach głównych m.in. Krzysztof Pieczyński, Gustaw Holoubek, Joanna Szczepkowska) „Jezioro Bodeńskie” Janusz Zaorski otrzymał Złotego Lamparta na festiwalu w Locarno.

REŻ. JANUSZ ZAORSKI
TVP1, 23.50

**ELIMINACJE PUCHARU UEFA**

Ruszą rozgrywki europejskich pucharów. Dzień po spotkaniu polskiej Wisły z lotewskim Ventpilslem swoje pierwsze mecze rozegrają Groclin i Dospel. Na zdobycie pucharu co prawda za bardzo nie liczymy, ale żyjemy piłkarzom z Plocka, Grodziska i Kłocowa, aby zagrali przynajmniej tak dobrze jak Wisła Kraków, która w zeszłym sezonie odpadła dopiero w czwartej rundzie.

TVP2, 16.50

**GRY WOJENNE**

Thriller, który – jak pisała prasa – „łączy najgłębsze lęki z najśmielszymi fantazjami”. Chodzi o lęk przed zaawansowaną techniką mogącą wyknąć się spod kontroli. Gdy film powstał (rok 1983), w domach masowo zaczęły pojawiać się komputery, i to ich szatańskiej siły się tak bano. John Badham rozwija tu ponurą wizję, w której młody hacker włamuje się do rządowych komputerów i symuluje radziecki atak jądrowy. Maszyna w takiej sytuacji działa automatycznie – planuje wojсковą operację. Los świata wiisi na włosku. Hakerem zagrał Matthew Broderick i był to jego kinowy debiut.

REŻ. JOHN BADHAM
POLSAT, 21.05

**JEZIORO BODEŃSKIE**

Psychologiczny, ekranizacja „Karnawału” Stanisława Dygata, rzecz o odwiecznych zrachunkach z polskością. Ich arena jest obóz jeniecki (rzecz dzieje się w latach 40.) nad tytułowym jeziorem. Bohater filmu próbuje zrzuć z siebie garb bohaterszczyzny, marnoprogii, romantyzmu i obnażyć prawdziwą twarz Polski. Za stylowe, świetnie zagrane (w rolach głównych m.in. Krzysztof Pieczyński, Gustaw Holoubek, Joanna Szczepkowska) „Jezioro Bodeńskie” Janusz Zaorski otrzymał Złotego Lamparta na festiwalu w Locarno.

REŻ. JANUSZ ZAORSKI
TVP1, 23.50

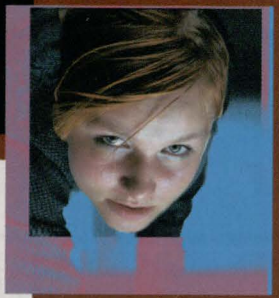
**ELIMINACJE PUCHARU UEFA**

Ruszą rozgrywki europejskich pucharów. Dzień po spotkaniu polskiej Wisły z lotewskim Ventpilslem swoje pierwsze mecze rozegrają Groclin i Dospel. Na zdobycie pucharu co prawda za bardzo nie liczymy, ale żyjemy piłkarzom z Plocka,



Dziennik z krainy PAZŁOTKA DOROTA MASŁOWSKA

Główna nuta: lizol



FOT. BOGDAN KRZEL

Jest sam środek lata, bloki łuszcą się na słońcu. Falszywy wiatr, ciepły i żyjący osobnym życiem. Jakby pies oddychał ci w twarz. Ciepłe lody. Morze się zaległo. Sinice patrzają mętnie malutkimi oczkami. Oni to robią z każdym twoim marzeniem. Zamiast szklanki wody poplują ci do buzi ciepłą, pieniącą się, brązową śliną.

Włazę w to szambo po pas. – Nie wolno się kąpać, nie wolno się kąpać, zakaz, zakaz – wrzeszczą za mną dzieci zawistnie.

Żywy, zielony, parzący jęzor miłośnie oblepia mi uda. Z plaży machają do mnie czerwone flagi jak pożegnalne ręce. Dzieci nieruchomieją na brzegu ze zwojami wodorostów w dłoni.

Nocą dostaję od Wandy esemesa, że Jakub w szpitalu i mam przyjechać kupić mu paczkę chipsów i udzielić sakramentu pocieszenia. Wanda kiedyś nakłamała mi, że zmarł jej pies, a ja cierpiałam za tym jej kulawym szczerbatym psem, jakby stało się to prawdą.

Jadę do Wejherowa. Idę do szpitala na skrót przez podmokłą łąkę koło lotniska.

To jest szpital, gdzie się urodziłam. Poznaje ten smród. Gdyby komponowano na mój temat perfumy, to byłaby główna nuta: lizol. Znajduję jego nazwisko na tablicy. Leży na oddziale ortopedii i traumatologii, prawdopodobnie zaliczając się bardziej pod traumatologię. Ma strzaskane obie nogi.

Jakub waży ze dwadzieścia, może trzydzieści kilo. Zwięźlił się jakoś od słońca. Leży, a przed nim leżą jego zabandażowane do kupy nogi. Czekają na operację. Ostatnio nawet myślałam o tych jego nogach. Przypomniało mi się, jak podciąga nogawki spodni i każe mi pomacać piszczel grubości ołówków.

– Najbardziej się przestraszyłem, że już nie jestem nieśmiertelny – mówi cichutko. – Myślałem, że to nie jest i do Woodstocku przestanie boleć. A było tak fajnie, ruchaliśmy na kasę burżujów, pełno kasy.

Leży obłożony słodyczami, których nie je, jak zwiędła choinka. Wyrasta z niego kropiółka. Bezgłowa koleżanka. Łysa śpiewaczka. Wokół drobi pięciu połamanych inwalidzkich mężczyzn. Wstaję od czasu do czasu i im robię jakiś dobry uczynek, dolewam mleka do kawy, różne nieznaczące rzeczy, które nie liczą się do zbawienia. Rozmawiamy szeptem o literaturze i innych palących, niecierpiących zwłoki kwestiach. Pada deszcz i w radiu lecą same rozwodnione miłosne piosenki, Beata Kozidrak, De Mono, jak na dyskotekę w podstawówce. Najchętniej położyłabym się obok Jakuba. Zdjęła sobie głowę z szyi i zasnęła. Będzie jeździł na wózku. Złe dzieci będą za nim biegać i rzucać kasztanami. Ponurzy lekarze obetną mu włosy do skóry. Pada deszcz i światło jest zgaszone, na szafkach zwiędłe kwiaty. Przeglądane beznamiętnie, nieaktualne czasopisma. Jak w czyszcju jest.

Wychodzimy z Wandą zapalić. Po uszkadzani ludzie z pozaklejnymi oczami krążą wokół nas jak muchy zabite gazetą. Wanda pokazuje mi złamanego zęba.

– Będę jak piosenkarka z Blue Velvet. Żeby chociaż jakiś inny, ale nie jedynka – mówi. – Jak dostałam, to cały czas się za niego trzymałam, żeby się okazało, że to się nie stało.

– No bo to jest taki narząd, który nie odróżnia – mówię, macając się po własnych zębach.

Nie trzeba było wychodzić z domu.

www.przekroj.pl/maslowska

Daję słowo

JERZY BRALCZYK

Chciałbym

Teraz **chciałbym** o „**chciałbym**”. To znaczy właściwie chcę, tylko tak mówię, że **chciałbym**. To taki tryb warunkowy zwany też przypuszczającym. Taki tryb ma na zewnątrz „by”, a gdzieś wewnątrz powinien być niejakieś „gdyby”. Powiedziałbym, jakie gdyby, gdyby wiedział. Jak nie wiem, nie powiem. Niewiedza mi przeszkadza.

Chciałbym Ci o coś zapytać. **Chciałbym** Ci coś powiedzieć. Tak grzecznie zaczynam rozmowę, zanim ją zacznę. Bo **chciałbym**, żeby Ci było łatwiej na początku. Mówię w ten sposób, że zaraz coś Ci powiem albo Cię o coś zapytam. Ale w końcu jak nie, to wcale nie muszę... Nawet nie to, że chcę... **Chciałbym** tylko. Gdyby co? **Chciałbym** zapytać, gdyby co? Co mi przeszkadza?

Może to, że nie wiem, czy mi pozwolisz. Jeśli pozwolisz, powiem. Jeśli pozwolisz, to **chciałbym** Ci zapytać... To znaczy, że jak nie pozwolisz, nie powiem. A nawet jeśli nie pozwolisz, to nie **chciałbym**...

Ale to przecież tylko tak z grzeczności. Przecież na moje chcenie to już chyba wpływu nie możesz mieć.

Nie **chciałbym** oczywiście umniejszać Twojej roli i mocy, ale **chciałbym** tylko zauważyć, że moje chcenie to już tylko ode mnie zależy.

A kiedy powiem, że nie **chciałbym** czegoś robić czy zrobić, znak to, że zaraz właśnie to zrobię.

Nie **chciałbym** przesadzać, ale to mnie zawsze i całkiem usprawiedliwia. Po: „Nie **chciałbym** przeszkadzać, ale...” – zaraz przeszkadzę. Właściwie już przeszkodziłem. Nie **chciałbym** Ci robić przykrości, ale właśnie Ci ją robię.

I na tym, jeśli pozwolisz, **chciałbym** skończyć. Jak nie pozwolisz – też.

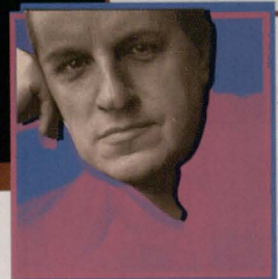
www.przekroj.pl/bralczyk

T
O
P
O
R


Dziennik z placu

INWALIDÓW

ZBIGNIEW MENTZEL



FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

Ukryta sprężyna

Niesamowita fotografia! Zrośnięty z rowerem w jedną całość pięciokrotnie zwycięzca morderczego wyścigu kolarskiego Tour de France Amerykanin Lance Armstrong wygląda, jakby narzósował go Leonardo da Vinci. Łuk pleców, profil rowerowej ramy, ręce na kierownicy – wszystko w idealnych proporcjach! Ogładam długo to zdumiewające zdjęcie i nie bieram ochoty na lekturę traktatu La Mettriego „Człowiek maszyna”. Lubię od czasu do czasu poczytać sobie osiemnastowiecznych materialistów, którzy pogodnie objaśniali działanie żywych organizmów ludzkich, często opowiadając przy tym anegdoty o słynnych lekarzach anatomach albo zegarmistrzach. Zdejmuję traktat z półki i w rozdziale zatytułowanym „Sprężyny wpływające w ruch maszynę ludzką” czytając, że człowiek to tylko mechanizm złożony z nakręcających się wzajemnie sprężyn i niczym innym niż sprężyną nie jest także „dusza” – wrażliwy mięsień mózgu, sprężyna ukryta. Odkładałem dzieło La Mettriego i jeszcze raz pochylałem się nad zdjęciem. Lance Armstrong, sfotografowany w ruchu, wydaje się mechanizmem tak samo precyzyjnym jak rower, którego dosiada; nad sprężynami jednego i drugiego sztab ludzi pracuje bez wytchnienia dniem i nocą. Ale amerykański kolarz naprawdę zadziwił świat dopiero wtedy, kiedy zachorował na raka, i choć lekarze nie dawali mu najmniejszych szans przeżycia, wyzdrowiał i ściga się dalej; człowiek maszyna wykazał zdolność samo-regulacji. Jaką ukrytą sprężynę zdołał w tym celu nakręcić?

Za każdym razem, kiedy oglądałem w telewizji Tour de France, myślę o Joachimie Halupczoku, fenomenalnym kolarzu polskim, który już nie żyje. Pamiętam doskonale rok 1989 i tamten wyścig o mistrzostwo świata amatorów w Chambéry – Halupczok uciekł z peletonu bardzo szybko i jechał samotnie,

niebawem radość widać było na jego twarzy filmowanej przez kamerzystów. Wygrał, jak chciał. Wygrał w wielkim stylu i następnego dnia cały kolarski świat był u jego stóp. Ale już wkrótce potem, kiedy podpisał lukratywny kontrakt z włoską grupą, lekarze wykryli u niego wadę serca i oznajmili, że powinien zapomnieć o sporcie. Halupczok zapewnił, że kiedy jeździ, czuje się doskonale.

le, że mężczy go jedynie beczyność, ale badania wykazywały zaburzenia rytmu serca i lekarze zabraniali startów. Mistrz świata został maskotką organizatorów imprez sportowych na prowincji. Któregoś dnia, otwierając szkolne zawody w hali, kopnął piłkę, przewrócił się i umarł. Niepewną intuicję, że historia choroby Joachima Halupczoka kryje w sobie niewyjaśnioną tajemnicę, opieram na wątpliwym podstawie: urodziłem się z wadą serca i przez całe świadome życie intryguje mnie pytanie, czy i w jakiej mierze zaburzenia rytmu mają podłoże inne niż czysto mechaniczne... Za chwilę zadzwonię do Instytutu Kardiologii i z panią profesor Janiną Stępińską, której mam zaszczyt być pacjentem, podyskutuję o sprężynach, jakie ktoś w nas nakręca.

www.przekroj.pl/mentzel

JOLKA nr 32/33

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. W DIAGRAMIE UJAWNIONO NIEKTÓRE LITERY. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

C9 – B1 – I12 – K9 – C6 – M8 – E9 – M6 – F4 – J1 / Ł10 – J4 – D5 /, E11 – L10 – G7 – K11 – A10 – D1 – I7 – H3 – C8 / H9 – L5 – E2.



ROZWIĄZANIE JOLKI NR 29: DIABEŁ TO MY, TYLKO COKOLWIEK DAŁEJ W NONSENS ISTNIENIA (Andrzej Drawicz w książce „Mistrz i diabeł”).

Rzędami: abstynencja, taśma, salut, sosik, szakal, nadzór, nestor, Roland, chrapy, garnek, impas, Wisła, nerwy, architektka.

Kolumnami: ptasznictwo, baśka, resor, kutia, trasa, piach, olbrzym, news, pakt, intryga, nyska, Asnyk, dolar, jęcz, nurek, pterodaktyl.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 27 nagrody wylosowali: Ewa Cielek, Nakło nad Notecią; Witold Ostrowski, Starachowice; Małgorzata Ptaszyska, Toruń; Karol Zieliński, Warszawa; Halina Żymła, Wyrę. Gratulujemy!

WYRAZY 8-LITEROWE:
• lokum bogate w „P”
• ilawianki falujące wody
• idzie na układy z hamulcem
• furda Drdy
• afrykańska robota
Morfusza

• krótko i mimochodem

WYRAZY 7-LITEROWE:
• Europe po Europie
• drożdż w operze
• gryzie programistę
• miś z zaczerpniętym kółkiem

WYRAZY 6-LITEROWE:
• podłączenie puzonisty
• Mehofferia światel i barw
• punkty za górę
• ziomek ryżanki

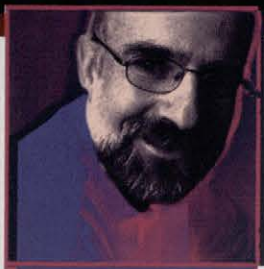
• staccato mieczy
• zaniechany dodatek do Vonneguta
• dobrze im w maśle
• nie da się jej zjeść na czczo
• wiatr wandal

WYRAZY 5-LITEROWE:
• geologia w zegarze
• blichtr bagna
• entrée brandy
• maminpretekst do odmrożenia sobie uszu
• żarłoczny VIP
• wylegają na ulice i przelewają się nimi
• jeden głębszy dla abstynenta
• pijany gryzoń
• powieść w korycie
• fechtory bambusem

AUTOR: JESTY WĄŻKI



BIEŃCZYK



MAREK BIEŃCZYK

Chłopcy od Merlota

posiadłości dzieli się na te sprzed 1998 i po 1998 – pierwszym roczniku Perse'a. Win sprzed 1998 radzi się nie kupować. Wina od 1998 są już legendą.

Przepis na sukces win golden boyów jest dosyć prosty. Buduje się absolutnie nowoczesną piwnicę. Kupuje się do niej absolutnie najnowsze urządzenia i najlepsze beczki. Absolutnie każdy krzew obejmuje się programem specjalnej troski. Obniża się absolutnie wydajność, tak by w gronach zebrał się jak najgęstszy sok. Zatrudnia się jako doradcę Michela Rolanda, absolutnie największą sławę wśród enologów, specjalistę od merlota, królewskiego szczepu w Saint-Emilion. Czeką się na oceny od króla Roberta Parkera. Perse'owi trafiła się nota absolutna – 100/100 za rocznik 2000. Podnosi się absolutnie ceny. Château Pavie w ostatnich czterech latach podrożało o 150 procent. Za tak dobrze zarobione pieniądze kupuje się dalsze posiadłości. Perse ma już ich więcej (w Saint-Emilion i nowej gwiazdzie wśród apelacji Côtes de Castillon), niż miał hipermarkety. Zamierzał też kupić Château Petit-Village (Pomerol) w cenie 4,5 miliona euro za hektar. To absolutny rekord świata w dziedzinie wina.



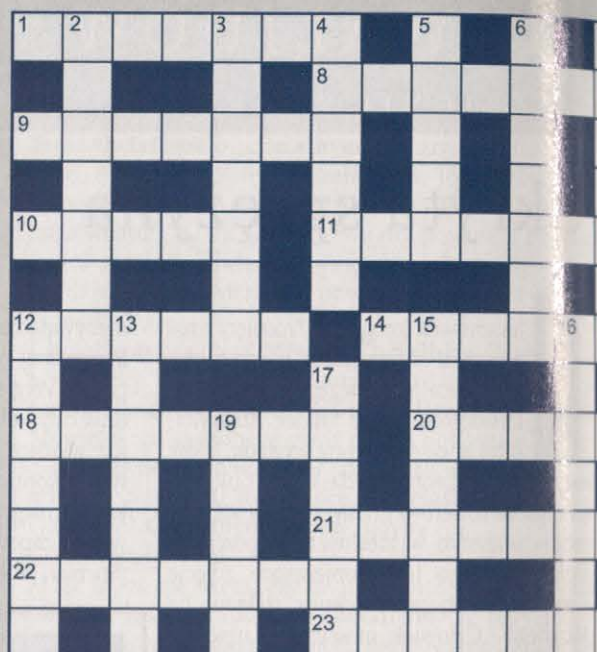
*Do ryb po plaży:
proste Chardonnay
Domaine
de Fresquet Vin de
Pays d'Oc 2001.
około 25-30
złotych w wielu
sklepach*

Wina golden boyów mają jednak swych przeciwników. Autochtonów, którzy ze swego merlota jakoś nie umieją wycisnąć złota. Ale też niektórych znawców nieceniących tych win za

ich nadmierną słodycz, mówiących o nich „konfitura”. Posiadam jedną butelkę Château Pavie kupioną za okrągłą sumkę, choć nigdy nie byłem dżokejem. Od roku obiecuję sobie dzień w dzień, że ją nazajutrz otworzę. Niech będzie to jutro. Nic mnie już nie uratuje. Pozostał mi cień nadziei, że będą to dobrze stracone pieniądze. ■

www.przekroj.pl/bienczyk

KRZYŻÓWKA nr 32/33



POZIOMO:

1. ciało
- Nałęczca
8. do pchania
9. do łamania
10. pięść od podszewki
11. klapka
12. brown
- sugar
14. czyni trupca
18. państwo dla lokaja
20. fajno

21. samogłoska

- uniwersum
22. deptany
- przez
- Francuza
23. jednostka siostry

PIONOWO:

2. dolewa
3. części do
- zastawy
4. do trzech razy stuka

5. nogą lub łopatą

6. perła w koronie
7. okno z towarami
12. światowa stolica ogni bengalskich
13. Fiumicino lub Piszczallo
15. psia maść taś
16. R
17. Jezioro Rudne
19. Dracula

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI nr 29

Poziomo: 1. brzeg 5. wyraz
8. renta 9. igloo 10. pobór
11. zakon 14. nawias
16. rogacz 18. sekretariat
21. wrzask 24. kratka
27. magia 29. tango 30. dzban
31. łyżka 32. sitwa 33. rynek

Pionowo: 1. blizna 2. zalew
3. groza 4. znak 5. wapnia
6. rybka 7. zaraza 12. as. etka
13. organki 15. iskra 17. glina
19. rwetes 20. jamnik 22. zenit
23. smoła 25. radar 26. tabun
28. gaża

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 27 nagrody wylosowali: Teresa Borkowska, Gorzów Wielkopolski; Piotr Klimek, Poznań; Jan Poloczek, Sanok; Dieter Wyskub, Jelowa; Colette Zielińska, Bielsko-Biala. Gratulujemy!

Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 19 sierpnia (decyduje data stempla pocztowego) nadesłali poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki Juliana Barnesa „Po drugiej stronie La Manche” (Prószyński i S-ka).

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 32/33 lub Krzyżówka 32/33.

JULIAN BARNES
Po drugiej stronie
La Manche



PIÓRO

POLSKI

Szpinak do zupy!

*Tym razem
prawdziwe wyzwanie*



TADEUSZ PIÓRO

Uspiszę dziś potrawę, której ugotowania nie podjął się fikcyjny bohater niedawnych testów o szpinaku, mianowicie zupę, która jest czymś więcej niż tylko zupą. To danie na chłodniejsze dni, lecz bezwzględnie należy je przyrządzać ze świeżego szpinaku, czyli – w naszych warunkach – wiosną i latem. Potrzebny będzie nam kurczak, woszczyna, pół kilograma szpinaku i kalafior.

Z kurczaka i woszczyny przyrządzamy wywar w sposób następujący: ściągamy z kurczaka skórę, oddzielamy nogi i pierś od reszty korpusu, zalewamy kilkoma litrami zimnej wody i na małym ogniu doprowadzamy do wrzenia, odszumowując bardzo starannie. Kiedy powierzchnia gęstnieje, dodajemy woszczynę, z której uszczknęliśmy jednak jedną lub dwie marchewki – te zostawiamy na później. Dodajemy także liść laurowy i 10 ziaren czarnego pieprzu.

Kiedy woda ponownie zawrze, pierś powinna być już gotowa – wyjmujemy ją i odkładamy, a po kwadransie (lub wcześniej) wyjmujemy nogi. Wywar gotujemy na małym ogniu (nie może gwałtownie wrzeć – od czasu do czasu od dna powinien się unosić pęcherzyk powietrza, to wszystko) przez dwie i pół godziny, po czym odczadzamy.

Mając baczenie na stan wywaru, przygotowujemy pozostałe składniki. Oberwany szpinak gotujemy we wrzątku lub na parze, tak samo postępujemy z połową kalafiora podzieloną na różyczki oraz marchewką pociętą w drobne pałeczki. Drugą połowę kalafiora wykorzystamy nazajutrz. Szpinak dodajemy do wywaru i robimy purée, używając miksera z odpowiednią nasadką lub

wlewając wszystko razem do roboty kuchennego. Otrzymamy ciemnozieloną zupę, którą przygotowujemy solą, szczyptą kminu rzymskiego i gałki muszkatołowej, a następnie dodajemy marchew i kalafior oraz pocięte w paski mięso z piersi i nóg. Zupa gotowa, a drugie danie nie będzie po niej potrzebne.

Nazajutrz powracamy do naszej połówki kalafiora, z której zrobimy sos do makaronu. Na patelni w ośmiu łyżkach dobrej

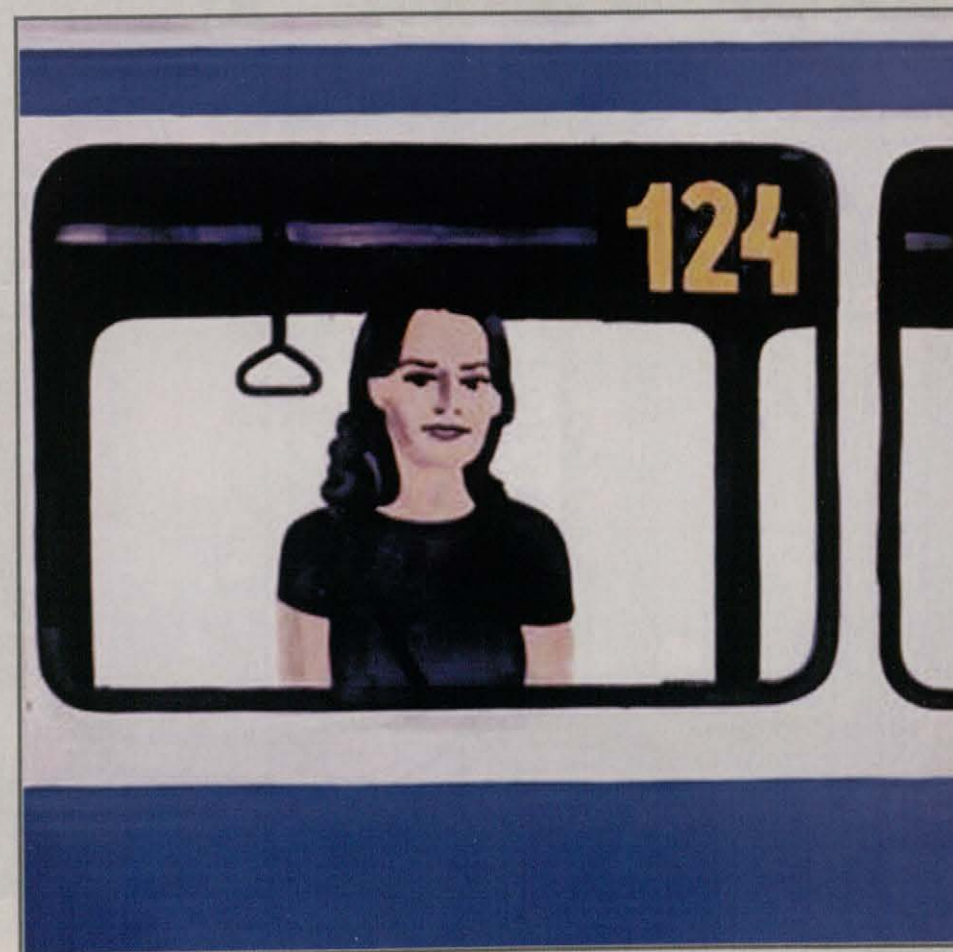
oliwy (lub 10 łyżkach naprawdę dobrej oliwy) podgrzewamy dwa posiekane ząbki czosnku, cztery posiekane filety z sardeli uprzednio starannie oplukane pod zimną wodą oraz małą szczyptę płatków suszonej ostrej papryki. Dodajemy obranego ze skórki i posiekanego pomidora oraz pół kieliszka białego wina. Zwiększamy płomień, a kiedy wino wyparuje, wkładamy na patelnię podzielony na różyczki kalafior. Skrupulatnie obtaczamy różyczki

w tym, co mamy na patelni (nie jest to jeszcze sos), zmniejszamy płomień, przykrywamy i dusimy, aż kalafior będzie na tyle miękki, że rozpadnie się pod naciskiem drewnianej łyżki lub szpatułki. W razie potrzeby podczas duszenia możemy dodawać po parę łyżek wody.

Rozdrabniamy nieco kalafior, tworząc niezbyt elegancką, lecz bardzo smaczną bryłę, którą pokrywamy ugotowany makaron, najlepiej cienkie rurki zwane penette, ewentualnie świderki bądź muszelki. Posypujemy sos i makaron utartym parmezanem. Możemy także umać go posiekaną natką pietruszki lub – to wyjątkowo pyszne – świeżym cząbkiem. Ponieważ kalafior – nawet w naszych warunkach – są w ciągłej sprzedaży, jest to danie uniwersalne, na każdą porę roku. ■

www.przekroj.pl/pioro

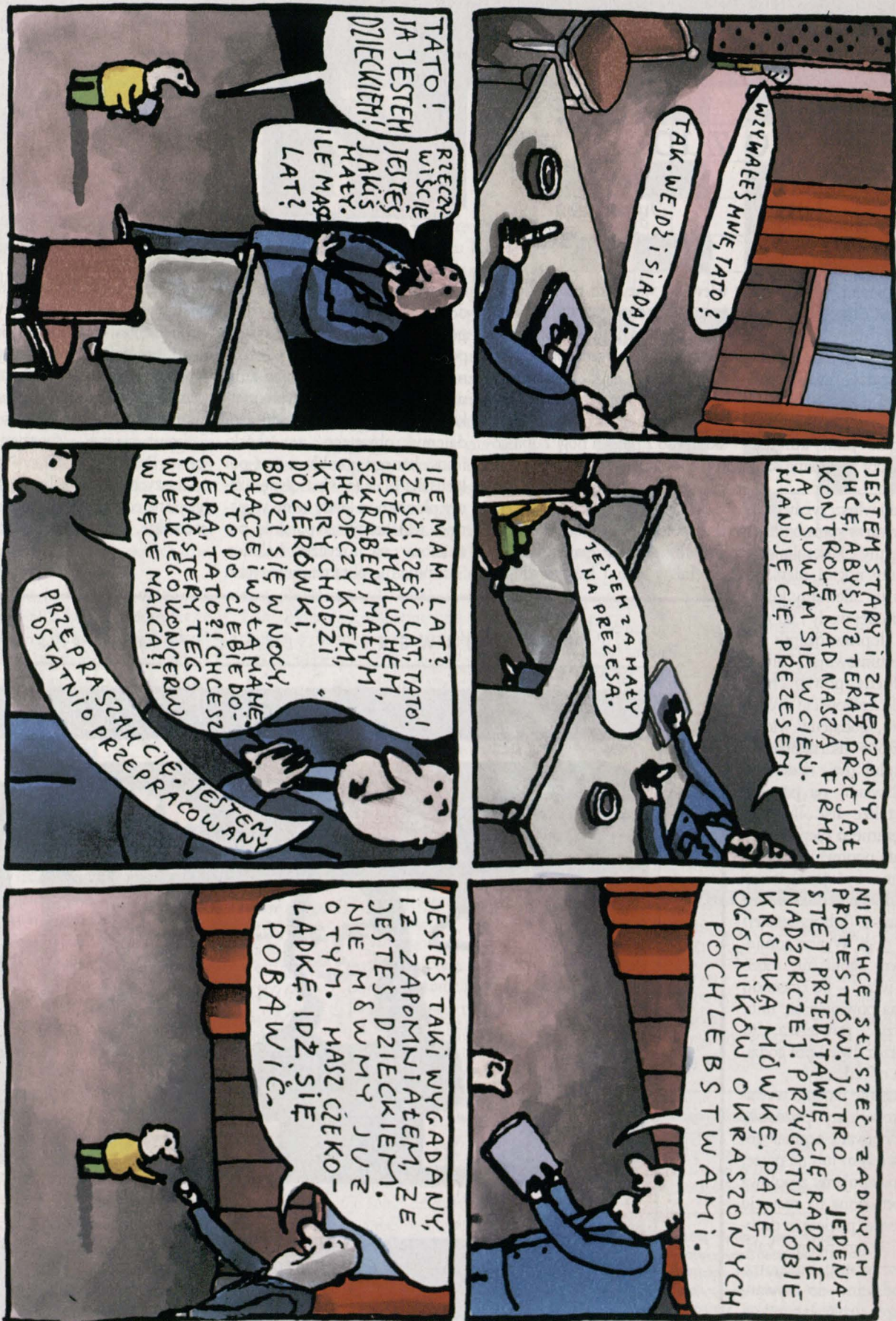
MACIEJOWSKI ĆWIERĆ STRONY GRATIS



AUTOBUS NUMER 124



raczej RACZKOWSKI



WYMYSŁILI I NARYSOWALI MAREK RACZKOWSKI

PANI

CENA 7,20 zł
ISSN 1157-2000
WYDAWCA: WYD. PANI
DZIAŁY: WYD. PANI
WWW.PANI.PL

KAYAH WRACAM!
DLACZEGO MILCZAŁAM TRZY LATA

PROGNOZA MODY
na chłodną jesień
Siedem trendów głównych

CZY TO PRAWDA
że każdy facet chciałby się
przespać z prostytutką?

DODATEK NADZWYCZAJNY

ZMIEN
swoje życie
w 6 tygodni

We wrześniu zaczął wszystko od nowa!
Napraw swój związek, kontroluj finanse, zrób porządek
w szafie, naucz się jeść, żeby nie tyć.

SEKS i GNIEW
Awantura
jak afrodyzjak

tego pragną kobiety

Simetria

z okolic Jarky

Ostatni wywiad
Nasz idol, aktor z Mielca,
Włodzisław Zagórski, opowiada:
Dziś chwyciłem w sławie:
– Tomasz? – Już prawda!
– W imię? – Złotego cięcia.

Entomolog (horror)
Bibliofil z Nowej Soli
Może, gdy się pozwoli,
Ugryźć w Rypkach
– Trzyma w gablach
Wielu książkowych moli.

Paweł Orszad

PRZYGOODY STANISŁAWA Z ŁODZI



POWIEDZ, PIOTRUSIU,
CZEMU SIĘ BIEŚ?



CHŁOPCY MÓWILI, ŻE
NIE ISTNIEJE SKUTE-
CZNY SYSTEM DO
TOTOLOTKA.



NIE PŁACZ. WYOBRAZ
SOBIE ICH MINY,
GDY WYGRAMY.

Rys. MAREK RACZKOWSKI

nadesłane

Wysłali afera – mimochodem

„Nowa Trybuna Opatowska”

informuje:

„Prezydent Opatowski ogłosił konkurs na kulinarny specjal Opatka”.

Może chodziło o prezydenta opoka?

(Nadesłał Zdzisław Wojnowski z Opatowa)

PÓDŁ. JA CIĘ UCZYĆ KĄŻE

KOREPETYCJE

HEMIA

Tel. 0503 ...

A kto ukarze nauczyciela za takie ogłoszenie?

(Anonim z nowosolskiego tygodnika „krąg” numer 10)

Złagiew Herman z Opatowa

Przyśłał

fraszki
na cztery pory roku
FERDYNAND
Głodzik

WSPANIĄCY CZY KIEPSKI?

Los mi pozostawia wybór bardzo mały:

Ferdynand jest tylko kiepski lub wspaniały.

Na dwójkę lub piątkę mogą zdać ten test:

Ferdynand Wspaniały to jest tylko pies!

Gdy to czytam, do oczu cisną mi się łzy:

Czy chcąc być Wspaniałym, muszę zejść na psy?

Po tej pierwszej zaraz druga płyne tza:

Czy Ferdynand Kiepski gorszy jest od psa?

Rodzina Obłych

Wiatr

Na dworze szaleje wichura, więc pani Obła dokładnie zamyka okna w całym mieszkaniu. Syn Obły obserwuje zawieruchę ze swojego pokoju. Wiatr dobiega się rytmicznie do jego okna, jakby chciał mu coś powiedzieć.

– Chodź – mówi Obły i wpuszcza wiatr do środka.

Wichura w jednej chwili zamienia pokój chłopaka w prawdziwy młyn.

Syn Obły stoi odważnie pośród wirujących przedmiotów i wystawia głowę do wiatru. Z każdego powiewu odczytuje jego mowę.

Patryk Pajtek



SIPRESS

Rys. SIPRESS/NEW YORKER

– Może pana zaskoczę, Worthington, ale wierzę, że nic w życiu nie jest tak ważne jak rodzina.

ANTYPRAWA

Cieczęga Wolowicz

ANTYPRAWO MIEJSCA

Jeżeli żona na pytanie, gdzie położyła kluczyki, mówi, że nigdzie, to i tam są.

ANTYPRAWO REKLAMY

Świat tak szybko idzie naprzód, że wiodące prosiły pioną przed zabrudzeniem.

PIERWSZE ANTYPRAWO

STOSUNKÓW DAMSKO-MĘSKICH

Mężczyźni nie tyle przypadają za kobietami, ile przez nie.

ANTYPRAWO ŚRODKÓW

KOMUNIKACJI MIEJSKIEJ

Ludzie, którzy występują wcześniej, zajmują miejsca najdalej od drzwi.

CO BYŁO DALEJ, SAMI WIECIE

Przemysław Borkowski

Kapitan statku „Titanic”

góry lodowe miał za nic.

Mówił: A co mi tam!

Na pewno im radę dam!

Bo co to takiego, Boże drogi,

tała lodowa góra?

Trochę solonej wody

plus niższa temperatura.

Co było dalej, sami wiecie.

(Rzut: neologizm w gazecie).

Gdy budowali wieżę Babel

dumni Babilończy,

powien baczownie ze swym studem

przysięgał był na ulicy:

I spytał tych, co budowali,

czy to się aby nie zawali?

Jak to zawali? Nie ma mowy!

– odleżył mu ktoś z budowy.

– Nasza technika jest najlepsza w świecie!

Co było dalej, sami wiecie...

Raz pewien premier, gdy przejmował władzę,

mówił: Na wszystko ja poradzę!

Będzie tu tała wzrost gospodarczy,

że aż wskazaćliby nam nie starczy!

I to już wiosną, a najpóźniej w lecie.

Co było dalej, sami wiecie...



Rys. PAULUS MAZUR

Z głowy
Krzysztofa Bilicy

Prawo dzungli
zezwała na jej
karczowanie.